
TRANSFER
HN 2TGB C

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

Roc 12
Pół ... 6
Kwa ... 8
Za ...

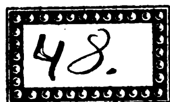
Granowski i Sikorski. *Franc. Jul. Granowski.*

Redakcya i Administracy... Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotr... Maryacki l. 4

Drukarnia Gran... ...iat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 72.



Miłość

w życiu

Zygmunta Krasińskiego.



Ferdynanda Hoesicka

z przedmową

Piotra Chmielowskiego.

TOM II.

Cena 40 kop

Wprenumeracie 30½ k.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1899.

Ferdynand Hoesick.

MIŁOŚĆ

W ŻYCIU

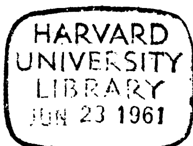
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

Tom II.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47, Nowy-Świat 47.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 Февраля 1899 года.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).



II.

Po nieoficyalnem poznaniu we Fryburgu nastąpilo w niedługi czas potem oficyalne poznanie w Neapolu. Stało się to w końcu grudnia, na parę dni przed wilią, w apartamencie pani Komarowej, w pałacu Gallo. Krasiński zjawił się tu razem z ojcem, który go prezentował damom, w tej liczbie i pani Delfinie. Komedya udała się doskonale: nikomu nawet przez myśl nie przeszło, ażeby młody ordynat mógł już być związany z Delfiną jakąś tajemnicą, zwłaszcza, że Zygmunt, w celu odwrócenia wszelkich możliwych podejrzeń w tym względzie, ostentacyjnie zaczął wyróżniać młodszą siostrę swej fryburskiej przyjaciołki, Natalię, o której — dla zamaskowania swych uczuć dla Delfiny — pisał nawet w listach do Sołtana, że „ukazała mu się, jak widmo kuszące, i znikła napowrót“. Asystując pięknej pannie Natalii, której naprawdę nie lubił, umyślnie trzymał się trochę zdala od pani Potockiej. A ona? Ona, rozumie-

jąc doskonale, co leżało na dnie tej jego polityki, tylko ją mogła pochwalać... Za to, gdy byli sami, bez świadków, w mieszkaniu Delfiny, mieli sobie nierównie więcej do powiedzenia...

W takich warunkach zaczął Krasiński bywać w pałacu Gallo, wchodząc w bliższy stosunek z całą rodziną Komarów. Rodzina ta, w danej chwili, składała się z matki wdowy, staruszki chorowitej, z dwóch siostr, Ludmiły, księżnej Beauvau, i Natalii (później hrabiny Medici Spada), z trzech braci, Aleksandra, Mieczysława i Włodzimierza, oraz z dwóch ciotek. Krasiński nie był nimi zachwycony. „Dobrzy ludzie, pisał o nich do Jaroszyńskiego [1]), ale coś suchego w ich domu. *Fashion* z nich moralne mumje porobił, balsamiczne może, ale wyschłe“. Szczególniej nie lubił Natalii Komarówny, której zarzucał lenistwo, narcyzowate zakochanie się w swej piękności, a wreszcie „jezuityzm“. Mimo to najbardziej nadskakującym był wobec niej właśnie, co mu pozwalało pod pozorem afektu dla panny domu, przemycać swe prawdziwe uczucia dla Delfiny. Jakoż bywał bardzo częstym gościem w pałacu Gallo, a starając się przypodobać wszystkim, odrazu zjednał sobie ogólną sympatyę. Najczęściej bywał w towarzystwie ojca, którego z Komarami oddawna łączył stosunek zażyłej przyjaźni.

Ztąd, kiedy nadszedł wieczór wigilijny, generał

---

[1]) List z Neapolu, z d. 29 grudnia 1838 roku. Dlatego mylnie twierdzi R. S. Kamiński (*Tyg. ilustr.* z r. 1848, str. 332), że „oficyalne zbliżenie nastąpiło w dniu 31 grudnia“.

spędził go razem z synem w domu pani Komarowej [1]). Delfina,

...cała
Lekkiemi szaty błękitna i biała,
Z dumy ponurem na ustach znamieniem,
Z smutku na czole niewymownym cieniem,
Piękna w tym smutku i dumie zarazem,
Napół stworzona potęgi obrazem,
Napół nieszczęścia [2]).

wyglądała dnia tego prześlicznie. Krasiński nie mógł się jej dosyć napatrzeć.

Podobnie miała się rzecz, gdy nadszedł wieczór Sylwestrowy, 31 grudnia. Obaj Krasińscy, ojciec i syn, znów go spędzili u pani Komarowej. Oto, jak go opisuje Zygmunt w jednym z listów do Delfiny: „Pamiętasz wieczór ten ostatni roku 1838? Gdy wszedłem do salonu, Tyś stała przy kominie, włosy Ci rozpuszczone spływały na ramiona, twarz Twoja drobną się wydawała, tą mgłą włosów owiana; nie byłaś tak dumną i twardą na pozór, jak zwykle. Realne osoby krążyły koło nas: pamiętam Gorczakowa, pamiętam ciotek ogromy, i ojciec mój w czoło Cię pocałował“ [3]).

Gdyby nie te „realne osoby“, może i onby uczynił to samo, bo że go niezmiernie „ciągnęło“ ku Delfinie, tego się nie wypierał bynajmniej. Ile razy tylko znaleźli się sam na sam, nawet nie starał się

---

[1]) Listy Krasińskiego do Delfiny z d. 24, 26 i 30 grudnia 1839 roku przepełnione są wspomnieniami tego wigilijnego wieczora. *Tyg. ilustr.* str. 409.

[2]) Wiersz ten w liście do Delfiny z d. 24 grudnia 1839, opisuje Delfinę, jak wyglądała rok temu w czasie owego wigilijnego wieczora.

[3]) List z d. 1 stycznia 1840 roku.

walczyć z tym nieprzepartym „pociągiem“, a gdy przez dłuższy czas przebywali razem, nic mu nie przychodziło tak trudno, jak przymusowe rozłączenie się z nią, które bądź co bądź było nieuniknionym epilogiem wszelkich romansowych scen pomiędzy nimi. Wtedy, podniecony jej pięknością, szeptał do niej, jak w jednym z listów: „Nazywaj mnie bratem swoim, bo czuję się bratem Twojej duszy. Czuję, że albo nigdy widzieć Cię nie powinienem był, albo się nigdy z Tobą nie rozstać“. Często znów, po dłuższej rozmowie w salonie pałacu Gallo, gdy ją odprowadził do jej mieszkania, doświadczał podobnych uczuć, jak to, któremu dał wyraz w liście do kochanki z d. 31 grudnia 1841 roku, a które nazewnątrz objawiało się całowaniem rąk Delfiny. „Ciągnion za Twoją znikającą postacią, niemożny oprzeć się pociągowi, przekroczyłem ten pokój i u drzwi jego, rękę Twoją wziąłem i pierwszy raz w życiu usta na niej złożyłem, alem nie widział, jam czuł tylko, że Ciebie kocham...“ Że nie zawsze kończyło się na niewinnem całowaniu rąk, tego pozwalają się domyślać choćby dwa następujące wyjątki z listów Zygmunta: „Ilekroć list kończę, podsuwa się Twoje dobre i stroskane czoło pod usta myśli mojej, i myśl na niem składam, niby ust dwoje. *Nie innem pocałowaniem* dosięgnąć Cię mogę przez lądy i morza“. Gdy go bolała głowa, wtedy mu pocałunki Delfiny zastępowały antipirynę. „Pocałuj mnie, pisał raz do niej, aby mnie tak głowa nie bolała“.

W tak słodki sposób płynęły dni jedne po drugich, w ten sposób zaczęli nowy rok 1839. Autor *Irydiona* był coraz milej widziany w pałacu Gallo;

wszyscy, począwszy od starej pani Komarowej, a skończywszy na ciotkach, polubili go bardzo; wszystkim umiał się przypodobać, być użytecznym. Zachwycano się jego wymową, podziwiano jego dowcip, a nie miano także nic przeciwko temu, gdy dłużej rozmawiał z panną Natalią...

On tymczasem, gdy był sam na sam z Delfiną, mówił do niej *ty*, nazywał ją z angielska „Dialy“ lub z paryzka „Didyszą“ *(Didiche)*, ona zaś, wywzajemniając mu się, zwała go z francuska „Siżysiem“ (od *Sigismond)*. Przyzna każdy, że była to poufałość, która — zważywszy krótkość czasu od chwili ich poznania się z sobą — niejednemu mogła dać wiele do myślenia. Bądź co bądź, świadczyła o wielkiem ich zbliżeniu się do siebie. *Honny doit qui mal y pense.*

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że poufałość ta, zwykle idąca w parze z dość płochym i lekkim nastrojem, wykluczała rozmowy poważne. Że tak nie było, świadczy Krasińskiego list do Sołtana, datowany d. 31 grudnia 1838 r., ciekawy i z tego względu także, że w nim Zygmunt zwraca uwagę na niejakie podobieństwo między Delfiną a panią Bobrową:

„Czy poznasz z tych rysów panią Delfinę Potocką? Nieraz ona mi przypomina... wiesz kogo (że tu Krasiński mówi o pani Bobrowej, o tem, znając jego życie, niepodobna wątpić), nie wtedy, gdy wpadnie w chwile swoje *buffo*, ale kiedy smutna seryo. *Tę samą widzę wtedy nieutuloną rozpacz w niej, tę samą nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia* — i ta przekwitłość serca wywiera silniejsze wrażenie

na mnie, niż świeżość młodociana, niż szczęście, zdrowie“.

Sielanka ta, jakkolwiek melancholijna chwilami, to jednak pełna gołębich czułości i gruchań, trwała parę tygodni, dopóki się w pałacu Gallo nie zaczęto domyślać rzeczywistych pobudek częstych odwiedzin Zygmunta. Gdy przewąchano wreszcie, o co chodzi, co leży na dnie tych pozornych zalecań się do Natalii, gdy odkryto źródło, z którego wypływała jakaś dziwna zaduma Delfiny, i gdy zauważono, że Krasiński, który tak lubił słuchać jej śpiewu, coraz większy wpływ wywierał na nią, że pod jego kierunkiem jęła np. zajmować się studyami naukowemi, etc., horyzont, pogodny doychczas, począł się zachmurzać coraz bardziej. Otoczenie Delfiny, zoryentowawszy się w sytuacyi, znacznie ochłodło dla poety i wyrodziły się wzajemne podejrzenia, brak zaufania, tajone urazy, słowem, miało się pod koniec sympatyi, a rozpoczynały się preludya wzajemnej niechęci. Krasiński, choć zdawał sobie sprawę z położenia, udawał, że jest jej nieświadomy zupełnie, i nietylko, że nie zważał na te „sfinksy“, pilnujące każdego kroku Delfiny, ale zaczął się nawet mieszać do jej spraw rozwodowych.

Co gorsza, to, że ile razy poruszono tę drażliwą kwestyę, on zajmował stanowisko opozycyjne wobec zapatrywań całej rodziny Komarów, a nawet — po części — w stosunku do jej własnych zapatrywań. Gdy wszyscy wotowali za pogodzeniem się z Potockim, on był zdania, że należy mężowi ułatwić uzyskanie rozwodu, że lepiej się stanie, gdy Delfina raz na zawsze uwolni się od „Tulczyńskiego jadu“. Oto,

co w parę miesięcy potem pisał w tej sprawie do swej kochanki: „Matka twa, widząc twoją stałość w odrzucaniu pewnych rozkoszy, pych, wielkości i korzyści: milion + milion + milion + milion + milion × 6 + serce + szlachetność + milion — nie może zrozumieć i powiada: że ktoś musi cię w tej walce podtrzymywać, a ten ktoś, to ten szelma—ja“ [1]). Bo zdawało się Zygmuntowi, że i Delfina pragnęła być wolną, że jego namowy, któremi ją starał się nakłonić do przyśpieszenia rozwodu, w zupełności godziły się z jej aspiracyami i widokami. Tymczasem jest wielkie prawdopodobieństwo, iż właśnie rzecz miała się przeciwnie: że Delfina, pomimo swej rzekomej miłości dla Zygmunta, któremu dawała tyle dowodów, ciągle jeszcze przemyśliwała o pogodzeniu się ze „znienawidzonym“ magnatem podolskim. Nawet p. Kamiński, pomimo, że zawsze i wszędzie idealizuje charakter Delfiny, starając się każdy postępek jej usprawiedliwić najszlachetniejszemi pobudkami, nawet i on nie waha się powiedzieć, że w tym wypadku musiała być „pokusa złotej zgody z mężem, *walka serca Delfiny z milionami...*“ Gdyby nie te miliony Mieczysława Potockiego, możeby okazała się skłonniejszą do pójścia za radą Zygmunta, który piorunował przeciwko Tulczyńskim jadom. Cóż, kiedy te „jady“, oglądane przez pryzmat milionów, nie przestawały nęcić Beatryczy...

Te i tym podobne przyczyny, czyniąc stosunek Zygmunta do „sfinksów“ i „moralnych mumii“ z pałacu Gallo coraz bardziej naprężonym, sprawiły w koń-

---

[1]) List z Neapolu (z czerwca) 1839 roku.

cu, że poeta, korzystając z wyjazdu swego ojca, któremu już się zaczynało przykrzyć w Neapolu, postanowił odwieźć go do Rzymu, czyli, opuszczając Neapol, „dyskretnie“ na czas jakiś usunąć się Komarom z oczu. Uważał, że tak będzie lepiej, że nie trzeba przeciągać struny: mogła pęknąć, a tego wolał uniknąć. A zresztą musiał mieć wzgląd i na Delfinę, która z jego powodu była narażona na ciągłe mniejsze lub większe przykrości ze strony swego najbliższego otoczenia.

W tem uczuciu, już zdecydowany na opuszczenie Neapolu, napisał swe słynne *Pożegnanie* dla Delfiny.

Ledwom Cię poznał, już Cię żegnać muszę!
A żegnam Ciebie, jak gdybym przez wieki
Żył z Tobą razem i kochał Twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki
I nie miał nigdy już zobaczyć Ciebie,
Chyba gdzieś, kiedyś, po śmierci, tam, w niebie!

. . . .

Temu, co czuję, nie szukaj imienia;
Na co słowami kazić świętość myśli!
Co nikt nie dozna i nikt nie określi,
To żyje we mnie wiecznością cierpienia!

Daj mi twą rękę w tej chwili rozstania;
Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,
Ten dzień w mej duszy nigdy nie upłynie,
Bo w świecie Ducha — niema „pożegnania!...“

Po wręczeniu tego wiersza Delfinie i po pożegnaniu z nią wyjechał Krasiński d. 15 lutego razem z ojcem do Rzymu.

Odtąd zaczyna się jego korespondencya z Del-

finą [1]). Są to, bezwątpienia, najpiękniejsze listy, jakie wyszły z pod genialnego pióra autora *Irydyona*. Pisząc je, silił się na to, ażeby były piękne, pełne poezyi i niebanalnych myśli, ażeby mogły sprawić umysłową przyjemność Delfinie, a tem samem i jego jak najkorzystniej przedstawić w jej oczach. Pisząc do niej, zwykle się patrzył na jej miniaturę, którą wszędzie, jako najcenniejszy upominek od niej, woził z sobą. „Twój obraz dumny, surowy, stoi przedemną i wspiera mnie," pisał w jednym z listów. „Modlę się do niego, jak Grek starożytny do bogini". Wizerunek ten, przypominający mu rysy ukochanej, a szczególniej uczucie tęsknoty po rozłączeniu się z nią, były niewyczerpanem źródłem natchnienia dlań, ilekroć z nią listownie dzielił się myślami, za czem

---

[1]) O listach tych tak pisze S. R. Kamiński: „Są one pisane zwykle na cieniutkim listowym papierze, szczelnie, drobnem pismem, lecz bardzo czytelnem, z archaiczną pisownią, przy zastąpieniu litery *j* wszędzie w końcówkach wyrazów literą *y*. Mieszczą się w pięknej teczce z fioletowej *moire antique:* czuć, że to w tę oprawę ujęła je, jako cenne pamiątki serca, wykwintną ręka wielkoświatowej damy. Nie masz, niestety, łączności w długim szeregu listów: wiele z nich urywa się bez końca, wielu brak początku, niektóre są pisane widocznie dorywczo, jako kartki, dwa razy nawet ołówkiem. Dwa listy znów są po francusku... Listy są datowane najczęściej z Monachium i Rzymu..., z Karlsbadu i Wildungen, z Neapolu i kilku miast włoskich, wreszcie jeden z Knyszyna, a ostatnie z Warszawy". Powiada p. Kamiński, że osoba, która mu powierzyła ten zbiór listów, objaśniła zarazem, że listy te, dotychczas nikomu nieznane, „są *tylko małą cząstką* korespondencyi Krasińskiego z Delfiną, większą część bowiem, „mniej zapewne poufnych", przekazała pani Potocka w testamencie przyjacielowi swemu, Augustowi Cieszkowskiemu, *z zastrzeżeniem, że mogą być opublikowane dopiero w dziesięć lat po jej śmierci*. „Upłynęło ich już dwadzieścia od jej zgonu, i czcigodny A. Cieszkowski dawno w mogile, a o tych listach dotychczas głucho". *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka* w *Tygodniku illustr.*

poszło, że listy te, pełne „erotycznego podkładu", choć nacechowane erotyzmem idealnym, przejrzystym, prawie w trzech czwartych były objawami bezgranicznego uwielbienia dla Delfiny; że obfitowały w mnóstwo ustępów liryczno-poetycznych, niejednokrotnie w wierszowanej formie (z których to poezyi Siemieński ułożył z czasem *Moją Beatryczę);* i że, świetne stylowo, jak wszystkie listy Krasińskiego, najwięcej zawierały poetycznych przenośni, metafor, porównań ze świata klasycznego, etc. Samo się przez się rozumie, że wszystkie składały się na apoteozę Delfiny, dla której miłość poety, korzącego się przed jej pięknością duchową i cielesną, całkiem — wnosząc z namiętnego i czułego tonu tej interesującej korespondencyi — wypełniała mu duszę, absorbowała umysł. Ztąd wszystko, co stało w bliższym lub dalszym związku z jej osobą, znajdowało swe odbicie w jego listach: walczył o jej cześć, udzielał rad i wskazówek w celu sparaliżowania napaści Mieczysława Potockiego i innych nieprzyjaciół Delfiny, troszczył się o jej interesy, kłopotał się jej kłopotami, współczuł jej licznym przykrościom, które wciąż na nią spadały z powodu owej nieszczęsnej sprawy rozwodowej, to znowu rozpaczał nad swoją dolą, lub zamieniał się w satyryka, który juwenalowym biczem chłostał różne przywary swej kasty. Po za tem rozpisywał się o literaturze, o współczesnym ruchu umysłowym, o świeżo wyszłych książkach z dziedziny filozofii, historyi, metafizyki, o własnych utworach, nad któremi pracował właśnie (choć o tem pisał stosunkowo najmniej), o stanie swego ducha w chwilach twórczych. „Wtajemniczał ją w walkę, którą stacza wte-

dy duch w poetyckim wzlocie z przygnębiającą go apatyą i rozpaczą, że idee, których jest głosicielem, nie znajdują echa w rodzimem społeczeństwie". Ta wszechstronność tematów, które poruszał, pisząc do niej, sprawiała, że listy te, zawierające całe rozprawy polityczne, religijne, filozoficzne, literackie, estetyczne, magnetyczne, etc. etc. bardzo często przybierały formę i obszerność traktatów dydaktycznych, dorywczo improwizowanych. „Niedość było poecie walczyć z zakrytą przyłbicą za swe idee w poematach; on w listach nawet do ukochanej Delfiny polemizuje, wykłada swe zasady, uczy ją; bo znając jej zdolności, wiarę w niego i szeroki zakres działalności towarzyskiej, chciał przez nią oddziaływać na towarzystwo polskie..." A wszystko to owiewał gorącem tchnieniem swojej miłości, okraszał plastyką i kolorytem swego prześlicznego języka, przeplatał serdecznemi wynurzeniami i zwierzeniami, wszędzie zaś, gdzie się zwracał do Delfiny, zawsze pisał do niej *ty*, raz ją nazywając „Dialy", raz „Didiszą". Podpisywał się „Zyg" albo tak, jak go nazywała w rozmowach sam na sam, „Siżyś". Mówiąc o sobie, lub powtarzając słowa osób trzecich, nieraz używał nazwiska „Krasiński". W listach francuskich — bo pisał i takie — nazywał ją wprost „Delphine". Pisywał bardzo często, prawie codzień, a niekiedy i po dwa razy dziennie.

Delfina była niemniej gorliwą w korespondowaniu z nim. Już to na brak listów od niej nie mógł się nigdy uskarżać! Nie mógł się uskarżać również, żeby go zbywała krótkiemi liścikami. Listy jej, o ile były częste, o tyle rzadko kiedy mieściły się na jednym arkusiku papieru. Streszczać się nie lubiła,

a choć miała dużo czasu, to jednak nie musiała go mieć dosyć, ażeby pisać krótko i zwięźle. Ale jeśli pewna rozwlekłość wogóle cechowała jej listy, to nie była to ich jedyna wada. Odznaczały się inną jeszcze, która najwięcej raziła Krasińskiego: wszystkie były pisane po francusku. Pani Potocka, myśląc po francusku, po polsku wypisywała się bardzo słabo, tak, iż tylko w wyjątkowych razach, gdy jej szczególniej zależało na przypodobaniu się „Siżysiowi", wciąż dopominającemu się o polskie listy, zdobywała się na list w języku ojczystym. Gdy to zdarzyło się niekiedy, a zdarzało się bardzo rzadko, Krasiński, uradowany, zaraz dziękował za tę niezwyczajną przyjemność, zachęcając kochankę, ażeby mu podobną niespodziankę sprawiała częściej: „Wiesz, Diały, że ty ślicznie piszesz po polsku. Twój ostatni list wywarł na mnie wrażenie najprzecudniejszego niewymusu w stylu polskim: jakby woń konwalii rozlala się koło mnie z tych wierszy, ogromna prostota wyrażenia, a głębokie uczucie pod nią. Żebyś więcej chciała zadawać sobie trud takowy, to ręczę, że za niewiele czasu prześliczniebyś, przezroczysto pisała po polsku [1])."

Tymczasem, po rozstaniu się z nią, odkąd się znalazł na bruku rzymskim, czuł się nadzwyczaj przygnębionym moralnie, nietylko bowiem, że tęsknił za swą Beatryczą, ale nadto miał jeszcze przykre rozprawy z ojcem, który, domyślając się jego romansu, znów zaczął mu głowę suszyć małżeństwem. Bardzo być może, że on głównie przyczynił się do

---

[1]) List z Monachium, z d. 28 listopada 1841 r.

przyśpieszenia wyjazdu poety z Neapolu, bo jeśli Komarom nie było na rękę zbyt widoczne sympatyzowanie młodego ordynata z Delfiną, to generałowi jeszcze bardziej zależało na tem, by go z pod demoralizującego wpływu takiej wielkoświatowej lwicy i awanturnicy, jak pani Potocka, usunąć. Wszystko to, oczywiście, w wysokim stopniu rozstrajało Zygmunta. W tem uczuciu, już dnia 18 lutego 1839 roku, a więc w niespełna dwa dni po swym przybyciu do wiecznego miasta, napisał list do Delfiny. W liście tym, rozwodząc się o swej namiętnej miłości ku niej, miłości, o której nie przypuszczał nawet, ażeby mogła nie być wieczną, dozgonną, niewygasłą i wykluczającą wszelką możliwość innej, tak pisał między innemi: „Jak wypalone drzewo, leżąc, gnije; nieraz już myślałem, czy nie lepiej byłoby odrazu skończyć, bo mi żadna przyszłość *prócz jednej tylko* się nie uśmiecha, a tę właśnie ludzie pomiędzy bajki policzyli...”

Cóż to za przyszłość, ta „jedna tylko”, która mu się uśmiechała teraz, gdy wszystko, co nią nie było, budziło w nim wstręt i odrazę? Co miał na myśli Krasiński, gdy w innym liście wymawiał Delfinie: „*Na to, o co się Ciebie tak gorąco* pytam, nic mi nie odpowiadasz, zupełnie się wyślizgujesz.” Cóż to była za sprawa, o którą Zygmunt tak gorąco interpelował swą kochankę, a ona wyślizgiwała się z niej, nie odpowiadając na jego pytania? Sprawą tą — krótko mówiąc — nie było nic innego, tylko to, że Zygmunt, zakochawszy się w pani Potockiej, a tym razem zakochawszy się naprawdę, z całą siłą namiętności, do jakiej był zdolny wogóle, przemyśli-

wał ani mniej ani więcej, tylko o ulegalizowaniu tej miłości: był zdecydowany ożenić się z Delfiną. Mniejsza o jej przeszłość, przesiąkłą nietylko „tulczyńskim jadem”, ale gorszemi jeszcze, niż tulczyński, paryzkim i londyńskim; mniejsza o to, że stała już „za przepaścią”, do której ją najprzód wciągnęli tacy, jak książę d'Orléans i pan Flahaut, a do której potem i ona wciągnęła niektórych; mniejsza o to, że cieszyła się nieszczególną opinią salonowej lwicy, bałamucącej starych i młodych; mniejsza o to, że była o pięć lat starszą od niego: kochał ją, podobała mu się, potrafiła w nim rozpalić wszystkie ognie miłosnego pożądania, a przytem kochała go (o tem bowiem, że posiadał jej wzajemność, nie wątpił ani chwili). Dlatego, jeśli się już ma ożenić, to się ożeni z Delfiną... Na niej jednej zależało mu naprawdę, ażeby ją posiadać dla siebie wyłącznie, ażeby do niej mieć prawo. Tylko z nią pojmował szczęście w małżeństwie, tak jak go sobie absolutnie nie wyobrażał bez niej. To było powodem, że tak obstawał za rozwodem Delfiny z mężem; to było powodem, że się naraził rodzinie Komarów, głosującej za pogodzeniem się z milionowym dziedzicem Tulczyna; to było powodem, że wpływał na Delfinę, ażeby słuchała jego rady, a nie szła za namowami swych najbliższych. Postępując w ten sposób, działał „we własnym interesie”, fundamentem bowiem, na którym wznosił czarowny gmach swoich marzeń o szczęściu, był rozwód Delfiny. Niestety, o ile szybko — bo jeszcze w Neapolu — pozwolił dojrzeć temu projektowi, o tyle miał zupełnie jasną świadomość wielkich i licznych przeszkód, dzielących go, nakształt

nieprzebytych przepaści, od wykonania tych matrymonialnych planów. Przedewszystkiem wiedział aż nadto dobrze, że ojciec aniby chciał słuchać o podobnym związku, że nigdy nie zgodziłby się na jego małżeństwo z Delfiną, bo jeśli marzył o synowej, to z pewnością nie o takiej. Ale nie było to jeszcze położenie bez wyjścia. Ostatecznie był sposób na przezwyciężenie oporu ojca: czyż mało małżeństw zawierało się wbrew woli rodziców! Chodziło o to tylko, ażeby zdobyć się na odwagę, potrzebną do postawienia na swojem. Tylu ojców musiało się pogodzić ze swemi synowemi, gdy im już nie pozostawało nic innego, gdy już na opozycyę było za późno, że i generał rad nie rad przeprosiłby się z Delfiną, gdyby się przekonał, że co Bóg złączył, tego on rozerwać nie zdolen! Byle tylko Delfina dała się nakłonić! Niestety, i tu trafił na szkopuł, którego może najmniej spodziewał się zrazu, który jednak, nieusunięty, nieprzezwyciężony, krzyżował wszystkie plany Okazało się bowiem, że Delfina, choć mówiła, że kochała i że od owego spotkania się w lasku fryburskim zaczęła się dla niej jakby Dantejska *Vita nuova*, mimo to „wyślizgiwała się" jak mogła, gdy ją zagadywał w tej kwestyi, przyczem najwidoczniej unikała rozmowy w tym przedmiocie. Zapytywana listownie, zapominała odpowiedzieć na to najważniejsze pytanie.

W rzeczywistości była wielce nierada poruszaniu tej kwestyi: uważała ją za przedwczesną. Co innego, gdyby już było po rozwodzie, gdyby miała do wyboru pomiędzy dolą rozwódki, skazanej na

życie w gorszych warunkach, niż te, jakie jej przysługiwały jako pani Potockiej, a dolą ordynatowej opinogórskiej. Ale w tej chwili jeszcze rozwiedzioną nie była! Od niej zależało rozstrzygnięcie sprawy, a ona nie bardzo była za rozwodem: musiała „słuchać głosu rozsądku, nietylko serca i uwag swojej rodziny, nietylko podszeptów własnych uczuć." A jeśli te uczucia i serce przemawiały za „Siżysiem", to rozsądek, wielce wrażliwy na trzeźwe namowy rodzeństwa, nie pozwalał lekceważyć milionów Mieczysława Potockiego...

Wobec tego „wyślizgiwania się" Delfiny, Krasiński, nie będąc pewnym swego, dawał najróżnorodniejszym uczuciom przystęp do swej duszy Między innemi pożerała go i zazdrość. Wiedząc o swej Beatryczy, jak się podobała mężczyznom, na jak wielkie pokusy była wystawioną, gdy się znalazła w „tłumie wielbicieli", od których nawet i teraz w Neapolu nie zawsze starała się stronić, a wiedząc i o tem również, że bardzo często ulegała tym pokusom, jeśli się okazały zbyt silnemi, pragnąłby, ażeby nie bywała nigdzie, ażeby się odcięła od świata i ludzi, ażeby poprzestawała na towarzystwie swych najbliższych (choć i o tych wpływ był zazdrosny). Ale choć się z tem nie tail przed Delfiną, ona, nie zważając na jego niepokoje i troski z tego powodu, ani na chwilę nie zaprzestawała bywania w świecie, o ile tylko nadarzała się sposobność po temu. Żeby choć o tem nie pisała w listach do Zygmunta! Pisała jednak, i nietylko, że pisała, ale się jeszcze o wielu swoich sukcesach rozpisywała znacznie obszerniej i szczegółowiej, niż to się mogło podobać młodemu Otellowi! Co najgorsza, to, że mu

nie bardzo wypadało przyznawać się do tego uczucia. Mimo to, gdy się dowiedział z listu swej Desdemony, że była w Palazzo Reale na wieczorze, wyprawionym przez królowę neapolitańską, i że na tym wieczorze śpiewała z młodymi infantami, nie wytrzymał i napisał pod datą dnia 20 marca 1839 roku, co następuje: „Aleś się, Mościa Pani, w świecie neapolitańskim niepomału rozhulała: z infantami śpiewasz, spajasz z tonów plecionkę, w pierścień dźwięków, głos swój z królewskiemi.” Dałby dużo za to, ażeby jej ten zaszczyt nie spotkał, wiedział bowiem, czem Delfinie mogła grozić taka znajomość z młodym infantem... Pamiętał doskonale, na czem się skończyło jej poznanie z księciem d'Orléans... Nie dziw więc, że mu się to śpiewanie duetu z księciem krwi królewskiej wielce nie podobało, że mu najczarniejsze podejrzenia snuły się z tego powodu po głowie. Opętany zazdrością, złorzeczył sobie, że się nie może uwolnić z pod władzy tego fatalnego uczucia [1]), lecz było ono silniejsze od niego, i to aż do tak wysokiego stopnia, że miewał chwile, w których nietylko był zazdrosny o teraźniejszość Delfiny, ale i o jej przeszłość. Gdy sobie przypomniał—do czego mu się otwarcie przyznała sama Delfina — że jednak ona przez długi czas kochała swego męża, że wychodząc za niego, wychodziła z prawdziwej miłości, że potem mieli kilkoro dzieci, że jeszcze w r. 1835, po paroletniej separacyi, znów wróciła do Tul-

---

[1]) „Tymczasem namiętność zrozpaczonego Zygmunta rośnie, staje się on zazdrosnym, czyni jej w listach gorzkie wymówki, że znów ukazywała się w świecie, że rozmawia z mężczyznami, zachwyca ich śpiewem.“

czyna, znów żyła z mężem, i to wtedy, gdy go już nienawidziła, doznawał uczuć tak przykrych, że pisząc do Delfiny, nie potrafił nie uczynić przezroczystej, choć możliwie delikatnej aluzyi do tego swojego nastroju. „Kochałaś: żadna myśl w głowie mojej, żadne uczucie w sercu mojem nie powstało przeciwko tej *szczerej i wielkiej miłości*, bo taka *miłość serdeczna* zowie się u mnie pięknością piękności, choć może jest nieszczęściem nieszczęść." Było to niby wspaniałomyślne zrzeczenie się zazdrości o przeszłość, osłaniające chęć przyswojenia sobie wyłącznych praw na przyszłość, ale naprawdę rozdrażniała go ta myśl o owej „szczerej i wielkiej" i „serdecznej" miłości Delfiny dla męża. Kto wie, myślał sobie, czy resztki tej miłości, niby już wygasłej zupełnie, nie tleją na dnie jej stroskanego serca, skoro się okazywała takim „Aniołem odkładania", gdy chodziło o jej rozwód z Potockim. Wprawdzie, jak mówiła niejednokrotnie, nienawidziła go obecnie, wiadomo jednak, że nienawiść kobiety dla człowieka, którego kiedyś namiętnie kochała, świadczy o niewygasłej jeszcze namiętności. Myśl o tem nie dawała mu spokoju, bo i z tego również zdawał sobie sprawę, że gwałtowne domaganie się rozwodu ze strony Potockiego, gdy Delfina wolałaby go uniknąć, srodze musiało ranić jej próżność i miłość własną, co również było uczuciem niepożądanem. Wszystko to, razem wzięte, napawało go nienawiścią do Potockiego, tak, iż w liście do Delfiny, w tym samym, gdzie pisał o jej miłości dla męża, jego „przeklinał" za wszystkie błędy swej Beatryczy: on, dlatego, że jej nie pojął, zamiast uszczęśliwić i ocenić, pchnął ją osamotnioną *„na śliz-*

ką drogę w wir wielkiego świata", on był sprawcą wszelkiego złego, jakie jej przypadło w udziale, on zmącił przeczyste źródło jej anielskiej duszy!

Na szczęście, źródło to, nawet zmącone i zatrute „Tulczyńskim jadem" wytryskało z tak szlachetnego gruntu, że jeszcze mogło być ożywczym napojem dla skołatanego wędrowca, jak Krasiński. Czy tak było istotnie? Hamletby tu rzekł może, *that is the question*, lecz autor *Irydyona* nie miał—chwilowo—najmniejszych wątpliwości w tym względzie. Oddalony od Delfiny, a cierpiąc z powodu tego przymusowego rozłączenia z nią, mimowoli idealizował ją sobie, a że wyobraźnię miał bujną, więc z łatwością dopatrywał się szczerego złota tam, gdzie świecił zwykły blichtr, a uczucia i przywiązania, gdzie inny dostrzegłby może sporą dozę wyrachowania i próżności. Pod wpływem tego bezkrytycznego zachwytu, stwierdzającego trafność mitu o ślepocie Amora, widział w Delfinie wiele takich cnót i przymiotów, które jej w rzeczywistości wcale nie były właściwe, a uwielbieniu swemu dla niej dawał niekiedy wyraz aż w tak wymownych słowach: „Znasz mnie i wiesz, czym tak bardzo zdolny do uniżenia czoła przed kim, a nieraz go przed Tobą uniżałem, i przed ogromem Twoich cierpień, i przed ogromem zlanych na Ciebie piękności" [1]).

Jednocześnie musiał się z tej swojej nowej miłości tłómaczyć przed przyjaciółmi, nie wszyscy bowiem, którzy wiedzieli o jego romansie z panią Bobrową, a dowiedzieli się o jego świeżem wprzągnię-

---

[1]) **List z Rzymu z r. 1839, do Delfiny.**

ciu się do tryumfalnego rydwanu Delfiny Potockiej, pochwalali tę proteuszową metamorfozę: wiedzieli, co była warta pani Bobrowa, a wiedzieli niemniej dobrze, co trzymać o pani Delfinie; dlatego poczytywali Krasińskiemu za złe, że ledwo zerwał z jedną kochanką (z którą *notabene* zerwał w sposób niekoniecznie przynoszący mu zaszczyt), już się rzucał w objęcia innej, i to jeszcze takiej, jak Delfina Potocka. Edward Jaroszyński, dowiedziawszy się o tem, był tak oburzony na Zygmunta, że z nim zerwał wszelkie stosunki, przestawszy odpisywać na jego listy... Krasińskiego bolało to bardzo, gdyż znał nieskazitelną prawość charakteru Edwarda [1]). W przeczuciu, że i Gaszyński zdziwi się niepomału, gdy się dowie o tej jego nowej miłości, przestał pisywać do niego, do niego, z którym dotychczas wymieniał listy tak często!... [2]) Danielewicz, gdy się dowiedział o jego miłosnych żarach do pani Potockiej, także mu napisał „list pełen konceptów, *który go zranił.*" Sołtan także

---

[1]) Dr. Antoni J. *Z życia Zygm. Krasińskiego.*

[2]) Po liście do Gaszyńskiego, pisanym w Neapolu d. 10 stycznia 1839 r., a w którym niema ani słowa o Delfinie, następuje list z d. 10 września 1839 r. pisany z Freyburga, a zaczynający się od słów:

Nie kłuj mnie w serce *wyrzuty cierpkiemi* i t. d. i t. d. żem nie pisał do Ciebie. Widocznie, że Gaszyński cierpko wyrzucał Zygmuntowi, że z nim przestał korespondować. W tym pierwszym—po półrocznej przerwie—liście do Gaszyńskiego, jest tylko mowa o miłości dla Delfiny. Widocznie, że już Gaszyński dowiedział się o niej zkądinąd, a pisząc do Zygmunta, w dość cierpki sposób wyrażał się o tej *bonne fortune* swego przyjaciela. Krasiński, odpisując mu, tłómaczy się w ten sposób: „Teraz możesz mi oddać wet za wet za moje dawne morały. *Let is be so.* Tymczasem życie jest ciągłem rozwijaniem się dalszych scen i uczuć. *Długoby tłómaczyć trzeba,* jak to słowo „kocham" spadło jak piorun na mnie..."

nie był zbudowany, gdy się dowiedział z boku, jaka zaszła zmiana w Zygmuncie; dowiedziawszy się zaś, napisał do niego, co myśli o tem wszystkiem, a wyrok wypadł surowo, wcale niepochlebnie dla poety. Krasiński, po przeczytaniu, tak nań odpisał pułkownikowi: „Odbieram w tej chwili twój list z 6 marca. Oh! ty się nie domyślasz tego, co mnie ogarnęło, nie, Adamie, nie! Zresztą niech Bóg mnie sądzi! Zapewne nie jestem na najprostszej drodze, ale kto wymiarkuje drogi serca, kto rzuci kamień na drugiego! Przynajmniej niechaj go nie rzuca nigdy dłoń przyjaciela. Ledwo pisać mogę: pomięszały się wszystkie wyobrażenia i wiary we mnie; jestem jako ślepy i obłąkany. Tymczasem mój ojciec nic się nie domyśla i taki tkliwy dla mnie; ja go oszukuję, *może gotuję mu dziwne zdarzenie* [1]). Boże! to mnie najsrożej nęka, ale jest we mnie coś, co mnie do zguby popycha. Nie chcę ci nic mówić, może się wstydzę, może się lękam, może czuję, że nie powinieniem gadać; ale ty odgadniesz wszystko, i proszę cię, nie potępiaj, ale raczej żałuj, bo ty wiesz, *że ja ją szczerze kocham i na zawsze.* Błędy moje, szały moje, niechaj twego serca nie odwracają odemnie, bo ty na nich nigdy nic z duszy mojej i przywiązania tracić nie możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym buffonem, ale nie zaradnym lekarzem. Otóż jestem w takiem położeniu. A jak się ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak powcli gią-

---

[1]) Ma tu Krasiński niewątpliwie na myśli swoje projektowane małżeństwo z Delfiną.

łem się pod tą fatalnością, jak darłem się z sobą samym i rozdarłem siebie, to niech mnie i Bogu wiadomem pozostanie...”

W takim rozdźwięku moralnym, potęgowanym niemożnością zaspokojenia swych pragnień, zastała go Wielkanoc 1839. Spędził ją w Rzymie, w dali od Delfiny. Nie mogąc się z nią zobaczyć osobiście, słał list za listem, a we wszystkich panował równie tęskny i bolesny ton, jak ten, który panuje w następującym wierszu, przesłanym w jednym z listów Delfinie:

Czyż z tobą wtedy raz ostatni byłem?
Smutnem przeczuciem dusza mi się żali,
Bo na tym świecie wszystko, co marzyłem,
Przeszło, jak chmura i znikło w oddali!

I dla mnie rozdział jest godłem kochania,
Bom ile razy w życiu nienawidził
Los ze mnie wtedy połączeniem szydził,
I gdziem przeklinał, nie było rozstania!

Tych tylko wiecznie ze łzami żegnałem,
Których me serce czciło lub kochało,
I teraz patrzaj, podobnie się stało,
Znać, gdzieś została, tam kochać musiałem.

Gdzież jesteś teraz? czy sama w komnacie
Dumasz nad dniami ubiegłych radości!
Gorzko ci w duszy po anielskiej stracie
I rozpacz matki na twem czole gości.

A możeś poszła chodzić po nad brzegiem
Wód zwierciadlanych, gdzie fala spieniona
Konając, stopy głaskała ci śniegiem...
Ja byłem wtedy przy tobie, jak ona!

Jak ona, dzisiaj rozbity, daleki!
Nie wiem, gdzie jestem, przed ludźmi się kryję...
Ona gdzieś w morzu przepadła na wieki...
W twojej pamięci, czy ja dotąd żyję?

Ona szczęśliwsza, bo poszła w głębiny,
Nie czując żalu, nie znając miłości,
Dla niej nie było uroku godziny
I dla niej niema rozstania wieczności!

Ona śpi teraz na koralu łożach:
Żaden jej wicher rozbicia nie wróży...
A ja się błąkam po życia bezdrożach:
Miota mną burza i skonam wśród burzy.

Ale i Delfinie uprzykrzyło się to zbyt długo przeciągające się rozstanie z „Siżysiem.” Nie chcąc, ażeby przyjeżdżał do Neapolu, gdzie znów byliby narażeni na podejrzliwe spojrzenia różnych „sfinksów,“ zaproponowała mu, ażeby przyjechał do Albano, gdzie i ona jest gotowa przyjechać. Oczywiście, że poeta nia kazał sobie dwa razy proponować takiego spotkanie się „nad błękitnem Albano jeziorem,“ tylko pożegnawszy się z ojcem, wyjeżdżającym do Niemiec, pospieszył w objęcia kochanki... Od chwili, gdy się znaleźli razem, pił z kielicha ziemskich słodyczy i szczęścia, ale już to nie był ten młodzieńczy zapał, z którym niegdyś tę czarę przytykał do swych spragnionych ust. „Jestem w stanie gorączkowym, doraźnym, gwałtownym — pisał do Sołtana w liście z Albano, datowanym d. 18 kwietnia—a czasem dobrze mi jest i wydaje mi się, żem pełny młodości. Lecz to złudzenie znika często i zostawia po sobie bezdenną próżnię, którą *snów zapełniam trucizną, mającą smak szczęścia...* Z okna widzę Kampanię i morze, widzę niebo wiosenne, rozkwitłe drzewa, wszystko co piękne w naturze, a jednak to wszystko nie tak, jak niegdyś, pada mi na oczy i z ócz na serce. Człowiek się starzeje: jeszcze nie stary, ale już nie młody, już nie umie nie oceniać położenia, w które go los we-

pchnął: *szelmowska analiza uczy go znaczenia rzeczy i osób*: dawniej, gdy się ich dotykał, końce jego palców gorzały ogniem, dziś także się dotyka i silnie, ale końce palców z lodu.“ W takiem analitycznem usposobieniu używał sielankowych przejażdżek łódką po jeziorze, obwożąc Delfinę po tym „przestworze lazuru.“

Tak upłynęło dni błogich kilka, poczem Beatrice wróciła do Neapolu. Krasiński miał tam zjawić się wkrótce. Tymczasem pod świeżem wrażeniem rozłąki i tych chwil, które tu przeżyli razem, napisał nowy wierszy do swej „Didyszy.“

Znasz, co namiętność? czy ty wiesz, co piekło,
Gdy myśl, jak skorpion, w ogniu się przewraca,
Gdy serce kipi żądzą szczęścia wściekłą
I życie życiem co chwila się skraca?

Czy wiesz, co próżnia? czy znasz świat nicości,
Gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,
Żyć bez nadziei i żyć bez miłości
Patrząc się w niebo, nie wrócić do nieba.

. . . .

Jak długom błądził po życia pogrzebie,
Nie znałem duszy, coby mię pojęła,
Anim jej szukał.. Aż spotkałem ciebie,
Równie samotną i żądza mnie zdjęła
Jeszcze raz w życiu spojrzeć w twarz anioła.

. . . .

Znów serce bije, to wiosna nadchodzi.
Słyszę śpiew ptaków i czuję woń róży.
Bujam po morzu gdzieś w skrzydlatej łodzi...
Wody tak ciche, ach, nie będzie burzy!

. . . .

W takim nastroju znalazł się w Neapolu, tu jednak z powodu naprężonych stosunków z Komarami,

zabawił bardzo krótko: głównie chodziło mu o to, ażeby się spotkać z Kazimierzem i Jerzym Lubomirskimi, z którymi umówił się jeszcze w Rzymie, że razem odbędą wycieczkę na Sycylię. Bardzo się cieszył na tę wycieczkę, bo mu było potrzeba „wolnem odetchnąć powietrzem i nieznośność pewnych myśli utopić w morzu, lub rozwiać wiatrami gór."

Po powrocie z Sycylii, od której, sam przyznawał, nic piękniejszego nie widział, zdecydował się na kilkotygodniowy pobyt w Neapolu. Miał tu Lubomirskich, w końcu maja przyjechał Danielewicz, później zjawił się i Aleksander Potocki, słowem, było mu dobrze. Mieszkał nad morzem, tak, iż pisząc list do Sołtana, patrzył z okna na Capri i całą zatokę, na morze z *lapis lasuli.* „Ja dość mam błękitu także w duszy, ale tego błękitu przeznaczeniem, wcześniej, czy później zamienić się w głuchą ciemność." Tymczasem cieszył się nim, a wszystko szczęście, w jakie opływał, miał do zawdzięczenia Delfinie. Widywali się z sobą ciągle, jeździli konno po nadmorskich drogach, pływali łódką po morzu. „Niech czółno i morze mojemi w twej pamięci zostaną na zawsze," pisał o tych przejażdżkach w jednym z późniejszych listów do Delfiny, co nie znaczyło wcale, aby i teraz, choć znajdowali się w jednem mieście, nie wymieniali częstych bilecików miłosnych. Miało to miejsce wówczas zwłaszcza, gdy Krasiński, ubrany ceremonialnie, we fraku, w rękawiczkach i białym krawacie, z cylindrem w ręku, zjawiał się w pałacu Gallo. Inaczej nie bywał u Komarów. Skoro oni byli sztywni z nim, i on wypłacał się podobną monetą! Niezależnie od tego, był w doskona-

łym humorze, a wziąwszy sobie za godło horacyuszowskie *carpe diem*, przeżywał i takie chwile, że w nich „tyle był szczęśliwy, ile nim można być na ziemi,“ że mu się zdawało niekiedy, iż „nie na ziemi żył, ale w niebie[1]), że mu „najpiękniejsze kwiaty południa wydobywały się z ziemi...“ Samo się przez się rozumie, że w Delfinie zakochany był coraz bardziej.

Znów wąż mię oplótł, wąż, jak świat nasz, stary,
Znów piłem szczęście z złotej *trucizn* czary!
Gdy księżyc wschodził, szedłem na gór szczyty,
Czoło me kładłem na śpiące błękity,
Gwiazdym brał w piersi, i tysiąc serc miałem,
Wszystkiemi czułem, wszystkiemi śpiewałem,
I nad mórz włoskich złoconą otchłanią
Witałem inną duszy mojej panią!

„Jesteśmy szczęśliwi—pisał d. 29 maja do Sołtana.—Życie nasze przeszłe, jak w latarni czarnoksięzkiej, przechodzi przed nami, a my spokojnie każden obraz jego rozpatrujemy i oceniamy, Zgadzamy się na wspólną prawdę, że *życie jest celem najwyższym życia*, i że kto żyć umie, ten nigdy nie umrze. Zresztą wiemy, że *tych dni kilku pozazdroszczą nam losy*, że pęknie zwierciadło tego morza wkrótce, że za trzy lub cztery dni księżyc zniknie z niebios, a nas rozpędzą konieczności rozmaite i daleko od siebie zagnają na wyspy odludnych nudów lub cierpkich przykrości. Spokojnie przewidujemy przyszłość. Na co, jak sam mówisz, martwić się przed czasem?... Stałem się zupełnie obojętnym na wszystko złe, co mi

---

[1]) ... nie na ziemi żyłem, ale w niebie,
Dlategom, drogi, nie pisał do ciebie.

się stać może; wiem, że moje serce nigdy przedtem nie żyło: *co mogłem chwil boskich wydrzeć smutnemu pasmu życia ponurego, wydarłem i przywłaszczyłem sobie*, bo w mojej duszy wrzała zawsze nieskończona żądza chwil takich, bliższych nieba, niż reszta innych, co się zmudnie ciągną i wikłają nędznie, a jeśli za takie chwile cierpieć mam później, niechże i tak będzie: powięm *amen*, jak gdybym pacierz kończył."

Tymczasem w antraktach pomiędzy błogiemi chwilami uniesień i rajskiego szczęścia, w miarę, jak się zbliżał koniec czerwca, coraz częściej wypadał z tego kwietystycznego nastroju: ostatecznie zdawał sobie sprawę z położenia, wiedział, że niebawem musi się spotkać z ojcem, który go już w ciągu tego lata pragnie wyswatać z jaką panną, panną zaś, którą mu przeznacza, jest panna Branicka. Przyszłość taka, zwłaszcza, że to miała być jego najbliższa przyszłość, nie mogła mu się uśmiechać, wisiała nad nim, jak miecz nad głową Damoklesa. W przewidywaniu jej, coraz mniej spokojny i pełen harmonii, tak pisał d. 2 czerwca do Sołtana: „Bez chyby dwudziestego trzeciego czerwca ztąd wypływam; w Livournie łączę się z Konstantym (Danielewiczem), który jutro wyjeżdża, i jadę na złamanie karku do Pragi albo do Töplitz, gdzie 5 lipca ojciec mój czeka na mnie. Tam rozstrzygną się zapewnie stosunki nasze na resztę życia. On jeszcze marzy o mojem ożenieniu: nie ożeniony, nie mam żadnej wartości w jego oczach; zatem znienawidzi mię prawdopodobnie, lub zobojętnieje dla mnie. Ja zaś żenić się, nie ożenię, a to z wielu przyczyn: 1) że nie czuję powołania do tego świętego stanu; a 2) że żyć jeszcze myślę, bo żyć mi po-

trzeba i żyć pragnę. Każ tam koło 5 lipca mszę na moją intencyę odmówić, bo będę w dyabelnych tarapatach." O tarapatach tych, równających się, „strasznym kłopotom," myślał ze wzrastającą obawą, nie wiedział bowiem, choć nad tem medytował całemi godzinami, jakim sposobem się z nich wydobędzie. „Na wolę Bożą się spuszczam: co przeznaczyła mi, nie minie mnie." Mimo to, nie mogąc pogodzić się z myślą, ażeby mu mogło być przeznaczone wyrzeczenie się miłości Delfiny, o której poślubieniu wciąż jeszcze marzył, już zawczasu trapił się tem, co go czekało w Pradze. Dręczony niepewnością w tym względzie, co mu, rzecz prosta, nie osładzało ostatnich widzeń się z ukochaną, skarżył się przed Sołtanem, że nie wie, gdzie go ojciec „pociągnie za sobą," czy do Drezna, gdzie mieszkali stale Braniccy, czy do Karlsbadu, gdzie także byli spodziewani Braniccy. „Co się tam będzie działo, to samemu Bogu tylko wiadomo." W każdym razie „wątpię, by mnie ojciec zdołał do kraju pociągnąć: mam na pięć lat paszport."

Lecz nadszedł dzień, w którym poecie wypadło się pożegnać z „Didyszą." O, jakże ciężko było mu odjeżdżać od niej! Delfina jednak, ażeby go pocieszyć w jego strapieniu, przyrzekła mu, że jesienią gotowa zjechać się nim w jakiej odludnej miejscowości Włoch lub Szwajcaryi... Z tą słodką obietnicą puścił się w stronę Alp, z drogi zaś, po kilku dniach podróży, taki nadesłał wiersz Delfinie:

. . . .
. . . .

O ziemio włoska, gdy w sercu żałobie
Rzucam twe błonia, nie płaczę po tobie,

Lecz za tą płaczę, którą zostawiłem
Tam na twych brzegach, gdzie z nią razem żyłem,
Gdzie w każdej chwili przez dni błogich wiele,
Jam jej powtarzał: „Kocham cię, aniele!“

O, ziemio włoska, strzeż tego anioła!
Gdy wysp łańcuchem zamknięta dokoła
Patrzy z skał twoich na błękitne fale
I może na mnie łzą tęsknoty woła:
Mów jej północnym wiatrów twych powiewem,
Żeś na ostatnich granic twoich skale
Słyszała takie mej rozpaczy żale,
I żem cię żegnał miłości westchnieniem!

Jechał przez Splügen, Ratysbonę i Pragę. Przybywszy do Pragi, dowiedział się, że generał, nie mogąc go się doczekać, pojechał do Drezna, gdzie nań czekać będzie. Była to najfatalniejsza wiadomość, jaką poeta mógł usłyszeć w danej chwili: w Dreznie mieszkali Braniccy! Nie ulegało wątpliwości, że generał, jeśli się zdecydował na podróż do Drezna, to dlatego jedynie, aby tam przedsiębrać odpowiednie kroki w celu ożenienia swego jedynaka. Domyślając się tego, a raczej będąc pewnym zupełnie, że te były pobudki, któremi się powodował generał, gdy się udawał do Drezna, Krasiński sposępniał jeszcze bardziej... Czuł, jakie przyjemności czekają go nad Elbą! Ale co było robić! Przecież nie jechać nie mógł! Pojechał tedy, w miarę jednak, jak się zbliżał do stolicy saskiej, trapiła go coraz większa zgryzota, „jakaś bojaźń przyszłości,“ nigdy nie doznawana przedtem. Miał wrażenie, że coraz bardziej oddalał się od swego raju, a natomiast przybliżał się do samej krawędzi przepaści, na której dnie czekała go zguba niechybna. Widział się postawionym między dwiema kobietami: jedną, którą ubóstwiał, którą dłań była

pięknością piękności, bez której nie rozumiał szczęścia na ziemi, i drugą, która mu była wstrętną. Od pierwszej chciano go oderwać, do drugiej chciano przykuć, człowiekiem zaś, który był sprawcą tego wszystkiego, który czynił zamach na jego szczęście, był jego własny ojciec. On chciał go wydrzeć ze śnieżnych ramion Delfiny, on chciał go widzieć ożenionego z inną, niezależnie od tego, że tą inną musiała być kobieta niekochana i znienawidzona zawczasu. Co najgorsza, że nie było sposobu oparcia się tej ojcowskiej przemocy, a przynajmniej on, znając sytuacyę, nie widział środka ratunku. Chyba samobójstwo! Pozatem, albo należało się poddać woli ojca, albo z nim zerwać, to znaczy, wtrącić go do grobu. Miał do wyboru: samobójstwo albo ojcobójstwo. Jedno z dwojga! Jeśli się kochał w dramatycznych sytuacyach, to teraz uwikłał się w taką, że o bardziej naprężonej marzyć nie mógł! O jakiemś *modus vivendi*, pozwalającem pogodzić własną wolę z wolą ojca, nie zrywać ani z ojcem, ani z Delfiną, nie zatruwać życia ani ojcu, ani sobie, nie mogło być mowy, gdy się znało despotyczne usposobienie generała... Co robić więc? co począć? jak wybrnąć z tego błędnego koła? Niestety, były to wszystko pytania, na które Krasiński darmo szukał odpowiedzi. Rozumiał tylko, że się znalazł w fatalnym labiryncie, w którym słyszał złowrogi ryk Minotaura, a napróżno rozglądał się za zbawczą nitką Aryadny.

Dręczony podobnemi wątpliwościami, dojeżdżając do Drezna, w Pyrna, podczas przeprzęgu koni, wszedł na cmentarz. „A śliczny to cmentarz, zaraz przy drodzę, pełny pomników, podnoszących się

wśród gęstwiny kwiatów i cyprysów. Po bokach, za kratami przestronniejszych grobów, stoją donice z rożami i liliami, przyniesione umarłym przez tych, którzy ich kochali za życia." Przechadzając się po tym cmentarzu, który mu nie mógł przypomnieć owego fryburskiego, zadumał się, jak Hamlet, nad swoim smutnym losem. „Czemuż, pomyślał sobie, takie ładne cmentarze, a takie szpetne drogi, któremi żywi jeżdżą?... Czyżby nie lepiej było, gdyby ciche lilie i wonne róże rosły w rękach żywych, a nie na mogiłach pełnych pruchien, które ich nie czują? Ale niezawodnie na tym świecie, przynajmniej na jego powierzchni, co krok zdarzy się napotkać dziwną ironię: *szczęście, jednemu dane, które nie jest szczęściem dla niego, a któreby drugiego, któremu odmówione, porwało do niebios, lub szczęście, zapóźno zdarzone, dziś nadaremne, choć używane wczoraj, gdyby wczoraj było nadeszło, i dzień dzisiejszy byłby jeszcze rajem, ale że dziś dopiero się objawiło, niczem już nie jest.* Kto tajemnice wszystkie te zbada, kto rzeczywisty ich sens wykryje?"

W takich warunkach znalazł się d. 15 lipca 1839 r. w Dreznie i zastał tu ojca „już wyjeżdżającego do Warszawy." Generał, zirytowany tem opóźnieniem się syna (boć mieli spotkać się w Pradze w końcu czerwca!), gdy się przekonał nadto, że Zygmunt teraz o małżeństwie ani słuchać nie chce, co na razie przynajmniej krzyżowało jego ojcowskie plany i kombinacye z Branickimi, wpadł w gniew, którego najwymowniejszą ilustracyą było to, że jeszcze tego samego dnia wyjechał z Drezna: gdyby z synem

harmonizował w opiniach, gdyby Zygmunt okazał się pochopnym do pokłonienia się Branickim, można być pewnym, że generał przedłużyłby swój pobyt w Dreznie. Skoro wyjechał w parę godzin po zobaczeniu się z synem, dowodziło to, że sobie niewiele mieli do powiedzenia, że to widzenie się ich, o ile było krótkie, o tyle obfitowało w niesłychanie przykre dysonanse. Generał, rozdrażniony opozycyą syna, w pierwszej chwili chciał go zabrać z sobą do kraju, ażeby tym sposobem położyć koniec tej jego kosztownej i próżniaczej włóczędze po zagranicach, gdzie nietylko nic nie robił (bo utwory poetyckie Zygmunta uważał generał za nic), ale się jeszcze dawał bałamucić różnym lafiryndom i awanturnicom w rodzaju pani Delfiny! Dlatego chciał go zmusić do powrotu do kraju, gdzieby mógł zająć się czemś produktywniejszem, jako ordynat. Dość już było tych podróży i romansów z mężatkami! Ale i tu spotkał się generał z opozycyą ze strony Zygmunta, ten bowiem, mając paszport jeszcze na lat pięć, a będąc pełnoletnim, oświadczył, iż do kraju nie wróci. Tego już było nadto generałowi! Przyzwyczajony do wojskowej subordynacyi, nie znoszący, ażeby ktoś śmiał sprzeciwiać się jego woli, gdy się przekonał, iż Zygmunta nie może zniewolić do powrotu do kraju, bo nawet ojcowska jego władza nie sięgała tak daleko, postanowił przełamać opór swego jedynaka i ściągnąć mu trochę cugli innym sposobem: zapowiedział mu, że odtąd nie będzie otrzymywał tyle pieniędzy, co dotąd, że jeśli chce przebywać za granicą, to może się ograniczyć w wydatkach. Zygmunt przystał na ten uciążliwy warunek, a nawet,

aby już nie drażnić ojca, nie przyznał się, że przedewszystkiem w tej chwili goni ostatkami, że ledwo miał o czem zajechać do Drezna. Nic nie wspomniawszy o tem, naraził się na to, że generał wyjechał, nie dawszy mu najmniejszego zasiłku. Ze wszystkich przykrości, jakich poeta doświadczył w ciągu pierwszych godzin swego pobytu na Elbą, ta była najdotkliwszą...

Nie pozostawało nic innego, tylko zaciągnąć pożyczkę. Od kogo? Wprawdzie niedobrze jest pożyczać pieniędzy od przyjaciół, ale są wypadki, w których ostateczność zmusza postąpić wbrew tej zasadzie. Krasiński znajdował się właściwie w takim wypadku. Dlatego, nie namyślając się długo, tegoż samego dnia, 16 lipca, napisał list do Edwarda Jaroszyńskiego, list, w którym się między innemi z taką do niego zwracał prośbą: „Jeśli możesz mi jeszcze wyświadczyć ważną przysługę, to ci z głębi serca wdzięcznym będę. Jestem w położeniu dość przykrem: mniej więcej wypadłem z łask ojca. Nie przeczę, żem mógł mu zakrwawić serce niektóremi czynnościami memi; nie odpowiedziałem w niczem jego myślom. To pozostanie między mną a Bogiem. Wiesz zapewne, że są pewne uczucia, których sprawiedliwości wykazać nie można rozsądkiem, a które jednak są sprawiedliwemi, nie na tym świecie, ale w wieczności; my zaś na tym świecie żyjemy: kto się doń nie stosuje, musi karę znosić. Otóż, jak ci mówię, teraz on mniej więcej zobojętniał dla mnie. Wiem, że gdybym go poprosił, natychmiastby mi przysłał pieniędzy, ale wolę ciebie o to prosić, bo między twojem sercem a mojem nie czuję żadnej

zapory. Jeśli możesz zatem, Edwardzie, przyszlij mi z listem na ręce Simmy[1] 300 lub 400 dukatów“[2]). W tymże liście, który jest bardzo długi, znajdują się także echa tych przykrych dysonansów, na których się ograniczyło to krótkie widzenie się poety z ojcem. „Co chwila zmienia się stosunek okrucieństwa: raz dzieci rodzicom, znów rodzice dzieciom rozżarzone węgle kładą na głowę. Wszyscy młodzi są poetami prawie, wszyscy starzy przeczą poezyi.“

Tymczasem wszystko się skończyło na razie: ojciec pojechał do Warszawy, on był w Dreznie sam, z Konstantym Danielewiczem, i mógł robić, co mu się podobało. Niestety, bez pieniędzy człowiek jest niewolnikiem, nawet, jeżeli się urodził poetą, choćby takim jak Krasiński. Najlepszym dowodem list tegoż do Sołtana, datowany tegoż dnia 16 lipca, co i list do Jaroszyńskiego, a w którym ustęp „o materyalnych interesach“ także niemało zajmował miejsca. „Proszę cię, mój Adamie, pójdź do bankiera Simmy w Wiedniu i spytaj go się mojem imieniem,

---

[1]) Bankiera w Wiedniu.

[2]) Ciekawym jest dalszy ciąg tego samego listu, którym jednak tekstu samego zbyt obciążać nie chcę: „Dług mój dawny, który ci odesłałem z Rzymu, znów zaciągam u ciebie, a oddam ci, jak tylko będę mógł, zapewnie w przeciągu roku; *jeszcze procent ci zapłacę.* Zresztą wiem i pewny jestem, że to uczynisz mi, jeśli możesz, tak, jakbym ja dla ciebie uczynił w każdym razie wszystko, cobym mógł. Im prędzej mi przyślesz, tem lepiej będzie, bo gonię ostatkiem, a do kraju wrócić nie chcę (ze względu na przykry stosunek z ojcem). Zatem proszę cię, przez Stocknera do Simmy, z przyłączeniem notatki, że te pieniądze są dla mnie i że powinien przesłać mi je tam, gdzie jestem; *ja zaś ci zaraz po ich odebraniu rewers przyślę.*“

czy nie przyszły na jego ręce pieniądze dla mnie z Gdańska, a jeśli przyszły, albo w tych czasach przyjdą (o czem, proszę cię, dowiaduj się lub każ sobie donieść do domu), to mi zaraz napisz do Bad-Baden, Gross-Herzogthum von Baden. W tych albowiem pieniądzach ostatnia moja nadzieja: z wygrania sprawy w Prusiech spaść powinny na niżej podpisanego, a jeśli nie spadną, to niżej podpisany sam *beknie* na ziemię w całej goliźnie świętych tureckich. Proszę cię więc o to, byś się dowiadywał czasem u Simmy; a kiedy *flota* owa nadpłynie, doniósł mi zaraz...“ Czytającego te słowa, tak odskakujące od zwykłego stylu listów autora *Irydyona*, musi zadziwić dobry humor, który z nich wieje, dobry humor, bynajmniej—jak w danym wypadku—nie licujący z sytuacyą, która przecież, niech kto mówi, co chce, zabawną nie była. Nie należy zapominać, że w chwili, kiedy poeta list ten pisał, upłynęło od wyjazdu generała parę, najwyżej kilka godzin. Pomimo tego „nie mam *żadnych do smutku przyczyn*, pisał Krasiński w tym liście do Sołtana; owszem, powinienbym być *dość szczęśliwy i różanych myśli...*“ Dowód to w każdym razie, że się Krasiński po wyjeździe ojca bardzo prędko uspokoił, że sobie wszystko, przez co był przeszedł niedawno, nie bardzo brał do serca.

Wystarczało mu wiedzieć, że znowu jest wolny, że może jechać na spotkanie z Delfiną [1]. Jakoż spo-

---

[1]) Koniec lipca i początek sierpnia, spędził Krasiński w państwie badeńskiem, w Freiburgen, Brisgau, niedaleko Bad-

tkał się z nią wkrótce pod koniec sierpnia we Fryburgu, i tu spędzili dwa miesiące blizko. „Nie wyobrazisz sobie, jaka tu pyszna jest katedra. Chodzę do niej codzień po kilka razy i za jej progiem zapadam w przeszłość średnich wieków. I zdaje mi się często w tym pustym kościele, żem otoczony duchami tych, którzy za wiarę polegli; mistyczne farby tych szyb przecudownych leją się w duszę moją, jak promienie jakiejś smętnej tęczy, świecącej nad grobem męczeników; i nieraz, podnosząc głowę ku krzyżom, pytam się: „A zaż zmartwychwstaną, Panie?" Lecz zawsze pusto, lecz wiecznie milcząco: nie zejdą z pośród ram obrazów Matki Boskiej, nie ruszą się Święci z podstaw posągów; postać Chrystusa niewzruszenie przybita do krucyfiksu. I głos mój, obiwszy się o sklepienia gotyckie, kona!" Oprócz tych chwil podniosłych, spędzanych w katedrze, bądź samotnie, bądź we dwoje tylko, z Delfiną, bądź we

---

Baden. Jest wielkie prawdopodobieństwo, iż w Bad-Baden była pani Delfina Potocka z matką. W każdym razie był to wielce kłopotliwy okres w jego życiu. Generał się zawziął i nietylko nie przysyłał mu pieniędzy, ale nawet nie dawał znaku życia o sobie. Krasiński nie wiedział zupełnie, co porabia jego ojciec, gdzie się podziewa. „Od mego ojca ani słówka (pisał do Sołtana 14 sierpnia 1839); czyś nie słyszał czasem, gdzie on pojechał, co się z nim stało." Nie wiedząc, gdzie przebywa generał, nawet napisać do niego nie mógł, a miałby mu nietylko o czem pisać, ale mógłby go nawet o co prosić, położenie bowiem, w jakiem się znajdował, nie należało do najweselszych: „Jestem co się zowie w kiepskim losie *prawie bez grosza*, a pięć tysięcy guldenów powinno mi z Gdańska przyjść do Simmy. Zmiłuj się, pójdź do niego i spytaj, czy są... Nie wiem, co *uczynię bez pieniędzy w tym kącie* świata, w którym nikt mnie nie zna; chyba kruk jaki w pustyni bilet bankowy w dziobie mi przyniesie. Pisałem także do Edwarda Jaroszyńskiego, by mi 400 dukatów przysłał do Simmy. Może te przybyły?...

troje, jeżeli i Danielewicz im towarzyszył[1]), resztę czasu spędzali na spacerach, na rozmowach, na muzyce, na śpiewie, na czytaniu.

Dzień schodził w górach, po winnic zieleni,
Gdzie bory szumią i potok się pieni,
A w wieczór razem, w cichym razem domu,
Razem we troje,

albo we dwoje[2]); i tak przeżyli i przekochali czas aż do późnej jesieni. Ponieważ okolice Fryburga są prześliczne—„góry, nieprzejrzane łąki, lasy, Szwajcarya *całą gębą*, tylko, że mniej dzika i przepaścista"—więc i do Włoch nie było po co się spieszyć.

Z początku, aż do pierwszych dni września, byłoby to dla Krasińskiego trudnem, a może niemożebnem nawet, o ile bowiem z jednej strony przez cały czas pobytu swego we Fryburgu oddychał najczarowniejszą poezyą, o tyle z drugiej, pod względem finansowym mianowicie, sytuacya jego była w najwyższym stopniu prozaiczna. Dość powiedzieć, że streszczała się w następujących słowach listu do Sołtana, do którego pisał „i jak Anachoreta, i jak Endymion, bo goły." W innym liście znów donosił przyjacielowi, że jest „coraz golszy, coraz golszy." „Mam już tylko osiem napoleonów, a do nadejścia mojej pensyi—od ojca—jeszcze daleko." Ztąd niemały powód do spleenu; bo i cóż z tego, że mógł kosztować nieziemskiego szczęścia przy boku swojej kochanki, kiedy pod ziemskim względem był podo-

---

[1]) Zob. wiersz Krasińskiego *Fryburg*, zaczynający się od słów; „*Troje* nas było w tym gockim kościele..."

[2]) Tamże.

bny do Endymiona, posrebrzonego o tyle, o ile go srebrzyły promienie księżyca. Szczęściem, nie trwało to długo; 12 września mógł już donieść Sołtanowi, że znowu zaczyna być przy żywotnych siłach, czyli Endymionem, posrebrzonym — nietylko promieniami księżyca. Miał list od ojca, który mu obiecywał przysłać pensyę na pierwszego do Frankfurtu, z listu Jaroszyńskiego dowiedział się, że 1,000 rubli wysłane są dla niego do Odesy, słowem, miało się już pod koniec kłopotom pieniężnym, które zwłaszcza w podobnej sytuacyi, kiedy służą za akompaniament czułemu duetowi miłosnemu, mogą bardzo łatwo kochankowi życie zatruć, choćby nawet kochanka tak była piękną, jak pani Delfina Potocka. Nie dziw więc, że i Krasiński, dopóki pieniądze nie nadchodziły, był smutny i „choć *goły*, nie mógł do rymu dobrać *wesoły*." Z chwilą jednak, kiedy otrzymał pierwszy zasiłek, odrazu odzyskał pogodę umysłu i dobry humor. Dowodem tego pełen humoru list do Sołtana z d. 20 września. „Już w przeszłym liście ci donosiłem, mój drogi, że jedna eskadra mi tu przypłynęła, że flota cała z Warszawy do Frankfurtu płynie, a trzecia eskadra do Wiednia zdąża i już teraz wżaglowała zapewne do przystani Simmy. Widzisz zatem, że panuję nad niezwyciężoną Armadą. Odprawiam ci więc nazad ten piękny i poważny okręt o dwustu działach holenderskich, któryś mi przysłał [1]); odprawiam go nazad, błogosławiąc jemu na drogę; niech wróci do ciebie. Nazwa jego *Przy-*

---

[1]) Sołtan, zaniepokojony finansowemi kłopotami Krasińskiego, przysłał mu z Wiednia 200 dukatów holenderskich.

jaźń. Niech spocznie w porcie biurka twego i niech tam, kołysząc się na uśpionych wodach, powtarza ci codzień rano, gdy wstaniesz, i w wieczór, gdy się kłaść będziesz: *Zygmunt ci dziękuje...*"

W trzy miesiące później, na krótko przed Bożem Narodzeniem, znów był Krasiński z powrotem w Rzymie. Pojechałby może do Neapolu, gdzie już zjechała także na święta i „Didysza," ale wobec zbyt ceremonialnego stosunku z Komarami, musiał sobie odmówić tej przyjemności. Delfinie, która mu proponowała odwiedzenie pałacu Gallo, odpisał w te słowa: „Czy pojmujesz frak na mojej osobie? marne słowo o deszczu lub o słońcu w mych ustach? kapelusz w ręku moim?" Wiedząc, że go strzedz będą przy Delfinie, że nigdy ich sam na sam nie zostawią, że będzie zmuszony milczeć przed nią „o tych rzeczach właśnie, które tysiącem pytań rwać się będą z jego ust, jak niewstrzymany potok, aby po długiem niewidzeniu zaspokoić tęsknotę jego zbolałej duszy," wolał uniknąć podobnej męczarni i zdecydował się spędzić święta w Rzymie, w dali od ukochanej. Oczywiście, że to nie było źródłem dobrego humoru; pomimo częstych listów od Delfiny, do której pisywał codziennie, był w nastroju rozpaczliwym. Ztąd wszystkie listy, których tyle wysyłał do Neapolu, tchnęły bezbrzeżnym smutkiem, graniczącym z rozpaczą. Oto np. co pisał w liście z d. 23 grudnia, pełnym narzekań na los, który, jak mu się zdawało, „od urodzenia" znęcał się nad nim: „Ciągle żyłem łzami drugich. Miłość wszystkich ku mnie musiała zawsze nareszcie w wyrzut, truciznę i gorycz ducha się przemienić..." W tak ponurym na-

stroju zastał go wieczór wigilijny. Zmuszony spędzić go w odmiennych warunkach, niż w roku zeszłym, podniecony wspomnieniem tej chwili, gdy o tej samej porze, przed rokiem, tradycyjnym zwyczajem łamał się opłatkiem z Delfiną, a nie mogąc się oderwać od ciągłej spójni myślowej z nią, usiłował „siłą woli, a raczej bezgranicznej miłości" przywołać ją do siebie, ażeby „wyzwana przezeń, stawiła się przed nim „w duchowej postaci, lecz dla zmysłowego oka pochwytnej." Wierząc, że to jest możebne, że „w tej uroczystej chwili, gdy w całem chrześciaństwie ręce wyciągają się do bratniego uścisku, wszystkie serca biją w takt dzwonu watykańskiego, który wieści *urbi et orbi* radosną nowinę," Delfina ukaże mu się samotnemu, Krasiński, gdy się poczęło ściemniać, gdy gwiazda betleemska zaświeciła nad Tybrem, pewien, że jego komnatę rozwidni świetlana postać kochanki, oczekiwał jej ukazania się, wołając:

Wzywam cię w boskiej wspomnienia godzinie,
Stań tu przedemną, nim ta chwila minie!
Stań tu przedemną...

Lecz nagle przerwał tę poetyczną ekstazę „grzmot armat, który z fortecy św. Anioła rozległ się po siedmiu pagórkach Rzymu:" senne magnetyczne potoki, już gromadzące się wokoło rozmarzonego poety, rozpłynęły się: do spodziewanej wizyi nie przyszło. W taki sposób przeszła tym razem Krasińskiemu „godzina czasów wigilijnych" [1]).

---

[1]) Choć wieczoru tego nie ujrzał Delfiny, nie osłabiło to w nim jednak wiary w materyalizacyę zjawisk duchowych. Tłómaczył

Nie tak romantycznie spędził dzień Nowego Roku. Poeta siedział w swoim pokoju, gdy nagle wszedł dobry znajomy jego i Delfiny, Dąbrowski, a często ich *postillon d'amour*. Tym razem zjawił się z podarunkami noworocznemi od „Didyszy," przynosząc „włosów jej pierścień, i listków zielonych dwoje, i *ricordarsi* z myślami wypisanemi na złocie, i węża koralowego, co połyka sam siebie, symbol wiecznie niknącej i odradzającej się nadziei." Poeta był niezmiernie uradowany widokiem tych dowodów pamięci o nim Delfiny, a jednocześnie, przypatrując się im, zasypywał Dąbrowskiego całym szeregiem pytań, prosząc go, ażeby mu mówił wszystko, co wie o pani Potockiej. Dąbrowski, czyniąc zadość jego życzeniu i kreśląc *palcem na kurzu stolika* plan pokojów Delfiny, opowiadał o różnych szczegółach jej życia, to jednak, co miał do opowiedzenia, niekoniecznie brzmiało wesoło. Pani Potocka bowiem, o ile zauważył był w Neapolu, „niby niewolnica lub dusza pokutująca," stała się przedmiotem złośliwej kontroli otaczających ją osób, a zmuszona znosić humory swej siostry, Natalii, nie mogła także protestować przeciwko przechadzkom Zefiryny, która, kadząc, „lekką stopą wałęsała się po jej pokojach."

„Wzamian za odebrane dary" przesłał Krasiński, przez tegoż Dąbrowskiego, również i swoje upominki dla Delfiny, ale jakże się zdziwił, gdy mu je

---

on je sobie naukowo „łącznością elektrycznych fluidów dwóch istot sympatyzujących z sobą, których widma biegną ku sobie z dalekich stron, jak głos w falach powietrza, poruszonych drganiem, jak światło w falach eteru, z szybkością 48,000 mil na sekundę." *Tyg. ilustr.* 1898, str. 409.

w kilka dni później, nie wiadomo z jakiej przyczyny, wszystkie odesłano z powrotem, bez słowa objaśnienia. Mocno to zafrasowało poetę. Miał nawet chwilę, gdy był oburzony poprostu, bo żeby mu przynajmniej powiedziano powód, dla którego nie przyjęto jego prezentów: czy mu tem chciano okazać swą niechęć, czy też Delfina sama, urażona zbyt wielką cennością owych upominków, zdecydowała się na ich odesłanie. Cokolwiekbądź, najdziwaczniejszem było to, że Delfina, pisząc do Zygmunta, całkiem nie poruszyła tej drażliwej kwestyi podarunków, pomimo, że ją niejednokrotnie interpelował w tym względzie.

Do nieporozumienia tego, niemiłego dla Krasińskiego, jak i dla Delfiny, nie doszłoby prawdopodobnie, gdyby poeta zamiast kosztowności (będących odpowiednim upominkiem dla śpiewaczki lub kokoty, ale nie dla pani Potockiej), przesłał swej Beatryczy, na pamiątkę tego Nowego Roku, egzemlarz dzieł dramatycznych Schillera w przekładzie francuskim, o którym jej donosił w liście z d. 24-go grudnia. „Wszystkie tragedye Schillera po francusku kupiłem dla Ciebie. *Fiesca* sam odczytać Ci muszę. *Fiesco* to radosny *Irydyon*, *Irydyon* to smutny *Fiesco*.“ Tymczasem, zanim mogło przyjść do tej sceny czytania, kto wie, czy jej sobie Krasiński nie wyobrażał oodobną do słynnej sceny z piątej pieśni Dantejskiego Piekła, bo, że pomiędzy Delfiną a Franczescą de Rimini widział niemało podobieństwa, na to znajdują się dowody nawet w jego korespondencyi z „Didyszą,“ np. w liście z d. 29-go grudnia 1839 r., gdzie poeta, widocznie wierzący w metampsychozę, najprzód przypuszcza, że w wiekach średnich dusza

Delfiny musiała być wcieloną w postać Franczeski de Rimini, a następnie zapytuje, czy to nie o niej Dante napisał swą smutną powieść, czy nie z nia czytywał Galeotta, i czy nie to jest powodem, że tak lubiła powtarzać tèn wiersz z *Boskiej komedyi*: *„L'amor ch'a null' amato l'amor perdona?“* W tymże liście wyobrażał ją sobie w postaci bohaterskiej Hero, zapatrzonej w dal morską za swym Leandrem, gdy dążył do niej po wzburzonych falach, by skonać u nóg kochanki. „Powiedz mi, czyś ty nie była przed wiekami ową Greczynką, co w wieży nad brzegami morza zapalała co noc światło płonące i tęskno czuwała, a ja — tym Grekiem, co przepłynąwszy Helespont, skonał u stóp tej wieży pod twemi oczami?“ W innym rodzaju był list pisany nazajutrz, dnia 30-go grudnia: o ile tamten był pełen obrazów z dziedziny mitologii i historyi, o tyle ten był filozoficzny, cały na temat skojarzenia uczucia religijnego z poezyą, mających wspólny początek w duchu Bożym. „Kwiat uczucia najwyższy to poezya, owoc najwyższy, to religia. Zniszcz kwiat, co z owocem począć? Na takiej drodze, trzebaby dojść do ateizmu, wszystko za ironię poczytać i za złudzenie. Niema rady, albo poezya, od której poczyna się religia, z której znów idzie filozofia, jest prawdy przeczuciem, albo religia i filozofia są także fikcyami.“ Dziwnie brzmią podobne zagadnienia filozoficzno-metafizyczne w listach do ex-kochanki księcia d'Orléans i pana Flahault.

Po za chwilami, które poeta spędzał na pisaniu listów do swej Beatryczy, na co wogóle niemało poświęcał czasu (nie mówiąc już o listach do ojca

i przyjaciół), mało wdawał się ze światem, raz dlatego, że „dobre chwile można spędzić tylko z kochanymi,“ powtóre, że obrzydły mu niegodziwe plotki, któremi się karmiła cała kolonia polska w Rzymie, a których przedmiotem był on i jego Beatrice. Ale nietylko miejscowe plotkarstwo dawało mu się we znaki; nie brakło i innych powodów, dla których nie zawsze wszystko widział w jasnych kolorach. Przedewszystkiem był w ciągłych kłopotach finansowych, ojciec zaś, nietylko, że mu skąpił grosza, ale go jeszcze nie przestawał dręczyć różnemi projektami małżeńskiemi. „W dość jestem dziwnem położeniu, pisał z tego powodu do Sołtana: znów mój ojciec (to samo, co zawsze, od lat pięciu) wzywa mnie do Karlsbadu, znów prowadzi na mnie hufiec panien, jak mówi Horacyusz! Mnie już tak to znudziło, że mnie oburzyło, że mi nerwy skaczą, jak pchły po ciele, gdy tylko wspomni o tem. Nie wiem, jak sobie poradzę, to wiem tylko, że jeszcze mam dwa lata młodości i że myślę ich użyć nie na ślub przed ołtarzem. Ze wszystkich instytucyi ludzkich najmniej pojmuję formę małżeństwa.“

W końcu stycznia, zaproszony przez Delfinę, udał się sam, bez Danielewicza, do Neapolu. Spędził tam trzy tygodnie, rozświetlane „błyskawicami błogości.“ Po za tem gonił ostatkiem swoich dwudziestówek, miewał chwile, że „czuł się młodym i nieraz dyablo silnym,“ a kiedy w połowie lutego znalazł się z powrotem w Rzymie, znów miał „pieniędzy niedużo, pojazdu nigdy, za jedzenie stół Leprego, za salon pokój Konstantego, za pociechę cygaro, za na-

tchnienie wiele smutków, za wiarę godność człowieka, za nadzieję nic."

Tak upłynęło pół roku. Z nadejściem czerwca, naglony listami ojca, musiał jechać do Karlsbadu, gdzie, oprócz generała, mieli być także i Braniccy. Jakoż stanął tam 18-go lipca i, stosownie do życzenia ojca, życzenia równającego się rozkazowi, zaczął przestawać z Branickimi i ich starszą córką. „Są tu Braniccy, pisał 27-go lipca do Sołtana; tą razą nie spisałem się jak niedźwiedź; owszem, rozmawiałem długo z panną Elizą. Zdaje się, że słodka i dobra bardzo osoba. Życzę jej z serca, by była szczęśliwą na ziemi."

II.

W tych kilku słowach Krasińskiego o pannie Elizie Branickiej, że zdaje mu się być „słodką i bardzo dobrą osobą," jest cała jej charakterystyka; słodycz bowiem, w połączeniu z anielską dobrocią, były głównemi pierwiastkami psychicznemi, jakie się złożyły na ten charakter, prawdziwie wyjątkowy pod wieloma względami, a niepospolity pod każdym. Jedna to z piękniejszych postaci niewieścich polskich, jakiemi się w ostatnich czasach nietylko nasza arystokracya pochlubić może. Urodzona w Tomaszpolu na Wołyniu, w r. 1820, jako córka senatora Władysława hr. Branickiego i Róży z hr. Potockich *primo voto* Antoniowej hr. Potockiej, miała obecnie lat dwadzieścia, a obok wielu przymiotów duszy, jakiemi

się odznaczala, posiadała jeden — zewnętrzny — który ją cechował przedewszystkiem: była piękna, jak rzadko, poprostu zdumiewająca, nieprawdopodobna [1]); stała między ludźmi, niby jakieś nadludzkie, nieziemskie zjawisko, najpiękniejsza wśród najpiękniejszych, pomimo, że epoka, o której mowa, dziwnie była obfita w piękności pierwszego rzędu. Brunetka, o włosach czarnych, jak heban, a lśniących jak atłas, które tem były piękniejsze, że stanowiły przepyszny kontrast ze śnieżno-białą, idealnie świeżą, matową, iście brzoskwiniową cerą; o rysach regularności doskonałej, klasycznej, bez zarzutu, o prześlicznym, bardzo rasowym, a dość wydatnym nosie; o kształtnych nadzwyczaj, delikatnych ustach, których największą ozdobą był przedziwny uśmiech, łagodny, trochę smutny, a niewypowiedzianie słodki i wdzięczny, uśmiech, który był jednym z najcharakterystyczniej-

---

[1]) W bardzo trudnem położeniu znajduje się ten, kto się kusi o nakreślenie moralnej i fizycznej sylwetki panny Elizy Branickiej (pani Krasińskiej) po prof. St. Tarnowskim, którego wizerunek pani Krasińskiej, skreślony w książce o Zygmuncie Krasińskim (Kraków, 1892, str. 445 — 451), jest ostatniem słowem literackiego pastelu. Wobec tego nie weźmie mi nikt chyba za złe, jeżeli nie czując się na siłach do skreślenia lepszego wizerunku przyszłej pani Krasińskiej, trzymać się będę wiernie prof. St. Tarnowskiego, i jeżeli z przepysznego, prawdziwie Van-Dyckowskiego portretu, jaki on nakreślił w swej książce, pozwolę sobie tutaj sporządzić kopię, która tem będzie lepsza, im będzie wierniejsza, z tą różnicą jedynie, że prof. St. Tarnowski skreślił portret *pani Krasińskiej*, kiedy ja, w tem miejscu, nie chcąc uprzedzać wypadków, uważam na razie za stosowniejsze dać wizerunek tylko *panny Branickiej*, takiej, jaką mogła być w chwili, kiedy ją teraz, w roku 1840, widywał w Karlsbadzie Krasiński. Uważam, że tak będzie właściwiej, ze względów psychologicznych. Jaką była żona Zygmunta później, jako *pani Krasińska*, o tem powiem w stosownem miejscu. Teraz, t. j. aż do r. 1843, obchodzi nas tylko *panna Branicka*.

szych rysów tej piękności; o pięknych czarnych, przecudownie oprawnych, pełnych wyrazu, bardzo żywych i inteligentnych oczach, którym, jeżeli można było coś zarzucić, to chyba to jedynie, że w stosunku do innych rysów mogłyby być cokolwieczek większe; postawy okazałej, wysokiej i kształtnej, jakby wyszła z pod dłuta rzeźbiarza; o ruchach powolnych, wikwintnych, pełnych harmonii, gracyi i jakiejś wrodzonej estetyczności; o głosie dźwięcznym bardzo, raczej cichym, a mowie łagodnej, nieprzyśpieszonej, a jeśli rozweselonej śmiechem, to nietrwałym, przelotnym, ale pogodnym i jasnym, a pełnym srebrzystego dźwięku: była to istota, jako uroda niewieścia, fenomenalna poprostu, która bezwiednie i mimowoli czarowała każdego. Niepospolicie inteligentna, a bardzo wrażliwa z natury; o wyobraźni bujnej i poetycznej, nie twórczej wprawdzie, ale, jak każda wyobraźnia niewieścia, więcej biernej, aniżeli czynnej, głównie skłonnej do idealizowania ludzi i rzeczy; z niesłychaną łatwością do nauki; z umysłem subtelnym, bystrym, bogato wyposażonym w zdolność spostrzegawczą; ze zmysłem artystycznym wrodzonym, bardzo trafnie oceniającym wszystko, co miało związek z literaturą i sztuką; z niemałym talentem literackim, który z jej listów, zawsze bez namysłu, pobieżnie pisanych — po francusku lub po polsku — czynił w swoim rodzaju małe klejnoty lekkiego stylu, humoru, dowcipu i bystrych spostrzeżeń i uwag [1]);

---

[1]) W r. 1861 — opowiada prof. St. Tarnowski—wyszedł bezimiennie w jednym z dzienników francuskich jej list o ówcze-

bardzo oczytana, zwłaszcza w poezyi owoczesnej, której miała znajomość niepowszednią; a przytem uczuciowa z usposobienia—nawet egzaltowana trochę pod wpływem ówczesnej romantycznej mody — szczera, choć zawsze umiejąca panować nad sobą, i np. nie zdradzać się z uczuciami, jakich doznawała, jeżeli tego nie uważała za stosowne; nadzwyczaj miła, choć pełna wyniosłego chłodu i godności wobec otoczenia; posiadająca niezmiernie wiele taktu w stosunkach towarzyskich, a nadto praktyczna i trzeźwa, gdzie tego było potrzeba, do tego stopnia, że nawet w takich sprawach, jak majątkowe, odznaczała się niekobiecą biegłością i rozumem: posiadała wszelkie warunki potemu, ażeby się módz podobać, ażeby sobą zachwycać wszystkich.

Krasiński odrazu poznał się na jej wartości. Choć uprzedzony na jej niekorzyść, nie mógł nie przyznać, że była piękną, jak grecka bogini, nie mógł nie uznać jej wyższości umysłowej, uzbrojonej nawet w znajomość matematyki i filozofii, nie mógł nie podziwiać jej niczem niezamąconej równowagi psychicznej. Nie mógł także nie podziwiać jej taktu w stosunku do niego. Pod tym względem, jak i pod wieloma innemi, nie przeczył, że mu imponowała. Bił od niej pewien majestat, przed którym korzył się nawet on! Jakoż, w miarę, jak przestając z nią coraz

snych wypadkach warszawskich (bardzo obszerny, prawie mała broszura), napisany tak doskonale, z takiem życiem i z takim wytrawnym sądem politycznym, że zrobił wrażenie nawet na francuskich czytelnikach. Szukano autora między głośnymi publicystami, domyślano się zamaskowanego Prevost-Paradola, albo Klaczki; tymczasem, autorem była pani Krasińska (już wówczas, od półtora roku, *Ludwikowa Krasińska)*.

więcej, poznawał ją coraz lepiej, niebawem doszedł do wniosku, że ze wszystkich panien na wydaniu, które mu narzucał ojciec, panna Eliza mogła być dlań najmniej wstrętną. Wogóle rozbrajała go swoją słodyczą i spokojem. To też nawet w listach do Delfiny wyrażał się o niej pochlebnie, bo gardziłby sobą, gdyby o tak anielskiej istocie pisał niekorzystnie.

Mimo to w obejściu z nią zachowywał się obojętnie, często nawet niegrzecznie (choć pewno nie tak niegrzecznie, jak się tem później chwalił w listach do Delfiny). Bądź co bądź, zajął stanowisko odporne, podkreślając delikatnie, że, kochając inną, nie mógł być bardziej nadskakującym wobec panny, którą mu narzucano gwałtem, a przynajmniej narzucał mu ją ojciec.

O Branickich nie mógł za to powiedzieć nic podobnego: im wcale na nim nie zależało tak bardzo. A panna? Jej także był dość obojętny, choć ze wszystkich mężczyzn, jacy kiedykolwiek starali się o jej rękę, jego stawiała najwyżej. Zajętą nie była nim wcale. Ceniła go, jako genialnego autora *Nieboskiej* i *Irydyona;* mogła nawet znajdować niemałą przyjemność w rozmowach z poetą, ale na tem koniec: człowiek musiał się jej podobać znacznie mniej, raz dlatego że przystojnym nie był wcale, że pomimo młodego wieku (liczył sobie dopiero lat 28), wyglądał na starszego o wiele i bardzo przeżytego, a powtóre, że chcąc się podobać kobiecie, trzeba się o to starać choć trochę; on tymczasem robił możliwie mało wysiłków w tym kierunku. Wobec tego i panna Eliza zachowywała się chłodno. Wiedziała,

co jest warta, sama o czyjeś względy dobijać się nie uważała za stosowne. Zwłaszcza w tym razie. Wiedziała zresztą, że był zakochany w kim innym, wiedziała o jego przykrym stosunku z ojcem, wiedziała, co myślał o małżeństwie, więc narzucać mu się nie miała najmniejszej ochoty.

W ten sposób upłynęło teraz Krasińskiemu w Karlsbadzie trzy tygodnie, od 12-go lipca do 10-go sierpnia, którego to dnia, zwracając drogę na Maryenbad i Monachium, puścił się z powrotem do Włoch, „do słońca mego (jak powiada), do gwiazd moich, do kwiatów moich, do mórz moich z *lapis lazuli.*“ W tydzień niespełna, 15-go sierpnia [1]), był już w maleńkiem miasteczku włoskiem Varenna, położonem nad jeziorem Como, w willi Melzo, przy boku Delfiny, w uniesieniach namiętnej miłości, „koło śnieżnych granitów Alp, otoczonych ciemnym szafirem nieba, opromienionych srebrnym blaskiem księżyca.“ Chwile te, spędzone w towarzystwie ukochanej — we dwoje tylko — znalazły swe nieśmiertelne echo w *Przedświcie*, zaraz w pierwszych wierszach poematu:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem,
Czy pamiętasz Alp granity? i t. d.

---

[1]) Dnia tego napisał już Krasiński wspaniały wiersz do „serca w samotnej żałobie“ (o pani Bobrowej), poprzedzający *Noc letnią*, a pod którym sam podpisał: „Varenna, 1840, 15-go sierpnia.“ Rzecz godna uwagi, że w chwili tej, kiedy miłość jego dla pani Delfiny dobiegała swego kulminacyjnego punktu, poeta pisze *przy jej boku* wiersz, w którym opiewa... panią Bobrową.

W takich warunkach, nie dziw, jeżeli zapomniał o niedawnych kłopotach Karlsbadzkich, o ojcu i pannie Branickiej, i jeżeli, zapatrzony w cudne oczy „Didyszy,“ w niej widział swą Beatriczę, swego anioła-wybawiciela.

„Były to najszczęśliwsze chwile w ich życiu *te podróże we dwoje*, zdala od świata i oczu ludzi zawistnych. Oddani cudnej przyrodzie i swej miłości, pędzili *arkadyjski* żywot, zakopani w jakiejś górskiej wioszczynie.” [1]). Śliczna Varenna, obok Fryburga, trzymała prym między podobnemi miejscowościami: Krasiński, zawsze z entuzyazmem wyrażający się o niej, nazywał ją — w listach do Delfiny — „świętą Varenną” i niejednokrotnie namawiał kochankę, ażeby tam spotkać się znowu [2]).

Zimę spędził w Rzymie, znów razem z panią Delfiną. Dwa miesiące blizko, które tym razem przeżyli nad Tybrem, należały do najpiękniejszych w ich życiu. Pani Delfina mieszkała w osobnej willi, a że była sama, bez żadnej kontroli matki i sióstr, więc mogła się nie krępować ich uwagami *à propos* zbyt częstych i bardzo długo trwających wizyt Zygmunta. Oczywiście, że ten ostatni, znalązłszy się w tak pomyślnej sytuacyi, był w doskonałym humorze, a nadewszystko błogosławił pomysł wynajęcia osobnej willi dla Delfiny, pomysł, którego wykonanie było dlań połączone z tak wielkim trudem wobec ogromne-

---

[1]) *Tyg. ilustr.* z r. 1898, str. 445. *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka.*

[2]) „O ile przypuścić można ze zdań entuzyastycznych poety o wspólnym *tajemnym* pobycie jego z Delfiną w Varennie, miejscowość ta najsilniej wyryła się w umyśle Zygmunta.“ *Zygm. Kr i Delfina Potocka.*

go zjazdu bogatych cudzoziemców, że już się zdecydował żartobliwie „chyba zabić jakiego Anglika, żeby się wyprowadził na cmentarz i Delfinie willę opróżnił..." Z chwilą, gdy się zaczął karnawał, rozpoczęły się prawdziwe dni szału i upojenia dla poety... Karnawał ten, jeden z najpiękniejszych, jakie pamiętano, dostarczył Krasińskiemu nowego szeregu najpoetyczniejszych wrażeń. Ciepło było, jak w maju, z okien, wychodzących na *Corso*, sypał się na przejeżdżające ulicą, a kwiatami udekorowane powozy, „deszcz fijołków, grad cukierków." Choć febry co trzydniowej dostałem — pisał Krasiński do Małachowskiego — jeździłem po tem morzu masek, by oczy mechanicznie przymusić do patrzenia na coś *zewnętrznego*, niepodobnego do myśli *wewnątrz* się snujących." Musiały to być myśli o przyszłości, o naleganiach ojca. Bo że na teraźniejszość, na chwilę bieżącą, nie miał się powodu uskarżać, dowodem listy z tego czasu. Oto np. co o niej pisał w listach do Małachowskiego z dnia 22-go lutego 1841 roku: „Szkoda, żeś z nami nie pozostał (w Rzymie); byłby ci tegoroczny karnawał przypadł do smaku, byłbyś kwiatami obrzucon. Ankwiczów dom nie posiada się od żalu. Maskują się, a że maski czarne, wydaje się im, że to żałoba. Pani Delfina każe ci się serdecznie kłaniać." Wśród podobnych rozrywek, rzuconych na takie romantyczne tło, schodził Krasińskiemu czas z panią Delfiną w Rzymie.

To też, kiedy z nastaniem postu wyjechała do Neapolu [1]), i poeta został sam, za towarzysza mając

[1]) List do Małachowskiego z Rzymu, z d. 2-go kwietnia 1841 roku.

Danielewicza i pomysł *Przedświtu*, z którym się już nosił, humor jego pogorszył się znacznie, albowiem samo korespondowanie z panią Delfiną, choćby najczęstsze, nie wystarczało mu, nie zadawalniało go: tylko, kiedy był przy niej, z nią, czuł się szczęśliwym i względnie zadowolonym z życia; ona bowiem swoim śpiewem, swoją miłością, potrafiła rozpędzać owe czarne jego „myśli wewnątrz się snujące;“ ona jedna umiała sprawić, że zapominał o wszystkiem, co go czekało prędzej czy później.

Tymczasem przekonany był, że cokolwiek stać się z nim może, stanie się na jego „nieszczęście i zgubę;“ wiedział że mu się życie łamało, że mu się droga z pod stóp wycofywała, że przyszłość, jaka go czeka, może dlań być jedynie „goryczy pełną.“ Przeczuwał bowiem, że spotkawszy się z ojcem, znów wzywającym go do Karlsbadu (pewno dlatego, że się tam spodziewał Branickich), będzie musiał raz jeszcze słuchać zaklinań, próśb i złorzeczeń, nakłaniających go, wymuszających na nim, żeby się ożenił, żeby zerwał stosunki z Delfiną, żeby zaniechał ostatecznie tego trybu życia, jaki prowadził dotychczas, t. j. żeby się raz na zawsze wyparł swojego *ja*, żeby przestał być sobą samym. Będąc pewny, że tylko taka, nie inna, czekać go może przyszłość, z góry jej nienawidził, bo „Bóg mię do niej nie stworzył, a ludzie mnie w nią wpychają.“ Tymczasem jemu zupełnie brakowało tej cnoty, która jest największą wśród chrześciańskich cnót: rezygnacyi. Pod tym względem był „poganinem zupełnym;“ rozumiał przytem, że wobec zbliżającej się próby, przez brak właśnie pokory i submisyi, nic innego czekać

go nie mogło, tylko rozbicie, zguba. „Dlatego od dwóch miesięcy już—spowiadał się przed Sołtanem—codzień Boga gorąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzeć przed dotknięciem się świata; rzeczywistość albowiem jego taka brudna i skalana, że ten tylko białe ma ręce, kto zdołał się na niej nigdy nie opierać. Unieśćbym chciał siebie samego niepokalanym ztąd do wieczności."

A gdyby umarł istotnie, jedynem pragnieniem, jakieby miał przed śmiercią, byłoby: umrzeć na ręku ukochanej.

Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie,
I cicho konać na twym ręku, droga.

A skoro umrę,

Wszystkie, co kochasz i *com ci przynosił*
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!

Tymczasem, dopóki się jeszcze nie zanosiło na śmierć, pośpieszył do niej, do Neapolu, żywy i zdrów. Chodziło mu o to, ażeby przy boku „Didyszy" zapomnieć o wielu czarnych „robaczywych" myślach, które mu już od paru miesięcy mąciły spokój wewnętrzny. Pragnął się rozerwać trochę. Czy mu się to udało osiągnąć? Bywało rozmaicie, a jeśli nie zawsze wszystko mu szło jak z płatka, to miał to do zawdzięczenia otoczeniu Delfiny, którego kontrola nad nią, i nad nim, wielce go ograniczała na każdym kroku. Bywając w pałacu Gallo, musiał być nadzwyczaj ostrożnym w zachowaniu się wobec ukochanej, gdyż śledzono za każdym jego ruchem, starano się sły-

szeć każde słowo, gdy się z niem zwracał do Delfiny. Ale jak na złodzieja niema zamku, tak i nadzór, którym rodzina Delfiny starała się ją przegrodzić od Zygmunta, pozostał bez skutku: ile razy chcieli się porozumieć z sobą, zawsze zdobywali się na wybiegi, za których pomocą wyprowadzali w pole wszystkich. Przekonawszy się, iż najbardziej uważano na nich, gdy rozmawiali, mówili o rzechach błahych, w nikim nie mogących wzbudzić podejrzenia, a rzeczy ważne, dotyczące ich miłości i wszystkiego, co od niej było nieodłączne, komunikowali sobie listownie, przyczem uciekali się do starego, już za czasów Szekspira wypróbowanego fortelu: Krasiński, przychodząc do pałacu Gallo, miał pod rękawiczką spisane swe myśli na karteczce, którą w stosownej chwili rzucał do chustki Didyszy... Tym sposobem nie bardzo im się dawała we znaki czujność różnych „sfinksów:“ w rezultacie niewiele z niej sobie robili oboje. Ostatecznie widywali się nietylko w pałacu Gallo... Wizyty Krasińskiego u matki Delfiny miały na celu jedynie upozorowanie w oczach świata ich prawdziwego stosunku. Jakim był ten stosunek istotnie, tego się pozwalają domyślać listy poety do Beatryczy, których mnóstwo, choć przebywali w jednem mieście, ciągle zamieniali z sobą. Było to dla obojga bardzo przyjemną rozrywką. Oto wyjątek z jednego z takich listów Zygmunta: „Powiedz-no mi, co to za szkatułka, co za *necessaire* (Lubomirskiby zaraz powiedział *potrzebnik*), który sprowadzasz z Paryża? Pachnie mi to tak, jakby to było dla mnie, a jeśli tak jest, to chyba mnie chcesz upokorzyć i nogą mi po głowie deptać, osypując mnie darami, mnie, który

wściekam się codzień, że nic ci dać nie mogę. Zmiłuj się, Didysz, nie ofenzuj mnie, biednego szlachcica, taką magnificencyą!“ Ta niemożność rewanżowania się Delfinie za jej bardzo kosztowne nieraz upominki, była niemal jedynym dysonansem w jego rozkosznym duecie z piękną Dialy.... Gdyby nie to, że na każdym kroku musiał liczyć się z groszem, że z konieczności musiał być „królem o czterech ścianach“ i „panem o sześciu krzesłach,“ mogłoby mu się zdawać, że dostał się do raju...

Żałował tylko, że w nim nie mógł pozostać dłużej, że 8-go lipca, po kilkunastu dniach szczęścia i słodkich upojeń, musiał się pożegnać z ukochaną.

Jeszcze w Monachium miał duszę pełną wspomnień z tej swojej ostatniej bytności u stóp Wezuwiusza, tak, iż pisząc dnia 14 lipca do Sołtana, całą pierwszą połowę listu zabarwił błękitami zatoki Neapolitańskiej, ogrzał ciepłem promieni tamtejszego słońca. „Przed dziesięciu dniami wypłynąłem z Neapolu; woń kwiatów goniła mnie aż na statek parowy, aż na środek morza; a pamięć światła i błękitów tamtejszych goni mnie aż tu, pod tem czarnem niebem, zkąd nieprzerwany deszcz się leje i w błoto ziemię zamienia. Na szczycie Alp pożegnałem słońce!... Łzy mi się cisną do duszy, gdy wspomnę o tej zatoce z lapis-lazuli, z której niedawno wypłynąłem. By zastąpić słońce Włoch, trzeba słońca duchowego; ale kto nie dostał takiej gwiazdy promiennej w dziale, ten rad nie rad, otoczony nieba ołowianego widnokręgiem, tęskni za owem porzuconem, gdzie tyle gwiazd mu świeciło.“ Tych gwiazd oczywiście,

z chwilą, kiedy się rozstał z Delfiną, nie widział na swojem niebie...

Nie widział ich zwłaszcza, odkąd się razem z ojcem i Danielewiczem znalazł w miejscowości kąpielowej Wildungen, gdzie spędził parę tygodni na rozmowach „poważnych, rozumnych a smutnych," i gdzie jedyną oazą wśród tej pustyni, smaganej wichrem i deszczem — bo ciągle mieli tu deszcz i słotę — były wspomnienia ostatniej bytności w Neapolu.

Niestety, kontrast, jaki z temi wspomnieniami stanowiła rzeczywistość, był bardzo rażący i dość przykry pod wielu względami, nawet pod względem zewnętrznym. „Żeby nie rezeda, zapomniałbym, że są wonie na świecie... Żeby nie zapałki fosforyczne, zapomniałbym, że światło świeci w naturze. Księżyc tutejszy ma się do neapolitańskiego, jak Jaxa do Danta; a w gwizdach wiatru coś wrogiego się odzywa: rzekłbyś, że twój pogrzeb własny niewidzialnie przeciąga przez powietrze [1]).

W liście z dnia 22 sierpnia 1841 r., pisanym do Delfiny, a pełnym rozpaczy, znajduje się piękny wiersz do Beatryczy, po raz pierwszy wydrukowany w *Tyg. ilustr.*

Jedną cię tylko prawdziwym aniołem
Znałem na świecie: zresztą wszystko ludzie.
Przed tobą tylko rozjaśniam się czołem,
A przed innemi zwiędnie czoło w nudzie.
Im dalej idę po drodze żywota,
Tem twój ideał się bardziej nademną
Rozszerza, rośnie, gdyby tęcza złota
Rzucona w ukos przez świata noc ciemną...

---

[1]) List do Gaszyńskiego z Wildungen dnia 7 sierpnia 1841 r.

Ale były względy inne, gorsze nierównie, motywujące te myśli o własnym pogrzebie: to owe rozmowy z ojcem, który się tym razem postanowił rozmówić z synem ostatecznie i który w końcu wymógł na nim to, że dnia 1 września znaleźli się obadwaj w Dreznie. Czy zastali tu Branickich? W listach poety niema o tem wzmianki, ale są dowody, że pomiędzy nim a ojcem doszło do scen, które o ile przechyliły zwycięztwo na stronę generała, o tyle nie obeszły się bez łez z jego strony; że poeta, poruszony temi łzami ojca, ustąpił wreszcie; że zdecydował się po długich walkach być posłusznym jego woli, t. j. przyrzekał ożenić się. Z kim? Oczywiście z panną Branicką. Tem się tłómaczy list Zygmunta do Gaszyńskiego, pisany z Drezna w dniu 1 września 1841 roku, a pełen aluzyi do smutnych okoliczności, jakie się na tę bytność poety nad Elbą złożyły. „Ile łez, goryczy, kolców w tem życiu, nikt nie wie, jedno ten, który w danej chwili płacze, w danej trucizne pije, w danej cierniami się krwawi. Nikt o drugim sądzić, ni wyrokować nie może, bo nikt nie jest drugim, a ten tylko może czuć, co mu dolega, kto to czuje i komu dolega. Najsmutniejszą dolą, najnieszczęśliwszym charakterem, jest: mieć potężne władze umysłowe, a nigdy spokoju ducha, nigdy pogodzenia z samym sobą, w samym sobie. Rozerwanie między rozumem a sercem jest to właśnie, co wniósł wąż na ziemię, kiedy Ewie poradził zjedzenie jabłka. Odtąd na to wielkie rozerwanie choruje ludzkość, a indywidua, które, wykształciwszy wysoko obie te strony walczące, żyją na ciągłym placu boju, im żartszy posiadają rozum i tkliwsze serce, tem pewniej ni-

szczeją, tem w zgubę pewniej porwanemi są! Młodość zwykle bywa przeważką serca, starość — rozumu, a wiek średni — równowagą ich. Tego ostatniego już dotykam, a serce nie chce się uśpić, może nie tak już namiętne, ale za to czulsze, rzewniejsze. *Nie znam okrutniejszej potęgi nad człowiekiem, jak widok łez czyich. Czegobyś nie uczynił pod kata toporem, to za łzę jedną uczynisz*" [1]). Pisząc to, miał Krasiński na myśli siebie i swoje ostatnie zajście z ojcem, który go ostatecznie rozbroił łzami. Stało się! Jakkolwiek nie potrafił sobie wyobrazić życia, w którem miejsce Delfiny miała zająć inna kobieta, niekochana, narzucona; jakkolwiek nie wiedział jeszcze, czy zdobędzie się na tyle siły, ażeby dotrzymać danego słowa: niezależnie od tego przyrzekł ojcu, że się ożeni z panną Branicką, pod warunkiem jednak, że nie będzie zmuszony rozpocząć starań zaraz, że mu ojciec do 30-go roku da najzupełniejszą wolność, że dopóki nie skończy lat 30, będzie mógł żyć, jak chce, gdzie chce, z kim chce. Przyrzeka jednak, że z chwilą, gdy skończy lat 30, natychmiast zacznie się starać o pannę Branicką... Generał, uradowany, że w końcu otrzymał upragnione przyrzeczenie, zgodził się na tak postawiony warunek swego jedynaka, i sprawa, choć „pełna wstrętu" dla Krasińskiego, została załatwioną. Nie było innego wyjścia. „Rozpacz ojca (pisał Krasiński do Sołtana), zwątlone jego zdrowie, zmusiły mnie! Nie miałem czem sił i życia mu poddać: jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc, co było robić? Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk

---

[1]) List do Gaszyńskiego, Drezno 1 września 1841.

go zabijało! Czyż i z mojej dłoni ostatnie, głębokie cięcie miało paść mu na serce? Nie, nie! Gdym ujrzał, że doprawdy tém tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie co zabić zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć!"

Po kilkodniowym pobycie w Dreznie udał się Krasiński, razem z udobruchanym ojcem, do Karlsbadu, gdzie zastawszy Branickich z panną Elizą, zabawił miesiąc przeszło. Pomimo, że, stosownie do zawartej umowy, miał jeszcze dwa lata wolne, czyli, że niekoniecznie musiał już teraz starać się o pozyskanie względów panny, jednak korzystając ze spotkania z Branickimi, a gwoli nie drażnienia ojca, nie stronił od nich: owszem, czynił wszystko ze swej strony, ażeby generał nie miał powodu skarżyć się na niego. Z Branickimi, o których wiedział, że byli mu raczej przeciwni, niż go sobie życzyli na zięcia, starał się być uprzejmym, a z panną, gdy mu z nią rozmawiać wypadło, również usiłował być grzecznym i delikatnym.

Swoją drogą nie zawsze mu się to udawało. Raz np. w salonie pani Wyrwiczowej, przeglądając razem z panną Elizą album z jej pastelami i znalazłszy między innemi jeden szczególniej dobry, wyobrażający jakąś zadumaną kobietę, młodą i piękną, świetnie obramowaną krajobrazem z borów, dzikich skał i jeziora w oddali, zaczął chwalić piękność pomysłu, dowodząc, że ukrytą duszą rysunku była tęsknota owej kobiety w bieli, rozmyślającej nad swą przeszłością. W końcu, chcąc sprawić przyjemność pannie, rzekł: „To się pani udało!" Jakże się zdziwił,

gdy panna Eliza, odparła *zwolna:* „To nie moje, to pani Delfina Potocka malowała i mnie dała na pamiątkę.“ Oświadczenie to, o ile z jednej strony „mocno uradowało“ poetę, o tyle z drugiej tak go zmieszało, że straciwszy przytomność umysłu, niezbyt grzecznie rozstał się ze swą przyszłą narzeczoną... [1])

Za to opisując tę scenę w liście do Didyszy, czynił to *con amore.*

Ale nie wszystkie listy, które ztąd pisał do Delfiny, były nacechowane takiem uczuciem zadowolenia. Zwłaszcza z początku, w pierwszych dniach po przyjeździe, nim się zdołał oswoić z sytuacyą, pisał listy pełne rozpaczy i zwątpienia. W liście np. z dnia 24 lipca 1841, kreślonym świeżo po przybyciu do Karlsbadu, opisując Delfinie swój ostatni dagerotyp, który twarz jego „okropnie zmienioną“ wyobrażał, tak pisał między innemi: „To ją, ale w chwili, poprzedzającej strzelenie sobie w łeb; to hrabia Henryk, rzucający się z murów zamku i wołający: Przekleństwo!...“

Z Karlsbadu udał się z ojcem i z Branickimi „safandulnie“ do Drezna, zkąd, po kilkudniowym wypoczynku, pojechali wszyscy do Toeplitz, Krasiński ciągle w roli starającego się o pannę. W Cieplicach jednak, ku niesłychanemu zaniepokojeniu generała, znalazło się aż dwóch nowych konkurentów o rękę panny Elizy i to nie byle jakich: o ile jeden był wart drugiego, o tyle każdy z nich, wzięty osobno, był świetniejszą partyą od ordynata opino-

---

[1]) Na podstawie listu Krasińskiego do Delf. Potockiej z Karlsbadu z d. 22 sierpnia 1841 r.

górskiego. [Jednym był hrabia Jan Zamoyski, drugim zaś, ni mniej ni więcej, tylko synowiec Napoleona I, książę Montfort Hieronim Bonaparte. Z takimi rywalami nie było żartów. Chcąc z nimi wytrzymać współzawodnictwo, należało wytężyć wszystkie siły, bo inaczej groziła porażka. Szczęściem, Krasińskiemu nie zależało na zwycięztwie, ile że go „nic nie wabiło“ do panny. Zbyt go wabiło do Delfiny! Dlatego nie pałał nienawiścią ku swym rywalom. Przeciwnie, z jednym z nich, z Zamoyskim, zawarł nawet rodzaj przymierza: nietylko, że mu nie przeszkadzał w staraniu się o pannę, ale z nim dużo rozmawiał o jego konkurach, a gdy te konkury przeciągały się coraz dłużej, nieuwieńczone pożądaną odpowiedzią ze strony Branickich, obaj rywale „powzięli wysokie wyobrażenie o przyrodzonej zręczności panny Elizy.“

Na jakąkolwiek nazwę zasługiwał jej sposób postępowania, jedno nie ulegało wątpliwości, że była chwila, w której książę Montfort, przez Krasińskiego nazywany w listach do Delfiny „Silnogórowem,“ zdawał się mieć największe szanse, co, o ile mogło niemile drażnić miłość własną Zamoyskiego, o tyle Krasińskiemu było dosyć na rękę; nie taił nawet, że „przez szacunek i dla pamięci Wielkiego Cesarza“ *chętnieby* się zrzekł pierwszeństwa na korzyść synowca Napoleona. Swoją drogą radził mu złośliwie — w jednym z listów do Delfiny — aby wprzód swemu kamerdynerowi odstąpił wszystkie juramenta grenadyerskie, któremi zbyt często przy damach szafował, a następnie, by sobie wziął pod pachę *Manuel de civilité*, gdy będzie szedł do ołtarza, „by z rąk Wielkiego Podczaszego spełnić ten kielich rozkoszy mał

żeńskich, *coby był dla mnie tylko goryczy kielichem.*" Przeświadczony o tem, nie bardzo się martwił z powodu zręczności panny Elizy, tak dyplomatycznie lawirującej pomiędzy trzema aspirantami do jej ręki, a widząc, jak generał irytował się z tego powodu, jak go gniewała ta trójlicowość Branickich i ich córki, w duszy cieszył się z tych niepowodzeń ojca, zwłaszcza na myśl, że ojciec, zrazu zagniewany na niego, w końcu rozgniewa się na pannę, „co jej w niczem nie zaszkodzi," a jemu będzie bardzo przyjemnie...

W takich warunkach rozstał się znowu Krasińsiński z ojcem: generał trochę rozżalony do Branickich, wrócił do Warszawy, on zaś, kontent z odzyskanej swobody ruchów, pojechał do Monachium. Tu spotkał się z Danielewiczem, świeżo zaręczonym z panią Delfiną Heel Handly, nadworną fortepianistką królowej bawarskiej. Lecz i nad Izarą nie zabawił długo, bo, opuściwszy Danielewicza, pojechał do Frankfurtu i Cassel. Po co? W jakim interesie? W interesie czci Delfiny. Chciał wyzwać księcia Lichnowskiego, który się o Delfinie wyraził w tych czasach, w Wiedniu, w wielce uwłaczający sposób... Ale pogoń okazała się daremną; Lichnowskiego nie było ani we Frankfurcie, ani w Cassel [1]). Dnia 14 października znów był Krasiński z powrotem w Monachium, przy Danielewiczu. Ale i tym razem nie przyjechał na długo. Po upływie kilku dni znalazł się już w Szwajcaryi.

---

[1]) *Tyg. illustr.* 1898, str. 349.

„Potrzebowałem wytchnąć, potrzebowałem być *sam, zupełnie sam*, i odświeżyć się wśród skał i borów i kaskad, które o zabiegach świata tego nic nie wiedzą, jedno żyją w przyrodzonej piękności, tak, jak je Bóg stworzył. Nie możesz pojąć, co to jest, przebywszy dwa miesiące w ciągłych kłopotach, wreszcie odzyskać nieco wolności: zda się, że człowiek narodził się na nowo, zda się, że niebo niebieściejsze, a jesień zieleńsza od wiosny". Pomimo, iż zapewniał przyjaciela swego, że był sam, zupełnie sam, to jednak pod zwodniczą maską tej samotności ukrywało się nowe spotkanie z Delfiną. Żeby nie ona, nie wyjechałby tak nagle z Monachium; żeby nie ona, pewnoby mu się niebo szwajcarskie nie wydawało „niebieściejszem", ani jesień zieleńszą od wiosny; żeby nie ona, nie pisałby do Gaszyńskiego pod świeżem wspomnieniem tej romantycznej podróży we dwoje: „Ja przebyłem półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że świat stworzony, świat skał i wód, pięknym jest". Widząc go odbitym w źrenicach kochanki, zwiedzał z nią te same miejscowości, po których niegdyś, mając lat 18, podróżował z Mickiewiczem: był w Zürichu, w Szafuzie, na Gotardzie, nad Jeziorem Czterech Kantonów. Wszędzie podróżował razem z Delfiną. Gdy zatrzymywali się w miastach, mieszkali w jednym pensyonacie, co o ile mogło być niezmiernie przyjemnem, o tyle było nieco ryzykownem. Jakoż nie zdołali się ukryć przed oczyma ludzi, tak, że nie upłynęło parę tygodni, a już o tej ich wspólnej podróży opowiadano sobie w Petersburgu... Nie chcąc się narażać na

możliwość obmowy ludzkiej, co w tych czasach również było niebezpiecznem dla Delfiny, jak dla Zygmunta, przenieśli się do jakiejś zapadłej wioski górskiej, gdzie zamieszkawszy w skromnym „pensyonacie“, przynajmniej mieli tę błogą pewność, że ich tu niczyje oko nie wyśledzi. Zabezpieczeni pod tym względem, ogromnie byli zadowoleni z tego *pension de famille*. Z okien mieli cudowny widok na okolicę, zwłaszcza na słońce „co równo i cicho zachodziło im na zielone wzgórza, niżej zaś, na szmaragdowe łąki, które ich, znużonych górskiemi wycieczkami, tak mile odprowadzały do domu, a gdy się już ściemniło i on wyszedł na balkon *per riveder la stella*, ona siadała do fortepianu i jak duch niewidzialny, śpiewała... Wtem ukazywał się służący z trzema świecami, rozpraszając ciemność, i urywał pieśni zapowiedzią obiadu. W filiżankach wtedy zadymił się klejek, Krasiński do sałaty zabierał się z powagą arcykapłana, a tarł żółtka z zapałem wyrobnika... Niespokojnym świadkiem tych biesiad był piesek Iry, co z kolan swej pani z szelestem darł się łapkami po jedwabnej sukni do jej rąk...“ [1])

Wśród takiej sielanki płynęły im dnie i tygodnie. Krasiński był w siódmem niebie, a starając się nie myśleć o przyszłości, której się lękał, czynił wszystko możliwe ze swej strony, ażeby myśleć tylko o rozkosznej teraźniejszości, o błogościach chwili obecnej,

---

[1]) Ten piesek *Iry*, bardzo lubiony przez panią Potocką, stał się też i dla Krasińskiego „ideałem o trzech centkach“. Raz powierzyła go pieczy poety. Ztąd pisał jej o nim Krasiński, że będzie go lubił i pieścił, jakby dzieciątko jakie, karmił własnemi rękoma, nim go dostanie w całości, i t. d., i t. d. *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka.*

której symbolem była urocza Dialy. „Ją jak posąg greckiego boga, doskonale piękny, choć ściśle skończony, stawiam sobie przed duszą, do niej się modlę, ją staram się uwiecznić, choć czuję całą znikomość jej, choć wiem, co mnie czeka". Mimo to czuł się rześki i pełen nadziei, i nie wątpiąc o sobie, miewał takie chwile, w których był przekonany, że jeszcze może być szczęśliwym, natchnionym, że „jeszcze nie umarł wieczną śmiercią ducha". Lecz jesień miała się ku końcowi, zbliżała się chwila rozstania. Delfina musiała wracać do Neapolu, Krasiński nie mógł nastawać, aby została dłużej. W położeniu, w jakiem się znajdowali oboje, już i tych kilka tygodni mogli uważać za wykradzione „gwarliwemu, przykremu, długo i zatruto-językoznemu" światu. Ostatni wieczór, który spędzili razem, był bardzo smutny, jak zwykle takie sceny rozstania. Po wieczerzy Delfina, jakby tknięta nagle jakiemś złowrogiem przeczuciem, rzekła do Zygmunta ze łzami w oczach: „Czuję, że się coś stanie! że my się już nigdy..." Słowa te tak silne na poecie uczyniły wrażenie, że jeszcze w parę lat potem łzy mu „buchnęły" z oczu, gdy wspomniał tę chwilę pożegnania... Wreszcie rozjechali się.

Ale to spotkanie się tegoroczne, o ile pod niejednym względem dało się przyrównać do rozkosznego snu na jawie, o tyle miało i swoje strony ciemniejsze, trochę zamącające harmonię tej szwajcarskiej idylli. Im zawdzięczając, nastąpiła ważna metamorfoza w Krasińskim, który od tej chwili przestał myśleć o poślubieniu Delfiny. Sprawiła to w znacznej części ona sama. Pomimo wszystkiego, co

czuła dla autora *Irydyona*, nie mogła się zdecydować na przezwyciężenie tych wszystkich zapór zewnętrznych, które musiały być usunięte, jeśliby ją Zygmunt miał poprowadzić do ołtarza. Starsza od niego o lat pięć, nie przypuszczała, aby byli stworzeni do małżeńskiego pożycia z sobą, a będąc w wieku, gdzie kobieta więcej się powoduje rozsądkiem, aniżeli uczuciem (co jej nie przeszkadza iść za popędem zmysłów), miała do stoczenia ciężką walkę z praktycznem wyrachowaniem, które jej doradzało zostać panią Potocką, choćby rozwiedzioną, a nie kusić się o stanowisko ordynatowej opinogórskiej. Wiedziała zresztą, że sprzeciwiałoby się to życzeniu i aspiracyom nietylko jej rodziny, ale i generała Krasińskiego, że czekałyby ją z tego powodu różne przejścia, które nie wiadomo jeszcze, czyby się nie obróciły na jej niekorzyść, a że ryzykować nie chciała, tembardziej, że wcale nie mogła liczyć na niewzruszoność charakteru Zygmunta, więc wolała zostać w położeniu obecnem. Dlatego, zarówno w listach do Zygmunta, jak i w rozmowach z nim, gdy byli razem, „wyślizgiwała się“, jak mogła, ile razy poruszył ten drażliwy temat ich małżeństwa, aż wreszcie postawiła kwestyę otwarcie, „słowami rezygnacyi, głosem obowiązku względem rodu i społeczeństwa, łagodząc jego smutki i rozpacze z tego powodu“. Nie obeszło się także, oczywiście, i bez patetycznych deklamacyj na temat bezgranicznego poświęcenia i ofiary serca „dla jego dobra“, etc. etc. Krasiński także nie posiadał dość energii, ażeby się czuć na siłach do podjęcia walki ze światem i posiwiałym ójcem. Za bardzo był Hamletem pod tym względem. Nie mogąc się

zdobyć na przezwyciężenie oporu Delfiny (choć ten był niczem w porównaniu z przewidywanym oporem ze strony generała!), coraz bliższym był zrzeczenia się swych „złotych marzeń“ co do małżeństwa z nią, coraz bardziej stawał się skłonnym do smętnego uczucia rezygnacyi. Naturalnie, że nim doszedł do tego stanu, przeszedł przez ciężką walkę wewnętrzną. Czując własną niemoc, pogardzał sam sobą, nie mógł sobie darować swej słabości; wiedział bowiem, że jego romans z Delfiną, będący zgubą dla niej, dla niego stawał się prawdziwem męczeństwem, tem straszniejszem, że wkrótce miała je zakończyć tragi-komedya ślubu z inną niekochaną kobietą, np. z Elizą Branicką. W tem upokarzającem uczuciu, nie mogąc się oderwać od swej miłości dla Delfiny, ani przypuszczając, by się jej mógł wyrzec kiedykolwiek, pisał raz do niej: „Módl się Ty za konającą duszę twego Zygmunta, rozpal tysiące lamp przed tysiącami Madonn, proś, by iskra, co dotąd tlała we mnie, nie poszła na zgubę“.

Nie chcąc do tego dopuścić, zaczęła go Delfina nakłaniać w kierunku, któregoby w tej sytuacyi najmniej po niej spodziewać się można: oto wcale nie była przeciwną jego małżeństwu z Elizą. Uważała, że wybór generała, gdy padł na pannę Branicką, tylko mógł zasługiwać na uznanie, bo o lepszej żonie dla człowieka, jak „Siżyś“ marzyć było trudno. Znając dobrze Elizę, ceniła ją wysoko, to jest tak, jak na to zasługiwała, a gdy chodziło o Zygmunta, to „życząc mu dobra, jeśli nie szczęścia, w które już nie wierzył, wolała go widzieć złączonym z Elizą Branicką, znaną jej z taktu i z charakteru, niż z inną

kobieta, któraby może *nie tak filozoficznie* zapatrywała się na znaną przeszłość Krasińskiego i żywić mogła pewne obawy na przyszłość". Tym sposobem stała się pani Delfina mimowolnym sprzymierzeńcem generała... Istotnie, że dzieją się na ziemi rzeczy, o których się nie śniło filozofom!...

Wszystko to rozstrzygnęło się ostatecznie w ciągu jesieni roku 1841, tak, że Krasiński, z chwilą swego przyjazdu w dniu 7 listopada do Monachium, w rozmyślaniach swych o przyszłości wykluczał już kwestyę swego małżeństwa z Delfiną. Była to sprawa pogrzebana, nad którą oboje przeszli do porządku. O tyle silniej narzucała się inna kwestya, mianowicie kwestya ożenienia się z Elizą Branicką.

W parę dni po swem przybyciu nad Izarę otrzymał Krasiński od ojca list z Petersburga, datowany d. 24 października, to zaś, co mu donosił generał, znowu nasuwało cały szereg najrozmaitszych wątpliwości. Sytuacya bowiem była taka. Wincenty Krasiński, zaniepokojony konkurami Zamojskiego i Bonapartego, z obawy, aby mu się upatrzona synowa przypadkiem, nie wymknęła, wkrótce po rozstaniu się z Branickimi w Toeplitz pojechał za nimi aż nad Newę, ażeby tam przechylić szalę na korzyść swego jedynaka. Ale mu to zastępowanie syna w konkurach szło jak z kamienia. Ztąd pewne zniechęcenie, rozczarowanie, a wreszcie obawa, ażeby wszystkiego nie uwieńczyło zupełne niepowodzenie... Krasiński, widząc, że generał zaczynał się „rozłudzać", gdy mu o tem wypadło donieść Delfinie, przyznał się otwarcie, że i jego już męczy ten stan niepewności, że wolałby na-

wet zły skutek, ale już pewny, wiadomy [1]). Okazuje się z tego, że nietylko zaczynał się godzić z myślą o poślubieniu Elizy, ale mu nawet przestawało być obojętnem, gdyby zdecydowała się wyjść za kogo innego. Że tak było, że nawet miewał chwile zazdrości z tego powodu, dowodzi jego list do Delfiny z d. 17 listopada 1841 r., w którym z gorzkim sarkazmem pisał o coraz nowych konkurentach do ręki panny Branickiej: o Maurycym Potockim, o księciu Jabłonowskim, a wreszcie o Bolesławie Potockim, o którym krążyły wieści (skwapliwie chwytane przez poetę), że miał się rozwieść ze swą żoną „Siergiejówną“ i ofiarować Elizie „swoje zdechłe serce“. Czy miał jakie widoki powodzenia? W każdym razie ubył mu najniebezpieczniejszy z rywalów, Bonaparte: w liście Krasińskiego z d. 20 listopada wyczytała Delfina, co następuje. „Daremne nadzieje. Panna Eliza, nie żądna widać zagranicznych tytułów, odrzuciła księcia Montforta, jak zwykłego śmiertelnika“. Zygmunt doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że niepowodzenie „Silnogórowa“ zwiększało szanse ordynata opinogórskiego... Wogóle zaczynał się coraz bardziej interesować sprawą swego małżeństwa, a wszelkie niepomyślne wiadomości z Petersburga, których w ostatnich czasach aż nadto otrzymywał od ojca, bynajmniej go nie usposabiały pogodnie. Co najoryginalniejsze, to, że we wszystko, co myślał z tego powodu, uważał za stosowne wtajemniczać Delfinę. I tak np. w liście do niej, datowanym d. 17 grudnia, litował się nad daremnemi usiłowaniami generała,

---

[1]) List do Delfiny z Monachium z d. 13 listopada 1841 r.

który, wciąż przebywając w Petersburgu, już się zaczynał gniewać na Branickich, a rozdrażniony ich „polityką odkładania“, w końcu wyraził nawet obawę znienawidzenia Elizy. „Jest on, pisał Zygmunt o ojcu, i ślepy i głuchy, że nie spostrzega, jak Fregata (stara pani Branicka) ucieka przed nim co wieczór do teatru, a ona sama każe go prosić przez Saszę Potocką, by jej więcej nie wspominał o niczem, to jest o małżeństwie“. Podobny sposób postępowania z generałem uważał Zygmunt za wysoce niewłaściwy, a winiąc Branickich, wcale nie usprawiedliwiał panny: owszem, w liście do Delfiny z d. 31 grudnia określił wyraźnie to dwuznaczne zachowanie się Elizy względem jego ojca, jako „niegodne“ i „zwodnicze“. Wszystko to, razem wzięte, rozstrajało go, denerwowało, wytrącało z pożądanej równowagi ducha.

Niemniej przyczyniały się do tego częste listy Delfiny, której walka z mężem weszła w tych czasach w nową fazę: z domowej stała się publiczną. W przebieg jej wtajemniczył Krasińskiego brat męża Delfiny, Bolesław Potocki, ten sam, który podobno chciał swe „zdechłe serce“ ofiarować Elizie Branickiej. Właśnie wracał z Petersburga, gdzie widywał Branickich i generała Krasińskiego, a między mnóstwem różnych wiadomości, które ztamtąd przywiózł Zygmuntowi, była i ta, że „mówiono w Petersburgu, jakoby on z Delfiną razem długo podróżowali po Szwajcaryi“. Na podobne oświadczenie Potockiego nie pozostawało Krasińskiemu nic innego, tylko najkategoryczniej zaprzeczyć tej plotce (niezależnie od tego, że w tej plotce mogło być więcej prawdy, niż w każdej innej): rozumiejąc, że w Bolesławie Po-

tockim, jako w bracie Mieczysława, widzi jednego z jego sojuszników, pojmował doskonale, coby za fatalne następstwa ściągnął na głowę swej kochanki, gdyby jak najsilniej nie zaprotestował przeciwko temu, co usłyszał z ust Bolesława. Zarazby z tego zrobiono użytek, oczywiście na niekorzyść Delfiny! Zoryentowawszy się więc, w jednem mgnieniu oka, w sytuacyi, nie szczędząc głosu, zawołał, „wściekłego susa" dając z kanapy, na której siedział: „Fałsz, potwarz, kłamstwo! Czemu ludzie gałgany na prawdzie nie przestają? Prawdą jest, żem trzy zimy z nią przebył, dwieście tomów różnych dzieł z nią przeczytał" i t. d. i t. d. I zaczął dowodzić Potockiemu, że go z Delfiną wiązały tylko uczucia braterskie, że nikczemni ludzie tego zrozumieć nie chcieli (co zresztą wcale nie było dziwnem wobec opinii Delfiny), i że dlatego *„pozory* siostrzanych jego uczuć ku niej" ogłosili za zwykłą miłość. Tymczasem tak nie było wcale, zapewniał. „Kto wie, mówił, możebym był ją i szalenie kochał, gdybym był uczuł, że ona ma się w tym względzie ku mnie, lecz zaraz z początku dała mi poznać wyraźnie, że żąda spokojnego przywiązania, jako pociechy i ulgi po tylu troskach, i że nigdy mojej figury gwałtownie nie pokocha". W ten i podobny sposób starał się Bolesława Potockiego przekonać o platoniczności swego stosunku z Delfiną. Czy wierzył w swe wymowne argumenty, to inne pytanie. Bo, że je komunikował w listach Delfinie, to żaden dowód: listy mogły być przejęte lub wykradzione z biurka Didyszy, a dostarczone jej mężowi, gdyby nie były pisane tak, jak były pisane, mogłyby najfatalniej wpłynąć na ostateczny wynik

procesu rozwodowego. Było to wiadomem Krasińskiemu i dlatego był w nich ostrożniejszy i przezorniejszy o wiele, niż się to wydaje p. Kamińskiemu, wierzącemu im na słowo, a nie przypuszczającemu, że mogły tak być pisane umyślnie... Co pewna, to, że pobyt Bolesława Potockiego w Monachium wielce był autorowi *Irydyona* nie na rękę, że pragnął pozbyć go się jak najprędzej, gdyż czuł się skrępowanym jego obecnością, jego częstemi odwiedzinami, a miał podejrzenie chwilami, że jest szpiegowany, i to szpiegowany w podwójnym celu: raz dlatego, by mu zaszkodzić w oczach Branickich, o których córce sam myślał, a powtóre, by przy tej sposobności dostarczyć i Mieczysławowi Potockiemu, jeśli się uda, danych do skompromitowania Delfiny. Wobec podejrzeń tego rodzaju, nie dziw, że poeta miał się na baczności, że ostrożność czasami posuwał aż do przesady. Tak np., mając z sobą miniaturę Delfiny, przez cały czas bytności „Boba“ Potockiego w Monachium, trzymał ją w ukryciu. Oto, co w tej mierze pisał do swej lubej, w liście z dnia 13 listopada 1841 roku: „Pokój mam jeden, dość szeroki, na Karlsstrasse, o kilka domów dalej, niż Konstanty. Obicia w rodzaju francuskich, dość starożytne, firanki w kwiaty ciemne, przy oknie stół duży, okrągły; na nim piszę. Z tyłu, w kącie, łóżko i na niem błękitna z Fryburga kołdra; kufry z pojazdu na podłodze. Wielka kanapa w smaku imperyalnym obok mnie, za nią piecyk, ale nie żelazny dzięki Bogu. Spokojnie, chędogo, choć ubogo. *Jak Bobo wyjedzie, wyjmę Twój obraz z kufra i postawię sobie na komodzie*“.

Tymczasem wypytywał się go o różne szcze-

góły z życia Delfiny, a szczególniej o jej pożycie z mężem, o którym tyle najsprzeczniejszych krążyło wiadomości: jedni go przedstawiali, jako charakter przewrotny, zły z gruntu, inni zaś, jak np. siostra jego, hrabina Kisieleff, że do 17-go roku życia był aniołem słodyczy. Jest-że to możliwe? pytał Krasiński. „Gdzie tam, odrzekł mu raz na to Bolesław Potocki, przezywany *Bobem* lub *Bobonigo*. „Już w dziesiątym roku było z niego dziecię złe, chytre, podstępne, a sam pamiętam, że parę razy widziałem go wpadającego w konwulsyę z pianą na ustach". Mimo takie krytyczne zapatrywanie się Boba na charakter męża Delfiny, Krasiński nie darzył go zbytkiem zaufania, czego dowodził choćby tem tylko, że mu nie przyznał się do posiadania wizerunku jego bratowej... Mimo to, na pozór, był bardzo serdecznym i wylanym wobec niego, a gdy w rozmowie przechodzili na temat Delfiny, tłómaczył mu, że ona „powinna bronić swego prawa do zdobytego raz stanowiska w świecie i zostać panią Potocką, bo to się jej należy za tyle przebytych cierpień". Wnosząc z listu z d. 17 listopada 1841 roku, Bolesław Potocki po kilku dniach opuścił stolicę Bawaryi, bo w dniu tym już Krasińskiego nie dręczyła obawa o portret Delfiny, ażeby go „Bobonigo" nie zobaczył u niego w mieszkaniu. „Piszę to, Dysz, przy stoliku, na którym stoi przedemną Twój obraz, o ścianę oparty, patrzący na mnie, Twój biały, duchowy obraz. U stóp jego Napoleona i Konstantego miniatury. Ile razy wychodzę, obraz Twój zakrywam, bo nie mógłbym znieść myśli, że gospodyni lub służąca, wszedłszy podczas mojej nieobecności dla uporządkowania po-

koju, miałaby patrzeć nań, lub dotknąć się jego, by pył serwetką z niego zrzucić. Sam go codzień opylam; ile razy wracam, rozkrywam go, i weń patrząc, piszę".

Pisał zaś, od chwili, gdy zjechał nad bystrą Izarę, bardzo wiele, a jeśli chodzi o listy, to do nikogo nie wysyłał ich tyle, co do Delfiny. Prawie nie bylo dnia, żeby nie pisał do niej. O czem? Już to na brak tematu nie mógł się uskarżać. Przedewszystkiem z powodu toczącej się sprawy rozwodowej, na której jak najrychlejszem zakończeniu tak bardzo zależało Mieczysławowi Potockiemu (ile że chciał się ożenić z panną Szweykowską), wypadało mu wpływać na Delfinę, jak się ma zachowywać wobec różnych plotek, potwarzy i t. p., jak winna postępować z adwokatami męża, a jak z własną rodziną. Gdy chodziło o zajęcie stanowiska wobec strony przeciwnej i wyzywającej, radził kochance, ażeby nie zgadzała się na rozwód. Pod tym względem, gdy sam zrezygnował z ożenienia się z nią, zmienił zdanie: o ile dawniej był za rozwodem, o tyle teraz solidaryzował się z Komarami, którzy, w widokach zysków materyalnych, na wszelkie sposoby opierali się rozwodowi. I on zaczął teraz, w swoich listach do Delfiny, w tymże kierunku wywierać na nią nacisk moralny, z tą różnicą, że powodował się szlachetniejszemi pobudkami, niż jej najbliższa rodzina. Jako jej jedyny sojusznik i obrońca, nie szczędził zachodów, gdzie mógł jej przyjść z pomocą, gdzie ją mógł obronić przed złośliwością ludzką, a przywiązany do niej, nie oszczędzał siebie, narażał się na nieprzyjaźń Potockich, Kisielewów, Komarów, a nawet własnego

ojca. Pod tym względem nie można mu nic zarzucić... Pisząc do Delfiny, nigdy jej nie szczędził życzliwych rad, przestróg, a gdy nie zawsze szła za jego wskazówkami, strofował ją, zrzędził. Wogóle opiekował się nią. Choć otoczona rodziną, „*jemu powierzyła staranie o swój byt materyalny*, on troszczył się o lokatę jej kapitałów, o przebieg interesu rozwodowego z mężem.” Wobec podobnej roli poety „plenipotenci jego z Warszawy i z Knyszyna załatwiali jej sprawy w Mińsku, w Kamieńcu Podolskim i w Petersburgu, *z nieszczególnym wprawdzie skutkiem, bo przeciwnik, hr. Mieczysław Potocki, forsował pieniędzmi i wpływami, i łatwo brał górę.*” Sprawy te, tak prozaiczne z natury, bardzo dużo miejsca zajmowały w jego poetyczno erotycznych listach do Beatryczy... Nadto pisywał jej *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Gdy mu doniosła, że brat jej młodszy wybiera się do Rzymu, ostrzegał ją w liście z d. 2 grudnia 1841 r., aby nie dopuściła do tej podróży, bo szkoda chłopca. „W Rzymie niczego się nie nauczy, chyba tonu książąt podlepszych, niż kmiecie nasze; niezawodnie w chłopie polskim więcej delikatności, niż w Pipie.” Gdy mu napisała list pełen rozpaczy z powodu utraty pieska Iry, który jej zdechł właśnie, poeta pocieszał ją, że to było nieuniknione, że koniec taki przytrafia się i najukochańszym faworytom, przyczem zapytywał ją, czy ma napisać mu nekrolog, tłómaczący, „żeby żyć długo, Iry zbyt był cienki, więc zdechł, kochając wiernie swą panią, a gdy konał, patrzał na nią.”

Obok takich błahych, jak ta, poruszał i poważniejsze kwestye, np. gdy do niej pisal d. 2 grudnia:

„Uważasz, w Bogu niema każdego z nas, jako ja *Zygmunt*, ty *Didysz*, ale jest to wielkie *my*, zwane ludzkością, ten ideał nas wszystkich, zwany Chrystusem, który, jako Syn bezpośredni Ojca, już istniał odwiecznie w Ojcu przed stworzeniem tego lub owego człowieka.” W innym znów liście rozpisał się między innemi o Napoleonie, który według niego, nie był prawdziwym Bożym posłannikiem, jakiego oczekiwano, „gdyż ten miał być wszechpojęciem w sobie wszystkich potrzeb i pojęć czasu swego, wszechzlaniem w sobie jego cierpień i wszechobjawieniem wszystkich lekarstw na nie.”

O poezyi było także w tych monachijskich listach niemało obszernych i natchnionych ustępów; poeta bowiem, jak zwykle po powrocie z wycieczki, odbytej sam na sam z Delfiną, nastrojony poetycznie, z nowym zapałem garnął się do pióra. „Myśl jego, jak złota pszczółka, krążyła wciąż około tych uroczych wspomnień, które odrywały go od smutnej rzeczywistości i rozanielały duszę.” Po każdej takiej wycieczce (powiada o nim jego własnemi słowy p. Kamiński) czuł się zdrowszym i z życiem na nowo pogodzonym, a choć ból nigdy nie zasypiał w jego sercu, choć nawet we śnie szarpał jego ciałem, to jednak urocze wizye owych uroczych chwil przedświtowych pobudzały go do pracy twórczej. Od chwili przyjazdu do Monachium znajdował się w stanie takiego umysłowego podniecenia... Pisząc do Delfiny, spowiadał się jej z tych chwil, gdy mu, przebywającemu w sferach obłocznej poezyi, było „błękitno-dobrze”; lub gdy mu było „źle,” ale „korno-źle”, jeśli go doszły owe „dysonanse, które jak syk

węża rozrywały mu słodką harmonię natury, będącą oddźwiękiem jego własnej duszy"; lub wreszcie, gdy mu było „buntowniczo źle", co mu się zdarzało najczęściej, a zwykle w takich chwilach, „gdy wpadł w rozterkę z duszami umarłych, wrogich mu istot, których obecność wkoło siebie odczuwał fizycznie przez autosuggestyę." W takich chwilach, zapewniał Delfinę, jedyną osłodą i ucieczką było mu pojęcie o jej przywiązaniu do niego, o piękności jej ducha [1]). Wszystko, co czuł, przez co przechodził podczas procesu tworzenia, znajdowało swój wyraz w jego listach, a gdy Beatrice, nie zawsze zdolna wznieść się na te duchowe wyżyny, na których on miotał się i bluźnił, niejednokrotnie wątpiąc o własnym geniuszu, przepowiedziała mu raz z tego powodu zgon poezyi w nim, on bronił się od tej groźby; czując zaś, że w końcu niepożyta siła jego nigdy nie mdlejącego ducha weźmie górę nad chwilową słabością, gdy serce znów się napełni krwią i łzami, zapewniał swą ukochaną, że nie od niego zależy myśleć lub nie myśleć poetycznie. „Muszę, bo muszę, pisać; chcę, bo wiem, że w tem wzniosła prawda jest. Mylisz się, Dialy, kiedy przepowiadasz zgon poezyi we mnie. Pod tą formą ukrył się cichy wyrzut serca Twego." Na dowód zaś, że nie omdlała jego pieśń, że w nim źródło poezyi wciąż biło z dawną siłą, jeżeli nie z większą, donosił jej, że dni całe przesiadywał u siebie „zamknięty dla wszystkich, zatopiony w pisaniu."

Pracował nad *Przedświtem.* O poemacie tym,

---

[1]) *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka* w różnych miejscach.

który pierwotnie zamierzał zatytułować jako *Ideał Varenny*, tak pisał Delfinie w liście z Monachium, datowanym d. 29 listopada 1841 roku: „Ja ci książeczkę złożyć muszę, ukoloryzować, zebrać, duchem natchnąć, ciałem przyozdobić, ale na mój sposób. Będziesz miała Varenny niebo i wody, jako kształt, moje myśli i pieśni, jako ducha, tutejszą oprawę, jako przesłonę, mającą wydrzeć wzrokom ludzkim tego ducha i ciało." Praca nad tym utworem, który go, z powodu swej wierszowanej formy, więcej kosztował trudu, niż wszystkie dotychczasowe, zajęła mu cały listopad, grudzień i styczeń. W liście z dnia 1 grudnia donosił Krasiński Delfinie: „Pisałem dzień cały dzisiaj *Ideał Varenny;* będzie to poemacik, w którym przekuję Cię na posąg greckiej bogini." To samo pisał w kilka tygodni później do Gaszyńskiego. „Przez cały styczeń, ogarniony niezwykłem natchnieniem, żyłem tak, że mi jedną godziną, snem jednym, był ten miesiąc cały." Jakoż nie prędzej ustał w pracy, aż poemat dobił do końca.

Tymczasem bawiący z nim w Monachium Danielewicz, marzący już o rychłem poślubieniu swej narzeczonej, zaczął jakoś podupadać na zdrowiu, aż wreszcie zachorował ciężko. Wobec tego, Krasiński, który po napisaniu *Przedświtu* zamyślał już o wyjeździe do Włoch, musiał swój projekt odłożyć do chwili wyzdrowienia Konstantego, sam bowiem, wobec niepokojącego stanu przyjaciela, jechać nie chciał. Ale choroba czyniła zatrważające postępy, tak, iż na wszystko się zanosiło, tylko nie na rychłą rekonwalescencyę. Poeta nie odstępował od łoża

chorego, a pełniąc przy nim posługi troskliwego *guarde malade*, dzielił się tą szlachetną rolą z jego narzeczoną. Nieszczęście chciało, że tej narzeczonej było na imię Delfina, co za sobą pociągnęło bezpodstawną plotkę, że poeta bawił w Monachium razem z panią Delfiną Potocką. Plotka ta, podawana z ust do ust, doszła aż do Paryża. Tymczasem pani Delfina Potocka przebywała w Neapolu, a w Monachium rozgrywała się tragedya pani Delfiny Heel Handly, której narzeczony, po długich cierpieniach (przepysznie opisanych przez Krasińskiego w listach do Sołtana), dnia 27 marca oddal Bogu ducha.

Pochowawszy go, pośpieszył Krasiński do Szwajcaryi dla spotkania się z kochanką. Stęskniony [1]) za nią, już w liście z d. 14 grudnia proponował jej ponowne spotkanie się w Varennie. „Czy Didysz nie chce wrócić do Varenny? spotkać mnie w Bazylei i przez *znajome drogi* powędrować w marcu nad Lecca wody? Dobre imię zaprawdę: tam *lekko* duszy. Dysz wie, żem obowiązany przez ojca być w Massie

---

[1]) Tęsknocie swej za Delfiną dawał Krasiński wyraz w listach do niej, w których często powtarzał z nią hypnotyczne séanse na odległość, wzywając ją, aby mu się ukazała, już nie o zmroku, jak w ów wigilijny wieczór w r. 1839, lecz o północy, w zwykłej godzinie duchów (list z d. 12 grudnia 1841 r.). „Wierzył on silnie (pisze o nim p. Kamiński), że duch ludzki zmieści w sobie całą zmysłowość materyi bez jej ciężaru, że więc siłą woli zewnętrznej kształt osoby oderwać się może od niej i na chwilę stanąć przed oczyma pokrewnej mu, sympatycznej istoty, która jednocześnie swój też konterfekt przeszle jej w zamian tym samym sposobem. Chodzi tylko o to, aby Delfina o północy była samą w swym pokoju, skierowała całą wolę i myśl dla ukazania się Krasińskiemu, który również będzie sam, usposobiony jak najczulsza klisza do przyjęcia jej obrazu, i wyszle jej swój, to jest zamieni z nią chwilowo osobistość duchową.”

(Carrara) i tam z posągów tysiąca wybrać posąg biskupi na grób biskupa Kamienieckiego.” Ale to projektowane przez Zygmunta spotkanie, pomimo najszczerszych chęci ze strony Delfiny, nie mogło dla różnych powodów dojść do skutku: musieli czekać sposobniejszej pory. Pora ta nadarzyła się w marcu r. 1842. Powiadomiony listownie przez Delfinę, ażeby w pierwszych dniach kwietnia stawił się w wiadomym zajeździe w Bazylei, stanął tam w d. 8 kwietnia. Spotkawszy się tu z ukochaną, tak pisał nazajutrz do Gaszyńskiego: „Zkąd piszę do Ciebie, do nikogo nie pisz i nikomu nie mów, na miłość Bożą zaklinam Cię i proszę. Choć ztąd wyjadę, list mi twój odeszlą tam, gdzie będę... Za pięć lub sześć dni ztąd w głąb Szwajcaryi się zasuwam — do Fryburga — i tam do czerwca będę” [1]). We Fryburgu, pod wpływem czarownych chwil, przeżywanych przy boku Beatryczy, napisał Krasiński swój piękny wiersz p. t. *Fryburg*, pełen melancholijnych wspomnień świeżo zmarłego Danielewicza, z którym przed trzema laty rązem podziwiali piękność fryburskiej katedry.

My nie wiedzieli, pod tych wieżyc cieniem,
Okien tych barwnych wieńczeni tęczami,
Że lat trzy minie, a będziemy sami,
I on nam w sercu już tylko wspomnieniem!
Nie przeczuwali, ani pomyśleli,
Że lat trzy minie, a grób nas przedzieli!

---

[1]) W liście do Sołtana, datowanym z Bazylei dnia 21 kwietnia 1842 pisze Krasiński: „Ze wszystkich (przyjaciół) tyś mi jeden pozostał po nim (Danielewiczu)... ty, i jedno niewieście serce na tej ziemi... Więcej nie mogę, gdy sił dostanę, opowiem Ci historyę *nieocenionej*.” Pisał to Krasiński przy boku pani Delfiny Potockiej.

Że czoło jego, to śnieżne, to dumne,
W myśl tak promienne, pójdzie spocząć w trumnę...
A gdy grał z tobą tę pieśń Mozartową
Pieśń nieśmiertelną śmierci, pieśń królową!
On sam nie wiedział, że samemu sobie
Kładzie akordy, jak napis na grobie.
...Aniele niewieści,
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!
Ja w twych spojrzeniach rozpacz moją pieszczę...
Tyś anioł piękna, tyś anioł pokoju!...
Niech głos twój słyszę, niech dotknę się dłonii t. d.

Niestety, choć szczęśliwy, nie mógł tego szczęścia używać pełną piersią: położenie bowiem, w jakiem się znajdował od kilku miesięcy, było nad wszelki wyraz fałszywe i nieprzyjemne. Od chwili, kiedy wyjechał z Monachium, musiał się kryć przed wzrokiem ludzi, musiał prosić przyjaciół, aby o nim podawali wiadomości nieprawdziwe, aby mówili, że jest w Rzymie, nie w Szwajcaryi. „Gdy się pytać będą—pisał do Sołtana na wyjezdnem z Monachium—gdziem pojechał, powiedz, że podobno do Rzymu. Proszę cię, proszę cię! polegam na tobie, jak na Zawiszy.“ Kiedy przyjechał do Bazylei, a wypadło mu pisać do Sołtana, znów musiał go prosić o to samo. „Że tu jestem, zaklinam cię, nikomu nie mów.“ Na to zaś, ażeby zmylić trop, ażeby zataić, że jest w Bazylei, wszystkie listy, które ztąd do znajomych pisał, pisał jakby z Wiednia lub z Baden. Każdy list taki, na to, ażeby był ostemplowany w Wiedniu, wysyłał do Sołtana, i ten dopiero rzucał je na pocztę wiedeńską. „Twemu sercu się powierzam; — pisze np. d. 22 kwietnia z Bazylei—tych listów rzucaniem na pocztę wiedeńską zbawisz mię od języków (gorszych niż krwawe ręce) moich szpiegów... Jeśli kto ciekawy pyta się o mie, by potem kwasu

mi narobić, odpowiedz, żem we Włoszech; dla tej tłuszczy paryzkiej niechaj będę w Baden, czy w Wiedniu. Pisz do Münich." Dlaczego do Münich, kiedy był w Bazylei? Dlatego, że wszyscy—a w tej liczbie pewno i ojciec — pisywali do niego do Monachium, gdyż dla wszystkich—z wyjątkiem Sołtana i Gaszyńskiego—był w Monachium.

Rzeczywiście, położenie arcyfałszywe! Krasiński jednakże, o ile się w niem znalazł, o tyle sam był winien wszystkiemu. Od niego zależało wybrać drogę prostą lub krzywą; że wybrał krzywą, drogę, która prowadziła na moralne manowce, jego własna wina. Skoro postanowił „siebie zabić, a ojca wskrzesić", to należało nie hamletyzować dłużej, tylko raz zdecydować się na to stanowczo; o wynalezieniu jakiegoś *modus vivendi*, godzącego jedno z drugiem, mowy być nie mogło i nie powinno. Jedno z dwojga: albo oparłszy się ojcu, zostać wiernym kochance; albo, wyrzekłszy się jej i swego szczęścia, ożenić się. Na jedno z tych poświęceń trzeba się było zdobyć koniecznie, bezwarunkowo, jeżeli się chciało nie mieć sobie nic do wyrzucenia; ale w takim razie nie godziło się obierać drogi pośredniej. Jeżeli chodziło o poświęcenie, lecz poświęcenie prawdziwe, a nie w wyobraźni poczęte i obliczone na dramatyczny efekt, to należało zdobyć się na tyle odwagi, tyle mocy nad sobą, ażeby każde z tych poświęceń, jedno, czy drugie, było zupełnem, bezwzględnem, rzetelnem. Krasiński tymczasem, opętany urokiem Delfiny, zdobyć się na taką odwagę, na taka moc nad sobą, nie chciał, czy nie mógł, a fakt ten, niezaprzeczany nawet przez jego najgorętszych wielbicieli, jest

najdziwniejszym i najsmutniejszym w jego życiu, „najtrudniej dającym się pogodzić z sumieniem” [1]). Nie miał serca, ażeby zmartwić ojca, ale nie miał także serca, ażeby zmartwić Delfinę, ani dość odwagi, ażeby się jej wyrzec, ażeby z nią zerwać stanowczo. Co gorsza, to, że zamiast się zdecydować na jedno z tych poświęceń, bardzo ciężkich i bolesnych, wybrał drogę pośrednią, na razie mniej niby belesną, w rzeczywistości jednak i gorszą i bardziej dręczącą od tamtych obu. Ojcu uległ, ale miłości swojej się nie wyrzekł, a przez to — jak powiada prof. St. Tarnowski — jego wiara stała się rozdzieloną pomiędzy dwie osoby. . Wynikła ztąd kolizya nad wszelki wyraz przykra, „przykra, jak wszystko, co fałszywe i nieproste, nie dobre.”

Po wiośnie, spędzonej w Szwajcaryi, i po rozstaniu z Delfiną, która ztąd udała się na Rivierę, do Nizzy, zjechał się Krasiński w lipcu z ojcem w Kissingen. Generał znów zaczął poruszać sprawę projektowanego małżeństwa z Elizą Branicką, a że Zygmunt nie bardzo rad wracał do tej kwestyi, więc nie obeszło się bez przykrych dysonansów, widocznych nawet w listach poety. Oto np. wyjątek z listu do Sołtana, z d. 14 go lipca 1842 r. „Rozkazali mi lekarze kąpieli morskich zażyć; chciałbym ztąd do Genui (w Nizzy była Delfina), a może ojciec *pogna* do Karlsbadu (dla spotkania z Branickimi)! Przeklęte życie na dyszlu i co krok fałszywe położenie.“ A wydostać się z niego, będąc w ciągłej zależności od ojca, było niepodobnem. Nie wiedział nawet, czy mu generał

---

[1]) St. Tarnowski. *Z. Krasiński.* 401.

pozwoli jechać do Genui, czy mu nie każe kąpać się w innem morzu, nie w Śródziemnèm, w pobliżu pani Delfiny. Bo generał wiedział, że Zygmuntowi nie tyle zależało na kąpielach morskich, chociaż je miał polecone przez lekarzy, ile na tem, ażeby się dostać do Genui, zkąd do Nizzy, do willi Geoffroy, było zaledwie dzień drogi. „Ztąd ruszam do Heidelbergu — pisał na wyjezdnem z Kissingen do Sołtana — gdzie pojechał ojciec radzić się doktora sławnego (Cheliusa); ztamtąd *podobno* na kąpiele pojadę do Genui. O czasie rozstrzygnienia doniosę ci.“ Ten jeden wyraz *podobno* najlepiej maluje sytuacyę.

W Heidelbergu, z powodu naprężonego stosunz ojcem, był w najfatalniejszem usposobieniu: chciałby jak najprędzej znaleźć się przy boku Delfiny, od której listy, donoszące mu o różnych plotkach z powodu ich romansu, także mu nie poprawiały humoru, a tymczasem nie widzial sposobu wyrwania się z pod despotycznej opieki generała. W takim nastroju korespondował z ukochaną, a że nie zawsze pisywał listy pogodne, o tem niech świadczą następujące wyjątki: „Czyż jestem mniej wart dla Ciebie, jak każdy obcy człowiek? Przekleństwo, żem nie grał przy Tobie roli zwykłego przyjaciela, żem nie ukrył egzaltacyi w głąb duszy mojej, bo gdybym tak był postąpił, nie lękałabyś się dziś syczeń żmij tego świata, traktowałabyś mnie tak, jak traktujesz teraz Jerzego, Sobańskiego, Masielskiego. Nic więcej nad to nie wymagam, ale i nie mniej, bo mniej to śmierć dla mnie.“ „Umysł mój się rozstraja i wlecze się do Twych stóp, błagając litości. Wszystko z Tobą, wszystko przez Ciebie, wszystko dla Ciebie. Spokój,

siła, wielkość, wszystko to mi dostępne, wszystko możliwe, ale nie bez Ciebie. Zważ na moje życie, jako los — Syberya, jako otoczenie — dom znienawidzony, jako zadanie—niewola, jako nadzieja—śmierć.“ Przez nią jedynie stał się w życiu lepszym i czystszym, przez nią wzniósł się do miłości doskonałej i wiecznej. „Ja nadto Cię kochałem, abym mógł przywiazać się kiedykolwiek w życiu do rzeczy martwej, chyba, że ta od Ciebie pochodzi. Cóż więc mam mówić o żyjących stworzeniach? Wszystkie one niewypowiedzianym wstrętem mnie napełniają i strachem... Wszystko dla mnie jest tu fałszem i kłamstwem, prócz Ciebie!“ [1]).

Tak przeszedł mu cały sierpień i część września, aż wreszcie, po rozstaniu się z ojcem, powracającym do Warszawy, pośpieszył do Spezii nad morzem Śródziemnem, a na początku października, po kilkudniowym pobycie w Genui, znalazł się w Nizzy, w willi Geoffroy na Carabacel, własności pani Delfiny. Przyjechał tu w podwójnym celu: raz dlatego, ażeby czas jakiś—o ile możności jak najdłużej — spędzić z Delfiną, ażeby przy niej zapomnieć o przyszłości, a powtóre, żeby wykończyć ostatecznie *Przedświt*, to ukochane dziecię swoich marzeń. Marzenia te, obok myśli o pani Delfinie, z której osobą *Przedświt* wiązał się tak ściśle, były mu teraz największą osłodą. Niestety, osłoda ta, lubo wielka, malała na tle fatalnego spleenu i hipokondrycznych refleksyi, które poetę opętały niespodziewanie w ciągu pierwszych dni jego pobytu w Nizzy. Dziwna rzecz!

[1]) List francuski z Heidelberga.

Pomimo, że ciągle byli razem, że oprócz niej miał tu Gaszyńskiego, a później—przez jakiś czas—i Małachowskiego, że mógł z nimi debatować na temat *Przedświtu* etc., nic nie bawiło go, a wszystko nudziło, a nad wszystkiem górowała myśl, że niebawem wypadnie jechać do Rzymu, ażeby tam starać się o pannę Branicką. Taka była wola ojca. „Czasem zdaje mi się, że niedługo mnie być na ziemi. Mam *podobno* na zimę jechać do Rzymu." Tak pisał Krasiński d. 3-go października, z Genui, do Sołtana; a w kilka dni później, d. 7-go października, z tejże Genui, zapytywał Małachowskiego, przebywającego w stolicy Toskanii: „Powiedz mi, czyś nie słyszał o Branickich? Czy nie przejechali przez Florencyę do Romy?" Jeżeli przejechali, w takim razie nie pozostawało mu nic innego, tylko jechać w konkury. Na samą myśl o tem, było mu „w duszy czarno, piekielnie czarno, tak, jak w p r z y s z ł o ś c i."

Jeżeli o niej zapominał niekiedy, o tej przyszłości beznadziejnej, to przyczyniała się do tego teraźniejszość, wśród której żył, którą oddychał. Jeżdżono konno w całem towarzystwie—pani Delfina, Gaszyński, Małachowski i on—a podczas tych nieskończonych przejażdżek konnych, na których pani Delfina, w stroju amazonki, ślicznie się odcinała od różowego tła skał Korniszy, najwięcej rozmawiano o *Przedświcie*, tak, że można było powiedzieć, że niejeden jego ustęp, wtedy dodany lub przedyskutowany, powstał przy tętencie końskiego galopu, tak samo, jak nie brakło i takich, które powstały pod wpływem muzyki i śpiewu pani Delfiny, w jej willi, w jej ogrodzie. Były to piękne dni; Stanisław Małachow-

ski mówił o nich zawsze, do samej śmierci, jako o najpiękniejszej, najpoetyczniejszej chwili swego życia. Ale nieszczęście chciało, że niebawem przyszły deszcze i zimna, że wskutek tego musiano zaniechać rozkosznych przejażdżek, i że nieznośna wilgoć, przesycająca powietrze, usposobiała do melancholii, do spleenu, na czem pewno i praca nad *Przedświtem* ucierpiała niemało. Że tak było, dowodem list do Gaszyńskiego, do Aix, noszący datę d. 6-go listopada 1842 r., a świadczący, że te najpoetyczniejsze chwile w życiu St. Małachowskiego miały także i swoje strony prozaiczne. „Po twoim wyjeździe znów mnie porwała melancholia i niemoc do wszelkiej pracy. Czas tu przebrzydły przykłada się do tego. Ile chmur na niebie, tyleż i w mózgu moim myśli ponurych. Koło dziesiątego, najdalej dwunastego (listopada), ztąd wyjadę; pisz więc tu raz jeszcze, a potem do Rzymu... Pisać długo nie mogę: 1) bo głowa boli z tyłu; 2) bo zaraz wpądam w melancholiczne tyrady i znudziłbym cię. Są chwile, w których się czuję znudzony sam wszystkiem. O przeklęty Mistralu, co wiejesz dzisiaj! Wszystkie góry pokryte śniegiem. Zimno jak w Berdyczowie lub Kaliszu.“ Z nudów, nie będąc zdolnym do pisania czego innego, pisał listy, a między innemi do Sołtana, któremu donosił o tem samem mniej więcej, co Gaszyńskiemu, z tą różnicą, że do Sołtana pisał szczerzej. „Klimat włoski: zimno w nogi i w ręce, deszcz, śnieg po górach, melancholia w duszy. Jestem tu od czterech tygodni... Lecz przeklęta melancholia wciąż mnie trzyma. Choć raz na dzień, codzień napada mnie pokusa w łeb sobie

strzelić; piękło, piekło w duszy! Za dni kilka wyjeżdżam i *walę* przez Lukkę, gdzie Orcia Lubomirćkiego znajdę i Stasia Małachowskiego, do Rzymu. Tam niby mam udać się w konkury... Biedny Konstanty najlepiej zrobił; *meliorem partem eligit.* Widzisz, że jadę do Romy ponury i zły."

W kilka dni po napisaniu tego listu nie było już Krasińskiego, ani pani Delfiny w Nizzy: ona udała się na stały pobyt do Paryża, on puścił się na południe w stronę Rzymu. Jechał rzemiennym dyszlem, bo mu nie było pilno, a w każdem mieście, gdzie się zatrzymał po drodze, skracał sobie czas pisaniem listów do Beatryczy [1]).

Przybywszy na początku grudnia do Rzymu, był „na pół umarły, na pół szalony, całkiem zniszczony, do niczego nie zdolny." Nie znaczyło to wcale, ażeby nie był zdolny do zazdrości, gdy chodziło o panią Delfinę. Znając jej przeszłość paryską i londyńską, bynajmniej nie był rad z tego, że Didysz znów wracała na bruk paryski. Wiedząc, jak łatwo ulegała pokusom, jak z niemi często nie starała się walczyć nawet, a jak na każdym kroku, dzięki swej urodzie i... opinii, musiała być wiedzioną na pokuszenie, doświadczał uczuć Otella, któremu bujna wyobraźnia nasuwała tem dokuczliwsze obrazy, że jego Beatrice nie odznaczała się cnotami niewinnej Desdemony. Nie bardzo łudząc się pod tym względem,

---

[1]) Pan Kamiński cytuje dwa takie listy: jeden z Mentony z d. 18-go listopada 1842 roku, drugi z Pizy d. 21-go listopada 1842 r.

a będąc nadzwyczaj podejrzliwym z natury, przechodził przez takie paroksyzmy zazdrości, że się z tem nie krył nawet w listach do Delfiny. Widząc z jej listów, że bynajmniej nie myślała stronić od ludzi, nie szczędził jej „gorzkich wymówek“ z tego powodu, zakazywał bywać w świecie paryskich salonów, tam bowiem „wszystkie grzechy główne i niektóre z powszednich, dają sobie schadzkę piekielną, aby moralnie zgubić młodą kobietę.“ To też odkąd Delfina zamieszkała przy *Rue des Mathurins* Nr. 38, zachodził aż do śmieszności w swych obawach o nią. Choć oddalony od niej, nie przestawał jej śledzić oczyma duszy. Gdy się ubierała na bal, on — siłą wyobraźni — starał się stać na straży, u progu jej komnaty, a gdy siadała do powozu, on, niby upiór, towarzyszył jej do tych „miejsc zgorszenia.“ Tam, niewidzialny, szeptał jej—w imaginacyi — różne zbawienne przestrogi (których ona nie myślała słuchać), obrzydzał pobyt w tej zgniłej atmosferze *fashionu* i deprawacyi moralnej, aż wreszcie z tryumfem odprowadzał ją do mieszkania, „nieskalaną, zmęczoną i—w jego złudnem przekonaniu — na długo uleczoną z wielkoświatowej choroby.“ Dręczony nieustanną obawą o nią, o jej niepokalaność, zaklinał ją, by nosiła wciąż sztylet przy sobie, by się owijała w czarną *potrójną* zasłonę, a broń Boże! nie stroiła się w kwiaty, nim go zobaczy, i wogóle nie nosiła kwiatów, bo on się ich lęka: „czasem wiatr zaszeleści w ich kielichach, a on się boi szelestów, bo podobne są do westchnień.“

Za to każdy jej wyjazd z Paryża miał być dlań

faktem radosnym, wieszczącym lube spotkanie się z ukochaną [1]).

Tymczasem jednak, zanim do takiego spotkania się przyjść mogło, miał przed sobą kilkomiesięczny pobyt w Rzymie. Nie bardzo mu się to uśmiechało, pomimo, że miał przyjemne towarzystwo Lubomirskiego i Małachowskiego, z którymi spędzał dni i wieczory. Pozatem „*czasem* u Branickich bywam.“ Żeby nie to *czasem*, wszystko byłoby względnie dobrze! I jakby chciał dać do zrozumienia Sołtanowi, że gdyby nie te przymusowe konkury, pogodziłby się może z życiem, pisał o kilka wierszy niżej, że rozpacz go chwyta raz po raz, a po głowie chodzą najdziksze myśli [2]). Podobny ton panuje w liście do Gaszyńskiego z tego pamiętnego grudnia roku 1842: „Żal mi było Nicei, niezmierny żal; przeczuwałem albowiem, co mnie czekało w Romie: choroba, cierpienie, niemoc, rozpacz. Nieznośnem mi życie!“ I tak dalej, ciągle na tę samą nutę, panującą i w jego listach rzymskich do Delfiny [3]).

Czytając te skargi, najwyraźniej będące w związku z owem „*czasem* u Branickich bywam,“ mimowoli przypomina się sceptyczne zapytanie prof. St. Tarnowskiego, któremu te jeremiady nie zawsze wydają się... szczere. Bo przedewszystkiem nie ożenił się jeszcze, ani oświadczył o pannę. Dopiero przyrzekł

---

[1]) *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka* przez Krasińskiego. *Tyg. ilustr.* z r. 1898, str. 409 i 455.

[2]) Braniccy (jak o tem wiem z listu St. Tarnowskiego, pisanego do mnie) mieszkali w pałacu średniej swej córki, księżny Zofii Odescalchi. Do niej przyjechali do Rzymu.

[3]) Do Sołtana, Rzym 11-go grudnia 1842. Pan Kamiński cytuje list Kr. do Delfiny z d. 4 go maja 1843 r.

ojcu, że się będzie starał o nią, nie wiedząc wcale, ani będąc pewnym, że oświadczywszy się o jej rękę, zostanie przyjęty. Wszak Eliza nic mu jeszcze nie przyrzekała, ani postanowiła, ani po sobie poznać dała, że mu sprzyja, a najpewniej sama nie wiedziała jeszcze, co zrobi. Zatem na rozpacze zawcześnie! Wszak mógł jeszcze nie być przyjętym, a od niego wyłącznie zależało starać się w taki sposób, aby przyjętym nie być. On tymczasem, jakby sobie nie zdawał sprawy z rzeczy tak prostej, rozpaczał (w listach do przyjaciół), rozwodził się nad swem nieszczęściem, nad tragizmem sytuacyi, co wszystko razem wzięte wcale mu nie przeszkadzało popełniać rażącej niekonsekwencyi: z jednej strony rozpaczać, a z drugiej starać się o pozyskanie względów panny, *starać się usilnie i długo, bynajmniej nie tak, jakby przystało na człowieka, co się żeni z musu, zgwałcony wolą ojca.* Dlatego nie można się dziwić jego biografowi, kiedy przypuszcza, że między jego wrażeniami i słowami a jego istotną wolą musiała zachodzić pewna różnica. Ożenić się postanowił, ale upodobanie w dramatycznych sytuacyach sprawiało, że rozpaczał nad ożenieniem przymusowem, i w tej rozpaczy znajdował pewną przyjemność (czyli, że pozował na nieszczęśliwego, na poświęcającego się, nie będąc nim w rzeczywistości [1]).

W końcu, po długich staraniach i zachodach z jego strony, panna Eliza dała mu słowo, a decydując się na to, więdziała o jego stosunku do Delfiny Potockiej... Nie wiedziała tylko, że ten stosunek

---

[1]) St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, str. 401, 451.

się nie skończył, że trwa w całej sile, że jeszcze nie przestał być namiętnością Zygmunta. Tego jej nie powiedział! A jednak byłby to argument wystarczający najzupełniej, ażeby go panna Eliza wybawiła z nieszczęścia i... odmówiłą mu swej ręki. Widocznie, że w gruncie rzeczy, pomimo wszystkiego, co wypisywał w listach do przyjaciół, chciał się ożenić z Elizą!

Ale mania dramatyzowania swojego życia, uganiania się za dramatycznemi, niezwykłemi sytuacyami, nie pozwalała mu spoczywać na laurach po otrzymaniu słowa od panny Elizy, nie przeszkadzała mu nawet nazywać tej zimy, spędzonej razem z narzeczoną, „wszeteczno-piekielną“ i wspominać jej „ze wstrętem,“ kiedy się w marcu znowu znalazł w Nizzy, w willi Geoffroy. Jakto? Więc wyjechał z Rzymu, teraz, kiedy tu była panna Eliza, kiedy się wkrótce miały odbyć ich zaręczyny, kiedy wszyscy wiedzieli, że są po słowie? W takiej chwili odjechał narzeczoną, ażeby się zobaczyć z kochanką?.,. Musiał i Krasiński rozumieć, że taki wyjazd pozostaje w najwyższej niezgodzie z sytuacyą, albowiem starał się go wedle możności upozorować i osłonić motywami, które, o ile były wystarczające dla zamydlenia oczu ludziom, o tyle nie przestają robić wrażenia pretekstu. Kiedy wyjeżdżał z Rzymu, nazywało się to, że jedzie do Montpellier, wysłany tam przez lekarzy rzymskich w celu poradzenia się u Sallemanda, który jako specyalista od chorób sercowych, miał zbadać jego serce i orzec stanowczo, czy to jest u niego rozszerzenie serca, jak twierdzili eskulapi z nad Tybru, czy też co innego. W rzeczywistości

jednak, można być pewnym, zależało mu nietyle na pobycie w Montpellier, ile raczej na tem, żeby spędzić kilka tygodni w Nizzy, razem z Delfiną. Jakoż przybył tam na samym początku marca i zabawił do 3 kwietnia, t. z. miesiąc przeszło.

Za dowód, jak się do tej bytności w Nizzy nie bardzo miał ochotę przyznawać przed światem, może posłużyć jego list do Sołtana, pisany d. 27 niby z *Aix en Provence*, a naprawdę z Nizzy [1]), list, w którym Krasiński ani słówkiem nie wspomina o tem, że jest lub był temi czasy w Nizzy. „Wysłali mnie lekarze, czytamy tam, do fakultetu w Montpellier... Więc pojechałem tam, byłem tam, potwierdzono wyrok eskulapa rzymskiego, a teraz wracam do Romy, gdzie mój ojciec musi już być, a gdzie ja koło 5-go kwietnia będę, i domyślisz się, na co.“ O tem, że już od trzech tygodni bawił w Nizzy, ani słowa. Z obawy zaś, aby mu Sołtan przypadkiem do Aix nie odpisał, nie omieszkał dopisać w końcu: „Że z Aix piszę; niech tylko poczta o tem wie, ty zaś *do*

---

[1]) Ażeby się o tem przekonać, dość przejrzeć daty listów Krasińskiego do Gaszyńskiego, z Nizzy pisanych, zwłaszcza dwóch listów: jednego z d. 24 marca 1843 r., a drugiego z dnia 28 marca 1843 r. Dowód to, że w tym czasie, pomiędzy 24 a 28 marca, Krasiński był przez cały czas w Nizzy, nie mógł być zatem d. 27 marca w Aix en Provence, gdzie mieszkał Gaszyński, a które jest od Nizzy oddalone o cały dzień drogi (przy ówczesnej komunikacyi). Wystarcza zresztą przeczytać dwa wspomniane listy do Gaszyńskiego (z d. 24 i 28 marca), ażeby nie wątpić o tem, że Krasiński nie wyruszał w tym czasie ani krokiem z Nizzy. Położenie na liście do Sołtana nazwy *Aix en Provence* jest fałszywe. Być może wszakże, że Krasiński list ten do Sołtana posłał do Aix Gaszyńskiemu z prośbą, aby ten list wrzucił w Aix na pocztę. Wiemy przecież, że się Krasiński niejednokrotnie uciekał do tego środka, ażeby się nie narażać na zbytnie obmowy.

Romy mi odpisz.“ Wobec tego można być pewnym prawie, że i generał Krasiński nic nie wiedział o tym pobycie syna w Nizzy, że przekonany był, iż Zygmunt bawi w Montpellier, albo w Aix u Gaszyńskiego, że listy generała, który w tym czasie przyjechał do Rzymu, ażeby być obecnym na zaręczynach Zygmunta, były adresowane do Aix, zkąd je dopiero Gaszyński posyłał Zygmuntowi do Nizzy, a dokąd Krasiński posyłał listy do ojca, ażeby je Gaszyński ztamtąd wysyłał do Rzymu!...

W każdym razie jedno nie potrzebuje dowodzenia, że te dni, teraz spędzone przez Krasińskiego w Nizzy, należały w życiu jego do najprzyjemniejszych. „Na wieki te dni w Nicei — pisał o nich do Małachowskiego—pozostaną mi błękitnem wspomnieniem. Jeździliśmy konno po tych górach, co z tobą; śliczne było niebo, i w duszy błogo, spokojnie, wzniośle, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie ducha i o świecie przyszłości.“ To też „nie uwierzysz, jak się rozkochałem w naturze nicejskiej, w konnych przejażdżkach po tym kolizejskim okręgu gór; chciałbym tam kupić willę (taką, jak willa Geoffroy), i skrytą, i cichą, i tam zapomnieć, że świat pełen ruchu i trosk, i łez, i walk,“ słowem, takie prowadzić życie, jakie prowadził obecnie, życie, które mu upływało na rozkosznych spacerach konno lub pieszo, albo w powozie; na artystycznej pracy nad ulubionym poematem, którego wiersze ogładzał i cyzelował; na czytaniu poważnych dzieł filozoficznych — wtedy przeczytał dzieło Stoffelsa *La Resurection* — lub poezyi, które czytał na głos kobiecie

ukochanej; na słuchaniu gry i syreniego śpiewu pani Delfiny. Pogoda była cudowna: ciepło, jak w maju, słońce i niebo, jak z bajki o zaczarowanej krainie; a na tem rajskiem tle, rozmarzającem łagodnemi powiewami wiosny, wonią róż i fiołków, oraz cudnym szafirem Śródziemnego morza, jaśniała, jak nimfa złotowłosa, czarnobrewa i łabędzioszyja Delfina, w pełnym rozkwicie swojej niewieściej urody... Miała wtedy lat 36.

Jedynym dysonansem w tej romansowej idylli nicejskiej była dla Krasińskiego myśl o podróży do Rzymu, o mających nastąpić tam zaręczynach, o całej komedyi obłudy, którą znów będzie zmuszony grać od rana do wieczora. Niestety, było to nieuniknione, jeżeli niechciał przeciągać struny, jeżeli miał dotrzymać słowa, danego ojcu. A ojciec był już w Rzymie i nastawał na syna, ażeby przyjeżdżał czemprędzej. „Już mój ojciec we Włoszech — donosił Krasiński swemu przyjacielowi w Aix 24 marca—jednak przed pierwszym kwietnia ztąd nie wyjadę," pomimo, że „ojciec mnie listami oblega, codzień jeden, a coraz to bliższe odbieram. Jak głos przeznaczenia, porywają mnie te listy." Słowem zbliżała się godzina „pogrzebania własnej indywidualności." W tem uczuciu pisany jest d. 27 marca list do Sołtana, zaadresowany niby z *Aix en Provence*, a charakterystyczny przez to, że w nim poeta przyrównywa się do człowieka, schwytanego przez Meksykanów: i on bowiem, jak przewidywał, będzie zmuszony niebawem „serce drgające, pełne życia, wydrzeć sobie z piersi." „Idź serce moje, idź precz, na wieki!"

Wyrażem tego smutnego nastroju jest napisany teraz wiersz do Beatryczy:

Módl ty się za mnie, gdy z rozpaczy ginę...
Módl ty się za mnie, bym u Boga w niebie
Po wiekach wieków, kiedyś spotkał ciebie,
I tam przynajmniej odetchnął wraz z tobą!...
Módl ty się za mnie, jam cię kochał wiernie *(kochał)*
[nie kocham?)
I tak, jak bezmiar bezmierny, bezmiernie.

W takiem usposobieniu wyjechał Krasiński dnia 3 kwietnia do Rzymu. Tutaj zastał już ojca, który asystując swej przyszłej synowej, w doskonałym humorze, nie przypuszczał nawet, że syn tymczasem, o wiele mniej czuły dla narzeczonej (jeśli był szczery w listach), żył wspomnieniami Nizzy i willi Geoffroy. Wciąż myślał tylko o Delfinie. „Pytasz, co się dzieje ze mną?—pisał do Małachowskiego w tydzień po swym przyjeździe do Rzymu. — Patrzałeś przez całą zimę na mnie: otóż to samo się ze mną dzieje. Ja o tyle żyję, o ile mi się wydaje, żem jeszcze koło willi Geoffroy... List ten spal, albo zamknij, a nikomu nic o nim: im mniej o mnie, tem lepiej mnie. Panią Komarową i Delfinę obaczycie wkrótce... Donieś mi, jak się mają. Jerzy cię ściska, Aleksander Branicki także; to dobry chłopiec." Ta wzmianka o młodym Branickim, bracie panny Elizy, pozwala się domyślać coraz zażylszych stosunków z jej rodziną. Jakoż było tak w istocie: od czasu przyjazdu poety do Rzymu jedynem towarzystwem, w którem dnie całe spędzał, było towarzystwo ojca, Branickich i Jerzego Lubomirskiego. Nie znaczy to jednak, ażeby podobna sytuacya bardzo przypadała poecie do smaku. Oto dowód. „Orcio — czytamy o Jerzym

Lubomirskim w liście do Małachowskiego z d. 15 kwietnia—trochę lepiej, ale zawsze nie dobrze; gdyby nie on był tu teraz, tobym się obwiesił, bom nie przywykł żyć w takim świecie. Huk Polaków, nikogo nie widuję.“ Że zaś nic mu się tak nie dawało we znaki, jak rola kochającego i posłusznego syna, z tego nawet nie robił tajemnicy. „Czasu mam mało, — pisał np. d. 17 kwietnia go Gaszyńskiego;— cały dzień *na służbiem u ojca i innych.*" Przez tych *innych* należy rozumieć Branickich, nie wyłączając panny Elizy. „Atmosfera, co mnie owiała, zarazą morową... Lecz ja nie dam się zabić, raczej ta atmosfera cała pęknie.“

Tymczasem nie brak danych, aż nadto uzasadniających twierdzenie, że w rzeczywistości działo się cokolwiek inaczej, aniżeli w listach; że poeta, o ile rozpaczał na papierze, o tyle pozatem starał się być z Branickimi na najlepszej stopie; że rolą narzeczonego, mimo wszystko, co czuł dla Delfiny, przejmował się wcale przykładnie; że był uprzejmy i miły nietylko dla panny Elizy, ale i dla jej młodszej siostry Katarzyny (późniejszej pani Adamowej Potockiej), dla której nawet teraz w Rzymie napisał dwa bardzo ładne wierszyki.

Ty wiesz, żeś piękna, ty czujesz, żeś młoda:
Jak dwa skrzydełka, młodość i uroda
Unoszą ciebie po ziemskim błękicie,
I wiosną tobie, co nam męką, życie!...

Tylko Eliza nie natchnęła go ani razu, pomimo, że mu się nawet przymawiała o to nieśmiało.

W takich warunkach, w końcu kwietnia, odbyły się zaręczyny, a w kilka dni później, w liście z dnia 4 maja 1843 r., Krasiński, jakby zapominając o tem, że już był związany z inną, błagał Delfinę *aby miała wiarę w jego stałość:* „Ty wątpisz, Delfino! A jednak przysięgłaś mi nigdy nie wątpić.“ Z kolei przypominał jej, że na całą wieczność stanowią jedno, poczem kończył w te słowa: „Kochaj mnie, i wierz w naszą wspólną przyszłość.“

Wspólna przyszłość?! Co rozumiał przez nią Krasiński? Czyżby mu jeszcze chodziła po głowie myśl o związaniu swego losu z Delfiną, niezależnie od wszystkiego, co się stało dotychczas? Czyżby jeszcze nie tracił nadziei, budując ją na blizkiem, już skończeniu się procesu rozwodowego Delfiny? Roił żeby jeszcze o daniu folgi swej miłości, nawet pomimo woli ojca, z chwilą, gdy Delfina będzie wolną?... Jeżeli tak było w istocie, to strona przeciwna, mianowicie Delfina i jej rodzina „niechętna z *materyalnych względów* rozwodowi,“ czyniła wszystko ze swej strony, ażeby do rozwodu nie dopuścić: do tego stopnia, że *musiano ją uznać za niewiadomą prawnie z pobytu,* bo przebywając za granicą, nie chciała przyjmować wręczeń Mieczysława Potockiego. „Czy zależało jej tak bardzo na utrzymaniu w świecie stanowiska Potockiej, czy działała z pobudek dumy, czy przez zemstę ku mężowi, który nie wahał się ciągać jej za jakąś szkatułkę klejnotów przed sąd karny?“ [1]). Dość, że o ile zdecydowała się na rolę

---

[1]) Kamiński, *Op. cit.* Wyrok sądowy w sprawie wyroku Delfiny Potockiej zapadł w końcu roku 1844.

kochanki Krasińskiego, gotowa nią zostać nawet po jego ślubie z Branicką, o tyle nie miała najmniejszej ochoty zostać jego żoną...

Niewtajemniczony w podobne arkany, wyjechał Krasiński d. 5 maja, w towarzystwie ojca i Jerzego Lubomirskiego, z wiecznego miasta, obierając drogę na północ, do Francyi. W lipcu mieli się wszyscy zjechać w Dreznie, na ślub, który z góry już naznaczono na dzień 21 lipca.

Koniec maja i cały czerwiec spędził poeta w Grenoble, gdzie — wnosząc z jego listów do Gaszyńskiego—nierównie bardziej interesował się wydanym w tych czasach właśnie *Przedświtem*, aniżeli swą najbliższą przyszłością.

Ale dzień jego „pogrzebu moralnego i duchowego," t. j. ślubu, zbliżał się z każdą chwilą, aż w końcu „wybiła godzina pogrzebania swej indywidualności i poświęcenia jej zupełnie dla idei." Poeta stawił się w Dreznie, o tem zaś, jak był usposobionym wogóle, najwymowniej świadczy relacya jego służącego, Jana, który go ubierał do ślubu. „Przybywsza do Drezna na ślub mojego pana Hrabiego (pisze poczciwy Jan), ten ślub był komu wesoły, a mojemu Panu Hrabiemu trucizną. Wszystkie dni przed ślubem płakał i narzekał na ojca swojego; mówił, że dla Ojca muszę tę wolę uczynić. Jeżeli mnie kto zgubił na wieki, to mój ociecz własny, mówił, jak robio tako będo mieli pociechę. Gdy ubierałem, przypomniał Pana Danielewicza, że wolałbym ubrany bycz do grobu, tak jak pan Danielewicz, aniżeli do ślubu. Po ślubie powróciwszy, zrzucił frak ślubny, cisnął go (mówiąc): gdybym go ni-

gdy nie widział, wyrzuć go. Dodaję jeszcze, gdy wychodził do ślubu, pytał się mnie, czy ja póydę na ten ślub? Mówiłem, ja nie wiem. Mówił masz racyę, niema nikogo z moich przyjaciół, niech i Ciebie nie będzie, bo ty jeden jestesz podszciwy.“ [1]). Tak usposobiony zaprzysiągł Krasiński przed ołtarzem klęczącej przy nim pannie Elizie Branickiej dozgonną miłość i wierność.

We dwa tygodnie potem, dnia 3 sierpnia, pisał do Sołtana, jeszcze z Drezna, co następuje: „Daleko odemnie wszystko, co kocham. Wracam do kraju za trzy dni. Głęboko czuję się obalonym ręką... Czyją? Powiem, że losu. Słabym na ciele, pomieszanym i rozerwanym na duchu. Codzień mi gorzej. Wróblom lub kanarkom dobrze do klatki, gdzie dużo nasypano lnianego nasionka lub maczku; ja innego łaknę pokarmu. Wolę milczeć, niż rozwodzić skargi. Cokolwiek—kiedykolwiek—usłyszysz o mnie, niech cię nie dziwi; prócz podłości, a tej nie uwierzysz, zresztą wszystkiemu wierz, nawet, żem się powiesił gdzieś na rozstajnej drodze pod figurą. Bądź mi zdrów, módl się za mnie i odtąd nie zwij mnie już Zygmuntem, ale wiedz, że się zowię *Rozpacz*.“ W całkiem podobnym tonie pisał do Delfiny, z którą bynajmniej nie zaniechał korespondencyi, przeciwnie, codzień szły listy do niej, a wszystkie były pełne rozpaczy i smutku. Oto np. co pisał do niej d. 8 sierpnia: „O, jakże to życie kamienno-grobowe, jakże mnie przywala i przydusza! Zdaje się, że ser-

---

[1]) Relacya ta znalazła się w papierach pani Delfiny Potockiej, pomiędzy listami Krasińskiego.

ce moje wyrwali mi z piersi kleszczami i zakopali je pod ziemią, i że czuję, jak pod piaskiem i żwirem to biedne serce podnosi się i chce podrzutem strasznym rozwalić mogiłę.“

ROZDZIAŁ II.

(1843—1847)

Na miodowe miesiące udali się państwo młodzi wraz z generałem Wincentym Krasińskim do Opinogóry, gdzie zabawiono do późnej jesieni. Dziwne to były miodowe miesiące! Raczej piołunowe!...

Krasińskiemu przypomniał się hrabia Henryk z pierwszej części *Nieboskiej komedyi*, z tych scen, gdzie mówi do żony: „Czuję, że *powinienem* cię kochać...“ i tak mu się ta rola spodobała, że ją grał ciągle [1]). Wobec Elizy zachowywał się zimno, sztywno, obojętnie, a kiedy był sam, tęsknił — jak hrabia Henryk — do swoich dawnych „państw,“ do swojej kochanki, z tą różnicą, że w *Nieboskiej komedyi* tą kochanką była poezya, kiedy w tej nieboskiej komedyi, w której poeta podziwiał się obecnie, kochanką była kobieta z krwi i kości... Beatryce! O niej marzył ciągle, za nią tęsknił, do niej pisywał sążniste listy [2]), na które otrzymywał również sążniste odpo-

---

1) Por. St. Tarnowski, *Op. cit.* str. 451.

2) Zob. listy do Małachowskiego. Dnia 5 listopada 1844 pisze Krasiński z Warszawy: „Niedawno pisałem i przesłałem Ci karteczkę d l a p a n i n a s z e j, którą sam nazwałeś Sylfidą: już musiała cię dojść i ty ją posłał dalej...“

wiedzi, w niej widział uosobienie poezyi, dobroci i wszelakich doskonałości. Jednocześnie na Elizę zapatrywał się jako na źródło wszystkiego złego, jako na główną przyczynę swej niedoli. Ją i ojca! Im przypisywał, iż z poety-byronisty musiał się przedzierżgnąć w człowieka podobnego do „fabrykanta-niemca," oni go skazywali na nudne życie domowe, na prozę rodzinnego ogniska etc. etc. Nie pamiętał za to, a przynajmniej nie starał się pamiętać, ile fałszywej pozy było w jego romansie z Delfiną, ile w tym pseudo-poetycznym duecie, sztucznie dostrajanym do dantejskiego tonu, było dysonansów, ile nieporozumień, ile scen gwałtownych i przykrych, zasługujących na nazwę kłótni... [1]).

Generał, widząc zachowanie się syna względem żony, wszelkich ze swej strony dokładał starań, ażeby jej życie uprzyjemnić: bawił, nadskakiwał, wynajdywał rozrywki. Jednocześnie, ile razy znalazł się sam na sam z synem, w cztery oczy, nie taił swego niezadowolenia i oburzenia, a czynił to niekiedy w sposób wielce dla kochanka pani Delfiny nieprzyjemny...

Eliza wiedziała o wszystkiem: zarówno o tem, że nie była kochaną przez męża, jak i o tem, że sama nie kochała go również.

Z chwilą jednakże, kiedy została panią Zygmuntową Krasińską, uważała sobie za obowiązek postępować, jakgdyby kochała. Nadzwyczaj obowiązkowa z natury, czyniła wszystko, co uważała, że czynić powinna, i tej zasadzie pozostała wierną przez całe życie, przez cały czas pożycia z Krasińskim: za-

---

[1]) X. Jan Gnatowski, *Moja Beatrice.*

równo w pierwszych, jak i w ostatnich latach; tylko że z początku, w pierwszych latach po ślubie, czyniła więcej nierównie, aniżeli jej nakazywał obowiązek, bo czyniła i to jeszcze, co jej nakazywał szczęśliwy instynkt niewieści. Druga, gdyby się, jak ona, znalazła w podobnem położeniu, możeby, obrażona w swej miłości własnej, zapragnęła na obojętność odpowiadać obojętnością, na lekceważenie — lekceważeniem, na wymuszoną grzeczność—wymuszoną grzecznością. W końcu możeby wróciła do rodziców, rozpoczęła starania o rozwód. Przeciwnie pani Eliza: ona obrała inną metodę postępowania; a trzeba przyznać, że obrała lepszą, lepszą i pod tym względem nawet, że szlachetniejszą i subtelniejszą.

Skoro się zoryentowała w sytuacyi, wiedząc, że ma do czynienia z człowiekiem zakochanym w innej kobiecie, postanowiła nie zważać na to — pozornie — i pełnić, co do niej należy: być żoną dobrą i miłą, uległą i pełną poświęcenia — resztę zostawić Bogu i przyszłości. „Zawód, żal, upokorzenie, miłość odepchniętą, zamknąć w sercu głęboko, tak, żeby ich nikt nigdy nie dojrzał; nie poskarżyć się nigdy, ani przed matką nawet, ani przed siostrami; przed mężem nigdy się nie zniecierpliwić, ani nie znudzić; nigdy mu się nie narzucać. Zawsze być pogodną i dobrą, nigdy nie próbować go zdobyć i podbić odrazu, wstępnym bojem. Robić zawsze to, co on lubi, co mu się podoba; nie wdzięczyć się do niego nigdy. Być piękniejszą od wszystkich, to nie było jej trudno; ale b y ć, nigdy zaś nie s t a r a ć s i ę w y d a ć piękniejszą. I w tem wytrwać... Jak długo? może całe życie, może bez skutku.“ Oto, według słów prof. St. Tar-

nowskiego, program życia, jaki sobie pani Krasińska ułożyła w skrytości serca, program, którego się trzymała wiernie i ściśle z przedziwną roztropnością, a z dziwniejszą jeszcze — u kobiety — odwagą i siłą woli.

Na zimę przyjechano do Warszawy, gdzie zamieszkano w pałacu przy Krakowskiem-Przedmieściu. Tu zaczęły się dnie smutne, pełne tłumionych westchnień, obfite w tajone łzy, które jednak pani Krasińska starała się ukrywać przed mężem.

Skoro się już wspomniało o łzach, to płacz pani Krasińskiej—jak świadczą ci, co ją znali i pamiętają—był taki, jaki się tylko w dziełach sztuki widuje: wyraz najgłębszego, najboleśniejszego cierpienia, a oprócz lekkiego drgania i skurczenia ust, żadnego w twarzy skrzywienia, żadnego nawet zaczerwienienia oczów, z których łzy padały duże, ciężkie, a rzadkie. Kto pamięta Matkę Boską Tycyana w *Złożeniu do grobu* — powiada prof. St. Tarnowski — ten może sobie wyobrazić, jak płakała pani Krasińska.

Tej zimy zaś, spędzonej w Warszawie, w wielkim, okazałym, pustym pałacu, przy boku generała Krasińskiego, który jej nieba przychylić pragnął, i męża, który o jednem tylko zdawał się rozmyślać, jakby się wyrwać za granicę, miała piękna pani Elżbieta takich chwil, w których płakała, więcej niż kiedykolwiek w życiu. Atmosfera, którą oddychała, była nieznośną. Zygmunt chodził ponury, skryty, lodowaty, uprzejmy o tyle tylko, o ile tego wymagało dobre wychowanie; generał, który na to nie mógł patrzeć obojętnem okiem, nietylko się martwił i trapił, ale nie szczędził synowi gorzkich wymówek, które

pogarszały jeszcze, bo zaostrzały sytuacyę; słowem, położenie przykre nad wszelki wyraz, bo wytworzone przez męża dwa fałszywe stosunki—męża do żony i syna do ojca—krzyżując się nieustannie, musiały z natury rzeczy zatruwać życie wszystkim trojgu: najbardziej pani Elizie i generałowi, najmniej Krasińskiemu, ten bowiem, lubując się w swem cierpieniu, trochę się podziwiał w swej nieszczęśliwej roli...

Doskonałym wyrazem tej sytuacyi jest wiersz Krasińskiego, wywołany nieśmiałą prośbą żony, która chwilami, kiedy się jej zdawało, że ponury horyzont wyjaśnia się cokolwieczek, próbowała delikatnie zapukać do serca męża. Niestety, choć czyniła to zawsze z wielkim taktem, niesłychanie ostrożnie, prawie z bojaźnią, zawsze doznawała rozczarowania. Raz np. (może w czasie jakiejś rozmowy o poezyi, o jego utworach, o wierszach, które pisał do różnych znajomych) ośmieliła się zapytać go pokornie, z wielką nieśmiałością: czy on, który tyle wierszy napisał dla tylu osób—nie wyłączając jej siostry nawet—nie napisałby choć jednego, choć małego, dla niej [1]). Krasiński, rozumiejąc, że odmówić podobnej prośbie byłoby okrucieństwem, niegodnem mężczyzny, napisał *Dla* Elizy (nie *Do* Elizy) wiersz, w którym jednak, zaraz w tytule, zastrzegł sobie wyraźnie, że jest to tylko „dopełnienie jej żądania" (choć nie musiało to być żądanie, ale najskromniejsza prośba); że nie jest to wiersz, napisany dobrowolnie z własnego popędu, ale wywołany żądaniem Elizy, która, jako żona, miała prawo żądać czegoś podobnego... Wszy-

---

[1]) St. Tarnowski, Op. cit. str. 452.

stko to, lubo nie powiedziane wyraźnie, zupełnie jasno, wynikało z tego oficyalnego „dopełnienia żądania“ Elizy, nie mówiąc już o tem, że było powiedziane aż nadto wyraźnie i wcale nie dwuznacznie w samym wierszu, zimnym, od początku do końca, jak lód, jak wszystkie wiersze, pisane na zamówienie.

Nieraz *żądałaś*, bym Ci złożył wiersze.

Tak brzmiał pierwszy wiersz, odrazu dający do zrozumienia, że pani Eliza nie jeden raz zwracała się już z prośbą do męża, aby jaki wierszyk do niej napisał, i że zawsze aż do tej chwili, prosiła napróżno. Nadto pozwalał się jeszcze wiersz ten domyślać i uczucia, w jakiem został napisany: uczucia, które było chęcią pozbycia się dalszych tego rodzaju „żądań.“

Może *ostatnie* to, choć razem *pierwsze*.

Tak brzmiał drugi wiersz. Co rozumieć przezeń? To przedewszystkiem, że poeta spodziewał się umrzeć niezadługo, ale i to również, że poecie nie kwapiło się z pisaniem nowych wierszy dla żony; dlatego przypuszczał, że te wiersze były pierwszemi i ostatniemi jednocześnie.

Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziekuję Bogu, żem Cię znał na ziemi,
I śmielej idę w zagrobowe koła:
Bo *jeślim* spotkał w Tobie tu Anioła,
Znać, że Bóg dobry, znać, że Bóg na niebie...
Ufam w moc Jego i miłość—przez Ciebie.

Były to zdawkowe frazesy, w których szczerość pierwszy nie wierzył sam autor, a których Eliza tak-

że nie mogła brać na seryo, zważywszy, że wszystko im zadawało kłam: wszystko, począwszy od postępowania Krasińskiego, a skończywszy na tym wierszu, który z pewnością wypadłby inaczej, gdyby był rzetelnem i szczerem uznaniem wspomnianej anielskości w żonie. Na nieszczęście i to przyznanie jej, że znalazł w niej Anioła, było zakwestyonowane owem dwuznacznem *jeśli*...

Przyznać trzeba jednak, że się znajdowały w tym wierszu i niektóre ustępy prawdziwe i szczere. Zaraz o następnych np. dało się to powiedzieć bez zastrzeżeń.

Daruj mi wszystkie, oh! doznane bole,
Któremim duszę twą szarpał na ćwierci...

To była prawda, gorzka prawda, tembardziej gorzka, że sobie z niej Krasiński jasno zdawał sprawę, a mimo to szarpać Elizie duszy na ćwierci nie przestawał. Już to samo, że w wierszu tym przewidywał dla siebie rychłą śmierć, było okrutną wymówką, albowiem równało się wyznaniu, że żyć tak, jak obecnie, on dłużej nie pragnie i nie może: jeśli umiera, to pod brzemieniem ciężaru, jakim jest dla niego małżeństwo.

Dalsze wiersze, niesłychanie słabe, jako wiersze, świadczyły nietylko o chłodzie, z jakim je Krasiński pisał, ale i o nadzwyczajnej trudności, z jaką dobierał rymy. Słowacki, gdyby go był ujrzał kującego ten wiersz, mógłby o nim nie bez pewnej słuszności powiedzieć, że

Miał na twarzy taki wyraz boski
Jak ten, co wiersze pisząc, *liczy* zgłoski.

Krasiński bowiem, który wogóle rymował z wielkim trudem, w tym wierszu staczał szczególniej ciężką walkę z rymami i zgłoskami.

Odprowadź wiernie aż *na bójki pole*
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, *Cię proszę*, tych, których kochałem,
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem.

Czytając wiersze powyższe, uwierzyć trudno, iż autorem ich jest jeden z największych poetów polskich; zrozumieć niepodobna, jakim sposobem mogło Krasińskiemu natchnienie tak niedopisać; jakim sposobem mógł twórca *Przedświtu* nie znaleźć lepszego rymu do „doznane bole,“ jak owo nieszczęśliwe „bójki pole,“ które w tym razie jest pustym dźwiękiem bez znaczenia, choć ma, zdaje się, oznaczać cmentarz czy grób; jakim sposobem mógł taki mistrz słowa, jak Krasiński, popełnić taką językową herezyę, jak owo „Cię proszę!“

Następne wiersze, choć poprawniejsze pod względem formy, niemniej aniżeli poprzednie, musiały być dla pani Krasińskiej przykre.

Bo myśli mojej i zgon nie wyziębi.
Trup się rozwieje, a ona zostanie!
Jej dotrwać *może* wiernem Twe kochanie!
Bo nic w niej nigdy szpetnego nie było!
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą!
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze
Szła niespodlona przez podłości morze,
I ludziom tylko proroczo wołała:
Że w *cnocie tylko* szlachetnej jest chwała!...
A teraz *Amen*. Błogosławię tobie.
Smutnem jest życie, *może jaśniej w grobie*.

Wczytawszy się w te słowa, mogła z nich pani Krasińska tylko niepochlebny bardzo wyciągnąć

dla siebie wniosek: szczególniej z ostatniego wiersza, z tych ostatnich słów, wyrażających nadzieję, że poecie będzie „może jaśniej w grobie,“ aniżeli w tem smutnem życiu. Czemu? Na to pytanie, będąc, jak pani Eliza, świadkiem, sposobu życia Krasińskiego, odkąd został mężem, była nietrudna odpowiedź.

Że Krasiński nie inaczej myślał w rzeczywistości, choć tego nie powiedział wyraźnie w rzeczonym wierszu *Dla Elizy*, na to można nie jeden dowód znaleźć w jego listach, wysyłanych temi czasy do przyjaciół. W liście np. do Soltana, pisanym z Warszawy, w końroku 1843, zazdrościł Rajeckiemu, który umarł przed paru laty w Nizzy; w liście zaś, skreślonym w kilka miesięcy potem—wciąż z Warszawy—zawodził takie skargi: „Nie uwierzysz, jak mi gorzkie życie. Niby to ja wszystko mam, a zaprawdę nic nie mam, bo nic z tego, co pragnę: ani światła duchów, ani światła słońca“ (słońca nicejskiego niezawodnie, świecącego na ściany willi Geoffroy). A o kilkanaście wierszy niżej, z powodu wyjścia za mąż Heleny Sołtanówny, siostry przyrodniej Adama, za młodego Ejsmonta, taką czynił od siebie uwagę: „Szczęść jej, Boże! Choć ani dla kobiety, ani dla mężczyzny, *nie wierzę w szczęście*, możliwe za pomocą instytucyi małżeństwa! przynajmniej tak, jak dotąd praktykowanej.“ Niemniej charakterystycznem było zakończenie tego listu: „Ja podobno tego lata ani ruszę się. Do widzenia więc, nie wiem kiedy! Nikomu tego listu nie pokazuj.“ Co znaczą te słowa? Przedewszystkiem, że od czasu, jak się ożenił, nie wiele więcej ma własnej woli, niż przed ożenieniem, że niemal

we wszystkiem ciągle jest zależnym od ojca, który go umyślnie trzyma w Warszawie, przy żonie, w nadziei, że może przyzwyczajenie sprowadzi upragnione uczucie miłości! Zły sposób!... Szczególniej wymownem było wyrażenie *„podobno* tego lata ani ruszę się." Starał się niem Krasiński Sołtanowi dać do zrozumienia, że wyjechałby zaraz, gdyby to od niego zależało... Czasem jedno słowo mówi więcej, aniżeli cały list.

Nie znaczy to jednak, ażeby listy Krasińskiego z tego czasu mówiły mało. Przeciwnie, prawie wszystkie mówią tyle, ile potrzeba, ażeby wiedzieć, co Krasiński myślał naprawdę. Szczególniej list do Sołtana z 12 maja 1844, pisany w chwili rozgoryczenia i niezadowolenia ze wszystkiego i wszystkich, począwszy od arystokracyi polskiej, a skończywszy na życiu prywatnem, jakie wieść był przymuszony. „O, mój Adamie! Dawno, jakeśmy się nie widzieli, a nie odmieniło się nic u nas, tylko, żeśmy starsi i smutniejsi oba, i oba z tych samych powodów: to jest, że sercom, co biją w naszych piersiach, nie udawa się życie, że spokoju znaleźć nie mogą, bo dręczone srogo, okrutnemi losu żartami, sprzecznościami, rozdarte tą wieczną bójką, jaka zachodzi między chęcią a spełnieniem, pomysłem a rzeczywistością. Wiesz, i u ciebie i u mnie, rzecz rzadka dziś, serce jest; więc nam śród tłumu hucznego zawsze opierać się trzeba na wspomnieniach, na uczuciach. Żadna rzeczywistość, nieodpowiednia naszym pragnieniom, nic prócz bólu nie przynosi... Nieraz czuję jakobym już umarł; stan

zdrowia opłakany [1]). Dodaj do tego moje usposobienie umysłowe, dodaj, że nieraz rozpacz taka mię ogarnia, że modlę się o prędki zgon, jako o jedyną ulgę."

---

[1]) Temu, co Krasiński we wszystkich prawie listach pisze o swojem zdrowiu opłakanem, o różnych chorobach, które jakoby go miały trapić nieustannie, nie zawsze można wierzyć, tak, jak nie zawsze temu wierzyli ci, którym się na te choroby skarżył. Dowodów na to dostarczają mnóstwo jego własne listy. Oto, co np. pisze Krasiński d. 28 grudnia 1842 r. z Rzymu do K. Gaszyńskiego: „Wziąłem się był do malowideł („Przedświt"), wtem znów krew, której wierzyć nie chcesz, uderzyła mi w mózg..." Wogóle Gaszyński, który znał doskonale usposobienie Zygmunta, na mnóstwo jego chorób zapatrywał się sceptycznie, z punktu widzenia Moliere'a, autora *Le malade imaginaire.* Bo że Krasiński, w wielu razach był tylko chorym z przywidzenia, to zdaje się najmniejszej nie ulegać wątpliwości. Ażeby się o tem przekonać, dość przeczytać list Gaszyńskiego do Sołtana, pisany w imieniu Zygmunta z Baden 12 czerwca 1856: „Zygmunt schudł nieco, ale daleko jest lepiej na zdrowiu, w doskonałym humorze, jak dawno tego nie bywało. Niech tylko pułkownik nic mu o tem nie pisze..." To było w r. 1856, na dwa lata przed śmiercią, kiedy Krasiński był już w istocie chory. W epoce, o której mowa (r. 1844) nie był pewno stan zdrowia Krasińskiego niepomyślny. Jeżeli pisał o chorobie, to raz dlatego, że zawsze mu się zdawało, iż jest chory, a powtóre, że w danym razie chorować, t. j. uchodzić za chorego było mu bardzo na rękę, ze względu, iż pragnął koniecznie wyjechać za granicę, niby leczyć się... Źródłem także wielu mniej lub więcej urojonych chorób Krasińskiego była bezczynność, brak jakiegokolwiek zajęcia, któreby uwagę jego od własnej odwodziło osoby. Wiodąc życie bezczynne, najczęściej nudził się (dlatego pisał tyle listów) i pracował wyobraźnią, która, potrzebując strawy, często rzeczy bardzo drobne same przez się rozdymała do wielkich rozmiarów. Tym sposobem zwykły ból głowy przedstawiał się Krasińskiemu, jako atak krwi na mózg etc. Że Krasiński, kiedy miał sposobność zająć się czemś na seryo, zaraz czuł się zdrowszy, bo nie miał czasu myśleć o sobie, dowodem list Gaszyńskiego do Sołtana, datowany z Drezna 30 lipca 1857 r. „Zygmunt jeśli stracił pieniądze na bankructwie Turnejssena, to zarobił na zdrowiu, bo sprawa ta dała mu żywe zajęcie, nie miał więc czasu rozmyśliwać samotnie o swoich chorobach. Od lat dziesięciu jeszcze go nigdy nie widziałem tak zdrowym, rzeźwym i wybornego humoru." Zazwyczaj bezczynność bywa matką spleenu i hypokondryi.

Nic zaś nie doskwierało mu tak bardzo, jak przymus pozostawania w Warszawie, jak ta niemożność wyjechania za granicę. Gdziekolwiek, byle wyjechać z kraju, byle wyjechać samemu, byle się uwolnić od ciągłej kontroli, jaką nad nim rozciągał ojciec, byle odetchnąć odmienną atmosferą, niepodobną do tej, którą już oddychał od pół roku przeszło. „Żebyś ty wiedział—pisał w tem uczuciu d. 19 maja do Sołtana—jak mi rzewnie, smętno na duchu, jak mi wszystkie moje przeszłości z wami, o ukochani! tu i owdzie po zielonym świecie młodości, po Apeninach i Alpach, morzach i jeziorach, śnią się i wołają, z grobu teraźniejszego wołają mnie nazad do siebie (tak samo, jak hrabiego Henryka w *Nieboskiej komedyi* nęcą jego „państwa dawne, zaludnione, żyjące"). Rok temu jeszcze, o tej porze wiosennej, byłem z Jerzym Lubomirskim w Szwajcaryi i Sabaudyi, żyłem od dnia do dnia wśród przepychów stworzenia, śród gór niebotycznych, i kwiecia u stóp kwitnącego, i słowików wszędzie śpiewających naokół! Piłem po raz ostatni uniesienie życia z kielicha natury, zda się całe widnokręgi błękitu wychylałem, a teraz wiosny już niema dla mnie, niema, niema! To straszne uczucie—bezwiosenność na ziemi. A gdy, obok tego braku wiecznego, zaczną wracać wszystkie wiosny zbiegłe, i tańcem zakonnic w *Robercie* otaczać ducha, skrępowanego w grobie, kiedy życie rwie się i rwie, i pierś nadaremno rozrywa, o, mój Adamie! nie wiem, jak to nazwać, ale to męczarnia!... O, Konstanty! *Meliorem, meliorem eligit!*"

Czytając te słowa, trudno wyjść z podziwienia nad szczególnem usposobieniem Krasińskiego,

który, będąc jedynym z naszych wielkich poetów, mającym możność przebywania w kraju, tak lubił przebywać za granicą. Kiedy inni poeci, jak Mickiewicz lub Słowacki, skazani na wieczną tułaczkę po Europie, ciągle marzyli o powrocie do kraju, pierwszy tęskniąc za Litwą, którą porównywał do zdrowia, drugi za Podolem i Wołyniem, za opłotkami cmentarzy krzemienieckich; Krasiński, ile razy przyjechał do Polski, co mu się, nawiasem mówiąc, zdarzało nader rzadko, tak w niej tęsknił za słońcem Włoch lub jeziorami Szwajcaryi, jakby nie za granicą, ale w kraju, czuł się na wygnaniu. Możeby było inaczej, gdyby nie ojciec...

Już to wogóle był Krasiński charakterem dziwnym, którego wybryków nietylko usprawiedliwić, ale bardzo często i wytłómaczyć nawet niepodobna. Naprzykład jego postępowanie z żoną: z jednej strony był dla niej obojętny i zimny, tak dalece, że jej, jak sam powiada, rozmaitemi drobnemi i niedrobnemi przykrościami „duszę szarpał na ćwierci“, a z drugiej bardzo dbał o to, ażeby jak najwięcej posiadała wiadomości... Trudno przypuścić przecież, ażeby wskazując Elizie, jakie książki ma czytać, i wskazując ich całe katalogi, czynił to w chęci dokuczenia jej! O takie pobudki podejrzewać go nie można. A jednak faktem jest, że w pożyciu z żoną wielki kładł nacisk na to, ażeby pracowała umysłowo, ażeby rozszerzała, o ile się tylko da, zakres swej wiedzy, ażeby czytała, czytała i czytała. Jakie książki? Wszystkie: filozoficzne, teologiczne, historyczne. Co oryginalne również, to, iż żądał zawsze, ażeby mu później z każdej przeczytanej książki zdawała sprawę. Pani Kra-

sińska i temu kaprysowi męża czyniła zadość: pracowała po nocach, a choć upadała niekiedy ze zmęczenia, na wszystko znajdowała dość siły i rozumu, wszystko robiła, jak sobie mąż tego życzył, wszystko potrafiła zrozumieć w końcu, nie cofała się przed niczem; a zmęczenia, czy znużenia, czy znudzenia, czy żalu, jeżeli mąż był z czego niezadowolony, nie okazała nigdy: zawsze spokojna, zawsze łagodna, zawsze wypogodzona, zawsze była uległa i posłuszna. Co sobie myślała w takich chwilach, o tem nie mówiła nikomu... Mimo to zaprzeczyć się nie da, że te przebyte walki, te wysilenia woli, te różne mniejsze lub większe smutki pierwszych lat pożycia z mężem, nie pozostały bez wpływu na nią; one sprawiły, że w poglądach jej na charakter Krasińskiego, jako człowieka, zaszły niemałę zmiany, że wiele iluzyi prysło, rozwiało się; że pierwotne wyobrażenie o mężu, pierwotna cześć i podziw dla poety, zmniejszyły się znacznie; że na dnie jej duszy — z czego może sama nie zdawała sobie jasno sprawy — pozostał jakiś osad rozczarowania, żalu, zbolałości. „I to wszystko, jak powiada prof. St. Tarnowski, miało odezwać się kiedyś w jej życiu, ale później... znacznie później“ [1]).

II.

Tymczasem udało się Krasińskiemu przekonać ojca—w czem mu nieraz pomocną bywała Eliza—że

---

[1]) Tarnowski. *Z. Krasiński*, str. 453. Nadto zob. *Listy Maryi Raczyńskiej* drukowane w *Świcie* z r. 1885.

jest chory, że potrzebuje kuracyi, że musi jechać do Heidelberga, poradzić się u Cheliusa; Chelius jest jedynym doktorem, zasługującym na zaufanie, jedynym człowiekiem, znającym jego organizm, etc. etc. Wobec takich i tym podobnych argumentów, popartych wstawieniem się żony, generał ustąpił: zapadła decyzya, że Eliza, będąca w stanie odmiennym, spędzi lato, wraz z generałem, w kraju, w Opinogórze, poeta zaś, ażeby się dać zbadać Cheliusowi, pojedzie do Heidelberga [1]).

Stało się, jak ułożono, z tą różnicą, że Krasiński, ledwo się znalazł za granicą, bez kontroli, i mogąc używać wolności, zaraz okazał się skłonnym do jej nadużywania: postanowił zjechać się z Delfiną. Dowodów, stwierdzających to spotkanie, nie ma, ale są poszlaki, i to poszlaki tego rodzaju, że prawie mogą starczyć za dowód.

Z Heidelberga, gdzie zabawił przez lipiec, udał się do kąpieli morskich. Czy z porady Cheliusa, czy też z własnej woli, dlatego poprostu, że pani Delfina miała zalecone kąpiele morskie? To pytanie musi pozostać bez odpowiedzi, gdyż nie wiadomo nawet, nad jakiem morzem, w jakiej miejscowości, Krasiński spędził tegoroczne letnie miesiące. Wiemy tylko, że

---

[1]) St. Tarnowski, *Op. cit.* 462. Ale doktór Chelius i kuracya służą po części za pozór lub osłonę innej podróży... Zboczył, żeby zobaczyć panią Delfinę Potocką". R. S. Kamiński, *Op. cit.* „Stan zdrowia (Krasińskiego) tylko coraz gorszy zmuszał go (po ożenieniu), co czas jakiś do wyjazdów za granicę. Tam, *naturalnie*, następowało *nieuniknione* spotkanie się z Delfiną. Drażliwą tę kwestyę, już nie dla niego tylko samego, umiał Krasiński załatwiać z taktem i delikatnością, należną obydwu kobietom".

18 września pisał list do Gaszyńskiego „na Renie, na statku", list, w którym między innemi donosił, że mu „lato przeminęło, jak sen", że „wszystko dobre śni się, a złe rzeczywiści się..." Wiemy także, iż powróciwszy późną jesienią do Warszawy, gdzie miał wkrótce zostać ojcem, napisał dnia 28 listopada do Sołtana (któremu przez całe lato znaku życia nie dawał o sobie) taki list, że po przeczytaniu go nabiera się prawie pewności, iż to lato, które mu przeminęło „jak sen", przeminęło mu, w znacznej części przynajmniej, przy boku pani Delfiny. W przeciwnym razie nie starałby się tego okresu czasu osłaniać taką tajemniczością, a tłómacząc się przed przyjacielem ze swego paromiesięcznego milczenia, nie czyniłby tego w sposób, w jaki to czyni ostatecznie. „Wiem, że się zdziwisz, iż *za morze* wypłynąwszy, z po za morza, z zamorskich krain, nie pisałem do ciebie [1]). Mój ty najdroższy! Nie gniewaj się na mnie... Prawda, wyznaję, źle, żem do ciebie się nie ozwał, ale na to zrozumienie głupstwa mego, trzebaby wiedzieć: i gdzie byłem, i com robił. Kiedyś o tem pomówimy".

Tymczasem urodził mu się pierwszy syn, Władysław. Ale poeta, dla którego ojcostwo najmniejszego nie przedstawiało uroku—gdyż nie było w tem nic poetycznego—nie o dziecku myślał przez całą zi-

---

[1]) Zdaje się, że tą miejscowością, w której Krasiński bawił tego lata, była Haga. Na wniosek ten naprowadza ustęp z listu do Sołtana, pisanego w rok później z Hagi 2 sierpnia (1846): „List twój odebrałem w kąpielach morskich, gdzie przeszłego roku byłem. Skoro morskie kąpiele skończę, napiszę do księżnej". Dowód to, że tych morskich kąpieli używał Krasiński w Hadze (w Holandyi).

mę, ale o swojem urojonem nieszczęściu. „Zima tu — pisał jeszcze z nad Renu do Gaszyńskiego — długą i ponurą będzie“. Jakoż nie mogła mu się wydać inną, skoro tak, a nie inaczej, był do niej uprzedzony odrazu, jeszcze we wrześniu. W stosunku do żony nie zaszła żadna zmiana na lepsze. Ideałem wciąż była jeszcze pani Delfina.

To też, kiedy się zbliżała wiosna, Krasiński, znowu pod pretekstem zasiągnięcia rady u Cheliusa, już w marcu potrafił się wyrwać z Warszawy. W Wiedniu czekały na niego listy od Delfiny. Jeszcze z Wierzenicy, dokąd po drodze wstąpił odwiedzić Augusta Cieszkowskiego, pisał o nich do Sołtana: „Proszę cię, byś zaopatrzon tu przyczepioną karteczką, odebrał z poczty wiedeńskiej wszystkie listy, których zapewne nie mało na mnie czeka, i u siebie je trzymał, bym zaraz za przyjazdem mógł do ciebie polecieć i przeczytać wszystkie...“

Ale podróże te, odbywane samotnie, w drugim roku po ślubie, nie mogły ujść baczności ludzkiej: o stosunkach, jakie panowały pomiędzy Krasińskim a żoną, wiedzieli wszyscy, a że taką już jest natura ludzka, iż interesuje się cudzemi grzechami i fałszywemi krokami, więc i Krasińskiemu zdarzył los „tę ciągłą przyjemność, ten wygrany bilet na loteryi, że ciągnął wszędzie za sobą kometowy ogon z komerażów ludzkich“, że gdziekolwiek się ruszył, wszędzie go prześladowały obmowy i plotki, tem dokuczliwsze, że w nich dużo było słuszności i prawdy. „Aż mi już obrzydło wszystko. Więc nikomu o mnie nic nie mów (prosił Sołtana). Z tobą się widzieć i narozmawiać chcę przez dni kilka. Mnie potrzeba spo-

koju i serca twego, Adamie, a nic innego; bom chory i wcale nie wesół, i nienawidzę ludzi". Jego złe pożycie z żoną i niezerwany stosunek z Delfiną, która się sama za jego Beatrice uważać nie przestała, aż nadto dostarczały tematu do plotek. A że plotka lubi przesadę, więc doszło do tego, że sobie o Krasińskim opowiadano „w świecie" najrozmaitsze historye, prawdziwe i nieprawdziwe, z których żadna jednak nie przynosiła mu zaszczytu. „Wszystkie komeraże o mnie, pisał z Wierzenicy do Gaszyńskiego, fałszem, oprócz żem słaby, zwątlony na siłach, rozstrojon na nerwach i *wyjechały* na to, by się leczyć znowu i trochę zdrowia odzyskać (zaraz się okaże, iż nie dlatego tylko był Krasiński *wyjechały* tego roku). Zresztą wszystko największa fikcya. Nie można na tej ziemi kochać szczerze, mieć przyjaciół, sercem odpłacać kilku sercom za przywiązanie, żeby natychmiast syczące gniazdo żmii, zwane światem, nie upatrywało w tem czegoś dziwnego, spaczonego, nadnaturalnego. (Cóż, kiedy w tym razie wyjątkowo upatrywało słusznie!). Miłość, przyjaźń, przywiązanie szczere i stałe, znać to cuda u ludzi. Niechże i tak będzie; u mnie to naturalne uczucia. Oni zawsze miłość mieszają z miłostkami, bo tylko drugie pojmują sami, a pierwszej nie znają".

W Wiedniu zabawił dni kilka, nikogo, oprócz Sołtana i księżnej Lubomirskiej, nie widując. Niestety, ponieważ wogóle nie szedł prostą drogą, więc i z niemi nawet, szczególniej z księżną, nie mógł być zupełnie szczery. Musiał np. czasami uciekać się do kłamstwa, bo wstydził się mówić prawdę. I tak, żegnając się z księżną, zapewniał ją, że jedzie do

Kissingen, kiedy w rzeczywistości jechać tam w tej chwili nie miał najmniejszego zamiaru, gdyż pilno mu było do Nizzy, do pani Delfiny.

Na samą myśl, że ją zobaczy, że każda chwila zbliża go do niej, czuł się rzeźwiejszym, silniejszym. Zwłaszcza, kiedy się znów znalazł za Alpami, we Włoszech. „Vicenza, Treviso, Udine, Verona, Brescia, Medyolan, Genua, ta pyszna droga nad morzem od Genui i tu, wydały mi się, jak sny znikome, zjawiające się i niknące". Jechał tak „prawie bez wysiadania", aż do samej Nizzy, aż wreszcie przybywszy tu około 20 maja, zastał swą kochankę w żałobie po świeżej śmierci matki, „niezmiernie smutną" i chorą. Ale za to była sama!... „Nikogo więcej nie ma, chwała Bogu! Jakoś świat cały z tych stron się wyniósł. Pusto tu i dobrze: tylko morza odzywa się szum, tylko wonie kwiatów pomarańczowych rozlane w przestrzeni, tylko *lucciole* wieczorami świecą skrzydełkami po powietrzu, a żadnej Polonii komerażującej nie znaleźć. Chwała Bogu!..." W takich warunkach, nie dziw, że mu się nie bardzo uśmiechała myśl wyazdu z Nizzy wcześniej, aniżeli ztąd wyjechać zamierzała pani Delfina. Jakoż, pomimo, iż pierwotnie miał zamiar zabawić tu nie dłużej, niż kilka dni [1]), wyjechał dopiero po upływie miesiąca. Dzięki towarzystwu Delfiny, z którą dnie całe spędzał razem, czas upływał mu doskonale, więc i na humorze nie szwankował. Że nie był smutnym, za tem przemawia jego list z d. 23 maja do Sołtana, w którym między innemi, przypomniawszy sobie księżnę Lubo-

---

[1]) Zob. list do Sołtana. Nicea 23 maja, 1845 r.

mirską, będącą przekonaną o nim, iż jest obecnie w Kissingen lub w Heidelbergu, w ten sposób żartował sobie z jej dobrej wiary. „Skoro z tych stron się dobędę na kraje podobniejsze do Kissingen, zaraz wypalę list do księżnej, pełen przedmiotu naszego. Teraz tego jeszcze nie robię, bo choć pewno księżna nie bardzo geografią się trudni, jednak poznałaby niezawodnie, że Kissingen lub brzegi Renu a Nicea i brzegi Śródziemne, to dwie rzeczy różne". Ale bywały i takie chwile, gdzie mu humor nie dopisywał. Różne na to składały się przyczyny, lecz przedewszystkiem ta, że Beatrice nie zawsze miała głowę wolną od mnóstwa interesów, przeważnie materyalnych. Inne były subtelniejszej, czysto psychologicznej natury. Jakie? Pozwala się ich domyślać list do Sołtana, z d. 31 maja. „Dotąd tu siedzę, bo pani Delfina tyloma obłożona interesami z powodu śmierci matki, a sama taka chora, że ja muszę wszystkie sprzeczki i poczynające się procesa kończyć i załatwiać; inaczejby sobie rady nie dała". Cokolwiekbądź, to prozaiczne załatwianie interesów pani Delfiny nie musiało mu bardzo przypadać do smaku. Była to rzeczywistość, na którą nie był przygotowany. O ile uważał, że jest to poetycznie, chodzić z ukochaną nad brzegiem morza, w słońcu lub przy księżycu, wśród odurzającego zapachu kwiatu pomarańczowego, o tyle grać przy swej kochance rolę plenipotenta, załatwiającego w jej imieniu różne prozaiczne interesa, i w rozmowach z nią najczęściej poruszać kwestyę tych interesów, wobec których miłość schodziła prawie na drugi plan: to mu się nie mogło podobać. Pod tym względem zaprzeczyć się nie da,

musiał w czasie tego pobytu na Rivierze doznać małego rozczarowania.

Co gorsza i ważniejsza, to, iż doznał go w pewnym stopniu także i pod innym względem. „Biedna ona, czytamy o pani Delfinie w jednym z listów do Sołtana, biedna. I choroba ciężka i smutek *straszliwie ją wyniszczają*. Jedno dobre, że nikogo nie ma; więc plotek i potwarzy nie będzie. Nie uwierzysz, Adamie, jak mi tęskno do dna serca patrzeć na istotę, której los wszystko z okwitością był dał i *wszystko odebrał:* zdrowie, *piękność*, dzieci, majątek, wreszcie ostatnią podporę na ziemi, matkę. To powolne *niszczenie*, dopełniające się stopniami na osobie ukochanej, rozdziera mi duszę, a od smutku, od robaka, zagnieżdżonego w piersiach, czemże uratujesz?“ A więc pani Delfina, już i w oczach Krasińskiego nawet, traciła piękność? Na jej nieszczęście, a na szczęście pani Elizy, tak było w istocie; a na ten zanik jej piękności nietylko choroba i śmierć matki taki zabójczy ostatniemi czasy wywierały wpływ, ale i wiek. Nie należy zapominać, że pani Delfina miała już w tej chwili lat 38, że przysłowiowy ząb czasu i na niej zaczynał powoli wyciskać swe piętno. Co najfatalniejsza, to, że Krasiński odrazu to zauważył... Nie chciał się pogodzić z myślą, że jego Beatrice zaczyna się starzeć, usiłował wmawiać w siebie, że tak nie jest, ale robak przeświadczenia, że tak jest, już mu zaczynał wgryzać się do duszy. Nie chciał się jeszcze do tego przyznać sam przed sobą, lecz nie mógł także mieć oczu zamkniętych na rzeczywistość, nie mógł sobie nie pomyśleć czasami, że jednak taka 38-letnia, starzejąca się Beatrice, przesta-

je tem samem być poetyczną, że kochanie się w niej *quand même* może już zakrawać cokolwiek na dziwactwo, zwłaszcza, jeśli się, jak on, jest mężem młodziutkiej, prześlicznej żony, będącej w całym rozkwicie swej nadzwyczajnej piękności. Beatrice tymczasem, cokolwiekby mógł przytoczyć na jej obronę, coraz bardziej zaczynała już być pięknością przekwitającą.

Już to wogóle nie szczęściło mu się za tej bytności w Nizzy. Nie dość bowiem, że od chwili, gdy przekroczył próg willi Geofroy, by tu szukać poezyi, znalazł się w atmosferze prozaicznej, przy kochance, zaabsorbowanej myślami o interesach, o procesach, o różnych zatargach z sądami etc., etc., i że Beatrice, głównie dlatego zdawała się być rada z jego przyjazdu, iż go mogła używać do swych interesów, poprostu wyręczać się nim; ale nadomiar złego, musiał się tym poziomym sprawom oddawać w obrzydliwą niepogodę. „Czas tu dziwacznie dziwny, skarżył się Małachowskiemu w liście z dnia 1 czerwca: mgły i deszcze, mgły londyńskie w Nicei w końcu maja...“ Nawiasem mówiąc, musiał ten list być bardzo *intime*, skoro Małachowski uważał za najstosowniejsze całą pierwszą jego połowę odciąć i spalić... [1]).

Na podobne *auto da fe* zasługiwały i inne listy Krasińskiego, zarówno te, w których sam w celu zatajenia swych postępków, rozmijał się z prawdą, jak i te, w których prosił swych najlepszych i zaufanych przyjaciół, ażeby kłamali za niego, informując jednych, że bawi w Kissingen, drugich zaś, że z Wie-

---

[1]) Listy do Małachowskiego, str. 34 (przypisek).

dnia udał się w Poznańskie. „Dla wszystkich pytających się jestem w Kissingen lub koło Kissingen,“ pisał dnia 31 maja do Sołtana, a na dwa dni przedtem prosił o podobne kłamstwo Gaszyńskiego, z tą różnicą, że mu kazał mówić o sobie „każdemu i wszystkim,“ że bawi w Poznańskiem. *Jedna osoba tylko* wie, że ciebie mam zobaczyć (w Paryżu), to Eliza: milcz, milcz i milcz raz jeszcze.“ Eliza jednak, o ile wiedziała, że Zygmunt wybiera się nad Sekwanę w celu zobaczenia się tam z Gaszyńskim i powierzenia mu druku napisanych świeżo *Psalmów przyszłości*, o tyle nie wiedziała o tem, że autor ich do Paryża nie pojechał wcale, a natomiast, wprost z Wiednia, puścił się do Nizzy, ażeby tam cały miesiąc spędzić w towarzystwie kochanki!...

W każdym razie ta wzmianka o Elizie nie jest bez głębszego psychologicznego znaczenia, tembardziej, że jest to już druga o niej wzmianka od czasu wyjazdu Krasińskiego z Warszawy. Pierwsza brzmiała, jak następuje: „Ruszyć się nie mogę, żeby chmura plotek mnie nie ścigała, a mniejsza o to, że mnie, ale patrz, zaraz dotyka i inne osoby, nawet Elizę, i takim sposobem szkodzę rad nie rad tym, których najwięcej miłuję.“ Przypuściwszy nawet, że ostatnie wyrażenie jest pustym frazesem, niezgodnym z rzeczywistym stanem uczuć Krasińskiego — a do przypuszczenia takiego upoważniają aż nadto okoliczności, w jakich ten list napisanym został — to jeszcze i tak żadnej do tego ustępu nie przywiązywać wagi nie można. Nie można, bo świadczy on, bądź co bądź, o pewnym, bardzo nieznacznym może, ale pomimo to rzeczywistym zwrocie w usposobieniu

Krasińskiego względem żony. Ażeby zwrot ten zrozumieć, wystarcza uwzględnić towarzyszące mu okoliczności, które nadzwyczaj sprzyjały podobnej metamorfozie psychicznej na korzyść pani Elizy. Wystarcza nacisk położyć na to tylko, że pani Delfina liczyła sobie w tej chwili lat blizko czterdzieści; że „powolne zniszczenie," dopełniające się na niej, „rozdzierało duszę" Krasińskiemu, t. j. sprowadzało niejakie rozczarowanie; i że Krasiński, przyjechawszy teraz do Nizzy, musiał przyznać, że pani Delfina znacznie... zbrzydła, a przyznał to wyraźnie we wspomnianym liście do Sołtana, gdzie ubolewał, że los pani Delfinie wszystko ostatniemi czasy odebrał, między innemi i „piękność." Widok starzejącej się Beatryczy, o twarzy napiętnowanej „powolnem zniszczeniem,—mimowoli musiał mu—na zasadzie prawa kontrastu—przypominać niezwykłą, fenomenalną piękność 25-letniej Elizy, która, jak zwykle młoda kobieta po pierwszem dziecku, musiała być czarującą, rozmarzającą i ponętną nad wszelki wyraz. A przytem była smutna, nieszczęśliwa, a jednak za dumna, ażeby się poskarżyć. Mimo całe uprzedzenie, jakie poeta, jako mąż, żywił do niej, musiało ją to nawet w jego oczach czynić interesującą!... Swoją drogą uprzedzenie — poparte ekscentrycznem lubowaniem się w niezwykłych sytuacyach — jeszcze brało górę i Krasiński wciąż był przekonany, że dotychczas się kocha w Beatryczy, choć kto wie, czy to już nie było złudzenie....

W takim stanie uczuć rozstał się Krasiński w drugiej połowie czerwca z panią Delfiną i pojechał do Heidelberga, gdzie stanął 1 lipca. Pijąc wo-

dy Kissingen, zabawił tu do 16 lipca, poczem udał się Paryża, nie w innym zamiarze, zdaje się, tylko, żeby się zobaczyć z panią Delfiną, a potem, z nią razem prawdopodobnie, pojechać do Holandyi, do Hagi, do kąpieli morskich.

Do przypuszczenia tego, że Krasiński, jadąc tym razem do Paryża, miał na celu spotkanie się tam z panią Delfiną, upoważniają jego listy do Gaszyńskiego: jeden pisany 7 czerwca jeszcze z Nizzy w tej sprawie (dowód oczywisty, że ta podróż do Paryża była w blizkim z panią Delfiną związku), drugi z Heidelberga: oba w kwestyi wynajęcia mieszkania. Z Nizzy pisał Krasiński w te słowa: „Odpisz mi do Heidelberga *poste restante;* wtedy, jeszcze przed przybyciem może, poproszę cię, byś na miesiąc gdzie najął parę stancyjek, np. na *Champs-Elysées*, tam koło *Rond-Point*, gdzie stał Jerzy (Lubomirski), bo lepiej wysiąść w gotowem mieszkaniu, niż do gospody. To wszystko tylko za pomocą twojej dyskrecyi udać się może i t. d., i t. d." Podobną obawą skompromitowania się nacechowany jest list, pisany bezpośrednio po przyjeździe poety do Heidelberga. Raz jeszcze prosząc przyjaciela, ażeby wynajął dla niego mieszkanie w Paryżu, o ile możności na *Champs-Elysées* w pobliżu *Rond-Point*, poleca mu, ażeby je wynajął „najmniej na miesiąc, od piętnastego lipca do piętnastego Augusta (sierpnia); choć tyle się nie będzie mogło siedzieć, to nic nie szkodzi. Najlepiej, gdyby można Jerzego apartament, ten, co na przodzie ulicy, z pokojami, co są z tyłu; inaczej, to dwa pokoje, a każdy z osobnym wchodem... *Bardziej niż kiedykolwiek proszę cię o zęby zaciśnięte nad językiem.*

Pamiętaj, możesz w nieskończoność złego wepchnąć tego, który zawsze cię kocha..."

A teraz wiedziećby się chciało koniecznie, co było celem tej tajemniczej podróży Krasińskiego w tym roku do Paryża? Nie ulega wątpliwości, iż chodziło mu między innemi i o rozmówienie się z Gaszyńskim w sprawie wydania *Psalmów przyszłości.* Z drugiej strony jednak nie musiało to być celem głównym, skoro—jak to wynika z listów Krasińskiego—Gaszyński opuścił Paryż na kilka dni przed wyjazdem ztąd poety, co jest oczywistym dowodem, iż prócz Gaszyńskiego i kwestyi *Psalmów*, musiała być jeszcze jakaś inna przyczyna, która tu Krasińskiego zatrzymywała. Jaka? Kto wie, czy klucza do rozwiązania tej zagadki nie znaleźlibyśmy we francuskiem *Cherchez la femme*, jeżeli z góry przystaniemy na to, że o ile i w tym wypadku na dnie całej sprawy była kobieta, o tyle mogła nią być jedna tylko: pani Delfina Potocka.

Cokolwiekbądź, jeden fakt nie może w tym razie najmniejszej wywołać dyskusyi, ponieważ jest pewnym zupełnie, to fakt, iż w czasie tej bytności w Paryżu—w drugiej połowie lipca 1845 roku — zabrał Krasiński bliższą znajomość z Ary Schefferem [1]). Kto pośredniczył przy zawarciu tej znajomości? Są poszlaki, upoważniające do przypuszczenia, że rola ta

---

[1]) Zob. *Kronika Rodzinna* z r. 1889, str. 96—99. Trzy listy Zygmunta Krasińskiego do Ary Scheffera, w przekładzie (z francuskiego) Maryi Raczyńskiej, córki poety. Pierwszy z tych listów nosi datę *16 sierpnia 1845*, drugi jest datowany z Heidelberga 30 grudnia 1850, trzeci zaś, pisany z Baden, nosi datę 14 sierpnia 1851.

przypadła w udziale pani Delfinie, że w jej towarzystwie odwiedzał teraz Krasiński pracownię słynnego malarza (który z czasem miał namalować znakomity jego portret), że temu romansowi autora *Przedświtu* z Beatrice służyło między innemi za tło także i *atelier* wielkiego artysty, i że podziwiając ukończony właśnie w tych czasach znany jego obraz *Francesca de Rimini*, podziwiał go Krasiński razem ze swą kochanką. Jednym z argumentów, motywujących poniekąd tę hypotezę, jest napisany w tym czasie wiersz Krasińskiego [1]) „pod obrazem Scheffera *Francesca de Rimini*,“ który pisząc, miał Krasiński bezwątpienia siebie i panią Delfinę na myśli.

„I w piekle nie jest bez Boga opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki!
Bo wyższem szczęściem, niźli samo szczęście.
Dla kochających—wieczne dusz zamęźcie!
Niech lud szatanów nad niemi się sroży,
Gdy kochać mogą, w nich żyje duch Boży!...
Patrz: w tym burzliwym potępienia lesie
Wszyscy na dole jęczą obaleni;
Tych jednych dwoje, w powietrza przestrzeni,
Powiew miłości nieśmiertelnej niesie...
Mimo łez gorzkich, mimo krwawych znamion,
Coś zbawionego wygląda z ich twarzy,
Tak, że myśl twoja w około ich ramion
Skrzydła anielskie—których brak im—marzy.“

Chwile te, w pracowni Ary Scheffera przebyte, zaliczał Krasiński do najpiękniejszych swego życia. „Ty i twoja pracownia, pisał raz do Ary Scheffera, z którym odtąd korespondował, byliście zawsze dla mnie ożywczemi źródłami ciepła i życia. Moje serce zabiło silniej na tym świecie tylko w rozpaczy lub

---

[1]) Zob. Pisma Zygmunta Krasińskiego t. III str. 103.

w chwilach prawdziwego szczęścia; a wśród tych rzadkich radości mego życia może najprawdziwsze składają się z chwil, spędzonych pod twoim dachem, jakby w głębi świętego przybytku, zdala od gwaru ludzkiego, z duszą i wzrokiem, opromienionemi tą pogodną światłością, która tak błogo i łagodnie koi boleść, wskrzeszając wiarę.“ W lecie roku 1845, główną ozdobą pracowni Ary Scheffera był jeden z jego najpiękniejszych wogóle obrazów, *Beatrice i Monika*, obraz, który, zdaniem Krasińskiego, był jedynem arcydziełem, jakie mu się widzieć zdarzyło w naszym wieku; a że z opinii tej, tak pochlebnej dla Scheffera, nie uważał za stosowne robić przed nim tajemnicy, co nawet wzbudziło w artyście pewną nieufność w szczerość Krasińskiego oceny [1]), więc zawiązała się serdeczna pomiędzy nimi przyjaźń, przyjaźń, która u Scheffera przejść miała z biegiem lat w niekłamane uwielbienie dla autora *Irydyona*. Tymczasem, teraz w r. 1845, kiedy Krasiński po jakichś dwóch tygodniach pobytu w Paryżu miał wyjeżdżać do Holandyi i kiedy przyszedł pożegnać się z artystą, pożegnanie to przybrało tak serdeczne cechy, że poeta, pisząc nazajutrz do Gaszyńskiego, większą część listu poświęcił tej wizycie u Scheffera: „Ten ostatni, żegnając mnie wczoraj, ściskał jak brata, i ze łzami w oczach mówił mi, że szczęśliwy, iż poznał mnie. Wtedy usiadłem śród jego boskich obrazów, śród Moniki i Beatriczy, i napisałem mu z kartek dwie myśli o sztuce, w tej chwili przyszłych do głowy, i na pamiątkę mu je zostawiłem. To jedyny

---

[1]) *Kronika Rodzinna* 1880, str. 97.

wielki artysta, któregom znał za dni naszych: Rafael naszego wieku, i taki, jakiego wiekowi potrzeba, bo nietylko już obdarzon wizyą ideału, ale też i ideału głębokiem zrozumieniem, refleksyjnem przeniknięciem."

Dnia 2 sierpnia był już Krasiński w Holandyi, w Hadze. Sam czy z panią Delfiną? W liście do Sołtana, pisanym ztamtąd, nie ma o niej wzmianki; zważywszy jednak, że na wyjezdnem z Paryża, w liście do Gaszyńskiego, zaklinał go w *post-scriptum*, ażeby „przeczył na zabój" sprawie *Rond-point Nr. 4* (był to adres domu, w którym Krasiński mieszkał tym razem w Paryżu) i że w roku zeszłym był tu Krasiński w takich warunkach, że o nich nawet Sołtanowi pisać nie chciał, można go mieć w podejrzeniu, że i w tym roku nie był w Hadze sam jeden...

Cokolwiekbądź, we wrześniu był już z powrotem w kraju, w Knyszynie, przy żonie i ojcu. Mimo to Delfina była prawie wyłącznym przedmiotem jego myśli, co jest jednym dowodem więcej, że się z sobą spotkali tego lata, że dłuższy czas spędzili razem... Listy poety, które teraz do swej Beatryczy pisywał z Knyszyna, były tak namiętne i czułe, że trudno przypuścić, ażeby ten ich ton nie był umotywowany wspólnym pobytem w jakimś zapadłym kącie Holandyi. Oto np. wyjątek[1] z jego listu, pisanego dnia 25 września 1845 r.: „Gdy mnie na tym świecie będzie bardzo źle, *o moja najdroższa*, niech Pan Wiekuisty Cię błogosławi: mnie weźmie, a Tobie da, *bom Tobą raczej, niż sobą samym.*" List kończył się słowami: „Twój *teraz i na wieki* Zyg..." W podobnym tonie był następny list, z Warszawy już, datowany d. 27 września. Wyznawał w nim poeta ko-

chance, że tylko pamięć o niej podtrzymuje go w życiu, i nakłania do spełnienia obowiązku czuwania nad jej losem. „Wspominasz, że ja ci podporą, że gdy budzisz się zrana, moc wstania daną Ci jest przez wspomnienie na mnie.” Podobnie, zapewniał ją w dalszym ciągu, działo się i z nim najczęściej. „Ty mnie często bronisz, Dialy, osłaniasz przed samym sobą.”

Tymczasem musiał się szykować do nowej podróży za granicę: Eliza bowiem i generał ułożyli sobie pod jego niebytność—o czem mu zresztą pisali niejednokrotnie—że na zimę pojadą tego roku do Włoch. Ciekawy jest list w tej mierze Krasińskiego do Sołtana, pisany jeszcze z Heidelberga, gdzie się poeta dowiedział o tym projekcie: „Dwudziestego Augusta muszę już być w Opinogórze, bo w Septembrze *ojciec i Eliza* myślą jechać do Włoch, zatem i ja.” Stylizacya ta ma swoje głębsze znaczenie, gdyż doskonale maluje sytuacyę: odrazu pozwala się domyślać, jaki w tych czasach panował stosunek pomiędzy Krasińskim a żoną jego i ojcem. Stosunek to był dziwny, albowiem zasadzał się na niemem przymierzu zaczepno-odpornem, zawartem pomiędzy młodą mężatką a teściem, wymierzonem zaś przeciwko mężowi, którego wola i zdanie wcale się prawie nie brały w rachubę...

Projektowana podróż doszła w oznaczonym terminie do skutku, z tą różnicą wszakże (na co niezawodnie wpłynęło znów zdanie Zygmunta), że zamiast do południowych Włoch, postanowiono udać się na całą zimę do Nizzy. Krasiński oczywiście miał w tem swoje wyrachowanie, bo mu zależało na spędzeniu

kilku miesięcy w pobliżu Delfiny... Swoją drogą, gdy przyszło do kwestyi, czy ma jechać razem z żoną i dziećmi „w landarach, z mamkami i pannami służącemi”, czy „samopas i w lekkości zwanej *pojedynką*“, rozstrzygnął ją w ten sposób, że Eliza miała pojechać naprzód, a on miał za nią podążyć w jakiś czas później. Zgodnie z tym projektem, zaaprobowanym także i przez generała, pani Krasińska, pożegnana wspaniałym obiadem, wydanym na jej cześć przez hr. Augustową Potocką w Natolinie, wyruszyła do Włoch, obierając drogę na Heidelberg, gdzie na nią miała oczekiwać... pani Delfina Potocka [1]). „Przyjazd Elizy, pisał do swej kochanki d. 25 września Krasiński, zmusi Twą myśl się oderwać... Może ci to pomoże... Powie Ci ona mnóstwo rzeczy odemnie i o mnie.” Tymczasem, żegnając się z Elizą, polecił jej „opiekę nad Delfiną“, nakazywał rozrywać o ile możności, a obawę żony, aby swą osobą nie znudziła Beatryczy, uspokajał zapewnieniem, że ona ją dobrem sercem przyjmie, a mały synek, Władzio, pewno rozweselić potrafi... [2]) Jakiekolwiek refleksye mogłyby się nasuwać z powodu tych projektów, wszystko spełniło się według z góry ułożonego programu. W Heidelbergu nastąpiło spotkanie się żony Krasińskiego z jego kochanką, spotkanie, które pomimo niepowszedniego stosunku „tych pań” do siebie, było jednak tak harmonijnem, że z Heidelberga w dalszą podróż wybrały się razem, a nawet pani Krasińska, ażeby się nie rozłączać ze swą rywalką, zdecydowała się ze względu

---

[1]) Kamiński, Op. cit. w *Tyg. Ilustr.* z r. 1898, str. 475.
[2]) Tamże.

na nią jechać nie wprost do Nizzy, lecz przez Paryż, gdzie pani Potocka miała jeszcze różne sprawy do załatwienia...

W Paryżu doczekano się przyjazdu Krasińskiego, a że jesień nad Sekwaną bywa prześliczna, więc nie było się tak dalece czego spieszyć do Nizzy, zwłaszcza, że w Paryżu był Ary Scheffer, który, zachwycony pięknością pani Krasińskiej, koniecznie chciał malować jej portret. Nie odmówiono mu tej satysfakcyi, tembardziej, że i pani Delfinie przyszła ochota pozować mu jeszcze raz do portretu. Jakoż skończyło się na tem, że „te panie" razem zaczęły bywać w jego pracowni, a poeta im towarzyszył... Oryginalna sytuacya! „Tak się był uniósł *dla nich obu* przyjaźnią i admiracyą, pisze o tych seansach u Ary Scheffera Krasiński Małachowskiemu, dla mnie także rozmaitemi zapałami, że oświadczył, iż grosza nie chce, że prosił, by to na pamiątkę było, a dla Elizy osobno głowę Moniki był zaczął malować i popiersie Elizy kuć z marmuru... Dziwny i dziwny to charakter tego człowieka: we mnie się był zakochał, potem był się trochę zakochał w Elizie, chciał kuć jej posągi, chciał galeryę dla niej całą wymalować, etc. etc." Czytając słowa powyższe, trudno się opędzić refleksyi, która się z równą łatwością mogła nasunąć także i Krasińskiemu, mianowicie: że ten zachwyt Ary Scheffera dla Elizy był zarazem najlepszą miarą, najwymowniejszym dowodem jej wyższości nad panią Delfiną, nietylko pod względem urody, ale i duszy, której ta nieziemska piękność była jedynie wyrazem, symbolem. Artysta tej miary, co Scheffer, który się zewnętrznemi kształtami posługiwał wyłą-

cznie w celu wyrażenia jakiejś myśli, jakiejś idei, odgadł odrazu „dzięki swej artystycznej intuicyi", jaka dusza ukrywa się pod powłoką uroczej postaci pani Krasińskiej, i dlatego „troszeczkę się zakochał w Elizie", jak powiada Krasiński, któremu to, pomimo wszystkiego, cokolwiek pochlebiało Na szczęście, była to tylko miłość artysty, któremu się udało zobaczyć żywe ucieleśnienie wymarzonego ideału. Podbity tą szlachetnością rysów i wyrazu twarzy pani Krasińskiej, tą doskonałą estetycznością, jaka ją cechowała w każdym calu, i tym odcieniem smutku, jaki w niej był, nigdy się o niej nie wyrażał odtąd inaczej, tylko, że nie zdarzyło mu się widzieć ludzkiej istoty, tak odpowiadającej jego pojęciu piękności, jak pani Krasińska. To też, ile razy wypadło mu na jakim obrazie przedstawić ideał kobiecości — ze słodyczą Madonny a powabem Afrodyty — zawsze starał się mieć możność wymalowania pani Krasińskiej. Ztąd w wielu jego obrazach powtarza się ten typ w różnych zmianach i kombinacyach; w niektórych zaś, jak np. w *Chrystusie między dziećmi* z podobieństwem tak wiernem — jak zapewnia prof. St. Tarnowski—że jedna z tych matek lepiej niemal, niż wszystkie portrety, przypomina panią Krasińską [1]). Jednocześnie żadna z nich nie zdaje się przypominać pani Delfiny Potockiej... Czy Krasiński na ten fakt, tak rzucajacy się w oczy, nigdy nie zwrócił uwagi? Czy nie uderzyło go to, że ten wielki artysta, ten „Rafael naszego wieku", tak odmiennie zachowuje się wobec tych dwóch kobiet, że o ile pozostaje nie-

---

[1]) *Zygmunt Krasiński* str. 447.

wzruszony i obojętny wobec pani Delfiny, której portret „niezbyt wielki“ maluje jakby dlatego jedynie, że musi się wywiązać z obstalunku, o tyle w Elizie nietylko się „troszeczkę zakochał”, ale dla niej zapłonął takim artystycznym zachwytem, że zaczął zaraz kuć jej popiersie w marmurze, że, pragnąc jej sprawić przyjemność, wziął się do malowania—dla niej specyalnie—głowy Moniki, i że nie chciał za to wszystko ani grosza, tylko prosił, by to na pamiątkę było? Czy wszystko to nie dało Krasińskiemu nic do myślenia?... Trudno przypuścić, ażeby on, który był takim bystrym obserwatorem, nie zastanowił się nad tem cokolwiek...

W Paryżu, co prawda, nie miał dość swobodnej głowy po temu, ile, że dziwna a denerwująca sytuacya, w jakiej się znajdował, denerwowała go raczej, aniżeli podniecała umysłowo. W drodze jednak, gdy jechał do Wiednia, dokąd się wyrwał na kilka dni, miał aż nadto czasu do rozmyślań, szczególniej na temat tego wszystkiego, co niedawno był przeżył nad Sekwaną, a co musiało być zastanowienia godnem, skoro się zdecydował puścić Elizę z panią Delfiną i... generałem „w landarach, z mamkami i pannami służącemi,“ do Nizzy, a sam zboczył do Wiednia, dla zobaczenia się i nagadania z Sołtanem i księżną Lubomirską.

W Wiedniu zabawił ośm dni listopadowych, prawie wszystek czas dzieląc pomiędzy Sołtana i księżnę. „Zabawiłby dłużej, gdyby tylko chęci się był, a nie konieczności radził,“ ale, niestety, wypadało jechać do żony, tembardziej, że znów była w stanie odmiennym...

W drodze, którą skierował na północne Włochy, na Medyolan i Weronę, miał bardzo zabawną przygodę. W dyliżansie, którym mu jechać wypadło, jechał także młody hrabia Zichy, którego on znał z widzenia tylko. Ponieważ jechali razem, więc, siedząc obok siebie, trudno było nie rozmawiać. Swoją drogą Krasiński nie spieszył się z przedstawieniem się swemu sąsiadowi: poprzestał na poinformowaniu go, że jest Polakiem, że jedzie z Warszawy. Na to Zichy (powiada Krasiński w liście do Sołtana) zaczął mi gadać o Warszawie, że tam był w jesieni, opowiadać, co widział, wreszcie chwalić się, że zna wiele pięknych Polek, pomiędzy innemi bardzo piękną hrabinę Krasińską *née* Branicką, dla której miał listy od swego *beau frère* Odescalchiego etc. etc. etc." Jam go puszczał; poznałem, że to ten sam, który niegdyś o nią się starał w Wiedniu. Wiesz pan — zapytałem niby z niechcenia (od niechcenia), jaka to pani Krasińska? On znów, taka a taka, z domu tak, na chrzcie Elżbieta. Wtedy powiadam mu: „*Mais dans ce cas c'est bien ma femme.*" Podskoczył aż Niemiec w karecie, tak się zdumiał i zdziwił. Ogromne mi zaczął palić grzeczności, ściskać za ręce, zapraszać w Wiedniu do klubu i t. d. i t. d. Dość komiczne było to spotkanie, osobliwie zdziwienie Niemca, iż człowiek w tak niesutej burce i furażce pomiętej, może mieć tak blizką styczność z ową sławioną z posagu panną! Nic wyśmienitszego od uszanowania jego, kiedy się dowiedział! Reszta drogi — pisał poeta do Sołtana — zupełna nicość" [1]), pomimo, że nie jechał

[1]) Do Sołtana, z Genui, 5 grudnia 1845.

„z całym taborem, (bo i ja już, powiada, tabor mam)“ w landarach z mamkami i pannami służącemi i t. d.) ale samopas w pojedynkę, tylko ze swym służącym, Antonim Wojtachem, który go bawił swojemi zachwytami z powodu różnych katedr i marmurów, jakie oglądali przez drogę.

Dnia 4 grudnia stanęli w Genui, gdzie poeta zastał już listy od „tych pań,“ donoszących mu, że szczęśliwie przybyły do Nizzy i że go tu z niecierpliwością oczekują... Tymczasem Krasińskiemu wcale się to nie uśmiechało. Na samą myśl, że za parę dni znajdzie się w najfałszywszem z położeń, jakie sobie wyobrazić można, i że w takich warunkach będzie zmuszony żyć przez całą zimę, narażony na pokusy z jednej strony, a na ciągłą kontrolę z drugiej, nietyle ze strony Elizy, ile ze strony ojca i złośliwych języków ludzkich, które go znów szarpać będą, na samą myśl o tem wszystkiem, czuł całe brzemię ciążącej nad nim sytuacyi. „Jutro rano — pisał 5 grudnia do Sołtana — wyruszę do Nicei; pojutrze stanę tam, i zacznie się życie, od którego, gdy uciekam, wtedy tylko mi lepiej, a ilekroć wracam doń, gorzej i coraz gorzej. Cóż chcesz, tak jest: są pewne rzeczywistości na świecie, przeciwko którym żadne teorye, ni rozumowania nic nie nadadzą. *Tak jest* jest słowem potęgi pełnej... Otom ośm dni dobrych przebył przy tobie i z tobą, jakżeż prędko minęły! Proszę cię, ręce i nóżki księżnej drogiej uściskaj odemnie: powiedz jej, że mi niezmiernie smutno było ją odjeżdżać.“ Takie myśli snuły mu się po głowie, kiedy siedząc w hotelu przy otwartem oknie, wychodzącem na morze, pisał wieczorem list do Sołtana.

„Otwarte okno, morze i maszty okrętów, trochę księżyca, stuk młotów pracujących w porcie, przypominają mi Fiesca. Zatrzymałem się tu przez dziś, bo mi lepiej jest samemu zupełnie, niż tam, kędy jadę. O! ty nie wiesz, Adamie, w całej rzeczy i rozległości, jakie ja mam życie! ty nie wiesz, że np. przystałbym tu w tej gospodzie, nikogo nie znając, ni z kim mówiąc, przebyć zimę i że bardziej byłoby mnie tu w domu, niż tam, kędy jadę.“ Rzeczywiście, skoro się zastanowił, w jakich warunkach przyjdzie mu żyć tym razem w Nizzy, mógł swego przyjaciela zapewniać, że jest „piekielnie smutny.“ Czy był nim istotnie? Przypuściwszy nawet, że nim mógł być, choć nie w takim „piekielnym“ stopniu zapewne, jakby to sądzić można, wnosząc z listu, przyznać trzeba, że trudno wymyślić sytuacyę, którąby w równej mierze mogła być nieustanną torturą dla duszy, jak sytuacya, w której przededniu znajdował się obecnie Krasiński. Był to, jeśli się tak wyrazić można, wyrafinowany akord, z dwóch fałszywych tonów złożony, sytuacya, zasadzająca się na fatalnem połączeniu dwóch „fałszywych położeń,“ z których każde, wzięte zosobna, wystarczało w zupełności, ażeby komuś życie obrzydzić i zatruć... Jedynem antydotum na tę truciznę, antydotum, które Krasińskiego prawie zawsze chroniło od głębszych i rzeczywistych cierpień, było romantyczne lubowanie się w naprężonych sytuacyach dramatycznych.

Ta, która za parę dni czekała w Nizzy, posiadała wszelkie warunki, ażeby być dramatyczną istotnie. Bo wyobraźmy sobie człowieka, który naprawdę i szczerze kocha jedną kobietę, a jest mimo

to ożeniony z drugą, której nie kocha. Że może się wówczas czuć bardzo nieszczęśliwym, jeżeli naprawdę i bardzo kocha, to się rozumie samo przez się; ale zgodzi się każdy, że nieszczęście jego, jakkolwiek wielkie, o tyle mniej musi dlań być dokuczliwem, o ile jest skazany na znajdowanie się przy jednej tylko z tych kobiet: jeżeli jest z żoną, której nie kocha, głównym motywem w jego katuszach moralnych będzie tęsknota za ukochaną, marzenie o niej, marzenie, które dlatego staje się przyczyną cierpienia, że musi stykać się bezpośrednio z opłakaną rzeczywistością, najzupełniej z tem marzeniem nie harmonizującą. To pierwsza sytuacya. Druga jest niemniej przykra. Wyobraźmy sobie tego samego człowieka przy boku swej kochanki, w dali od żony. Czy może być szczęśliwym w takiem położeniu? Nie, bo jeśli nie jest głuchym na głos sumienia, to ani na chwilę zapomnieć nie będzie zdolny, że postępuje źle, nieuczciwie, że grzeszy, że łamie przysięgę, daną przed ołtarzem żonie. A powtóre (nawet, jeżeli pominiemy te względy, o których się najczęściej zapomina w takich razach), czy można być zupełnie szczęśliwym w takiej sytuacyi, choćby w objęciach kochanki, skoro się wie, że to są chwile tylko ukradzione rzeczywistości, że ta rzeczywistość istnieje, że wisi nad nami, jak złowrogi miecz Damoklesa, że te błogie chwile upojenia i szału, największą osłonione tajemnicą, najfatalniejsze mogą za sobą pociągnąć z czasem następstwa, że mogą — a nawet muszą poniekąd — stać się przyczyną nowych nieszczęść, nowych zajść, nowych udręczeń, że prędzej, czy później wszystko musi się skończyć źle, bo inaczej być nie

może. Tak się przedstawia druga sytuacya. A teraz wyobraźmy sobie sytuacyę, będącą połączeniem dwóch poprzednich, t. j. że ów mężczyzna, kochający jedną kobietę, a będący mężem drugiej, jest równocześnie postawiony między obiema, że jest zniewolony ciągle widywać je razem, obok siebie, że jest zmuszony w tym samym czasie grać komedyę przed jedną i drugą: przed tą, którą kocha, rolę człowieka obojętnego, bo innej grać nie może przy żonie; przed żoną zaś, której nie kocha, choć jej zaprzysiągł dozgonną miłość i wierność, rolę przywiązanego męża.

Rzeczywiście, sytuacya jakby stworzona dla Krasińskiego, zwłaszcza, że zawierała w sobie jeszcze i trzeci pierwiastek psychiczny, który ją w oczach poety mógł czynić tem mniej banalną, mianowicie okoliczność, że projekt spędzenia tegorocznej zimy w Nizzy powstał niezależnie od jego woli; że autorami tego projektu byli generał i Eliza [1]).

---

[1]) Zob. list do Sołtana z Heidelberga 4 lipca 1845 roku: „bo ojciec o pozwolenie się wystarał odsunienia się do Włoch, i Eliza też do Włoch wyjedzie na zimę“. Nadto zob. list do Sołtana z Genui 5 grudnia 1845. Bardzo surowym sędzią Krasińskiego z powodu tego utrzymywania stosunków z panią Delfiną w Nizzy w r. 1846 jest prof. St. Tarnowski, raz w książce swojej o Krasińskim (str. 487—488), raz w recenzyi z pracy dr. Antoniego J. p. t. *Beatrice* (pracy, powiedzmy w nawiasie, zgoła nie wytrzymującej krytyki). Recenzya ta była drukowana w „Słowie“ z r. 1890 z d. 21 listopada. Sądzę, iż czytelnik rad będzie, znajdując odnośny ustęp — na tem miejscu. Ustęp ten, bardzo wymowny, brzmi *in extenso*, jak następuje: „Ale jeżeli nie podejrzewamy jej (Delfiny Potockiej) dobrej wiary w tym stosunku aż do ożenienia Krasińskiego, to musimy wątpić o jej dobrej wierze i dobrem sercu, jeśli prawdą jest to, co dr. Antoni J. mówi o jej zachowaniu się, kiedy Krasiński był żonatym. Twierdzi on bowiem, że po ożenieniu Krasiński uważał panią Delfinę za siostrę, że ona, jako taka, wiele z tem młodem małżeństwem

III.

W Nizzy zamieszkano przy ulicy Carabacello, *Maison Pontio*, w najbliższem sąsiedztwie willi Geof-

---

na tem samem miejscu i pod tym samym dachem przebywała, że z żoną poety zostawała w szczerej i serdecznej przyjaźni, w czem znowu (dr. Antoni J.) widzi szczególny dowód wzniosłego serca, wielkiego rozumu i taktu obydwóch (Delfiny i pani Elizy). Nie wiemy, czy tak było, i bynajmniej wchodzić w to nie chcemy. Utrzymujemy tylko, że jeżeli było, to Krasiński nic w swojem życiu równie złego nie zrobił. Sumienie czyste nie wystarcza; człowiek, który szanuje siebie i swoją żonę, ma obowiązek strzedz jej i siebie od złych języków; a Krasiński miał rozumu dosyć na to, aby wiedzieć, że świat, który niedawno widział panią Delfinę w innej przy nim roli, w tę rolę siostry wierzyć nie może. Był to więc (zawsze jeżeli był) z jego strony brak nietylko taktu, ale szlachetnego uczucia, którego usprawiedliwić żadną miarą nie można, a wytłómaczyć można jedynie namiętnością, która i rozum i sumienie człowieka sofizmatami umie tak otumanić, że on w końcu weźmie za wzniosłe to, co jest brzydkie, za proste i naturalne to, co jest rażącem i potwornem. Ale jeżeli rola mężczyzny, taka, jak ją opisano, piękną nie była, to o wiele jeszcze gorszą byłaby rola kobiety. Ta, gdyby miała szlachetność serca, jaką jej dr. Antoni J. przypisuje, byłaby uczuła, że pomiędzy tym człowiekiem żonatym, w niej zakochanym, a jego żoną, stawać nie powinna, że sama jej obecność musi dawną miłość w jego sercu podżegać, że musi być nieustanną pokusą, co najmniej dla jego wyobraźni, że go zmusza do (platonicznej może, ale) nieustającej niewierności. Nie wiemy, czy pani Delfina Potocka to zrobiła, ale jeżeli zrobiła, to nie pojmujemy, jak autor może o tem postępowaniu mówić z sympatyą i uszanowaniem, i jeszcze dodawać, że ona (Delfina Potocka) się... poświęciła, Znamy w życiu Krasińskiego poświęcenie inne, prawdziwsze. Jego pierwsza kochanka (pani Bobrowa), kiedy na gorące prośby ojca zerwała z nim sama, kiedy została ze swą boleścią, a z życia poety wysunęła się zupełnie i rzetelnie (choć w r. 1845 korespondowała jeszcze z Krasińskim), ta się poświęciła: to była miłość w najprawdziwszem i najwyższem znaczeniu słowa. W tem, co miała robić według autora Beatrice (Delfina Potocka), była także miłość, ale — własna. Jakkolwiek zaś miała się ta smutna sprawa, jednak możemy, a nawet mamy sobie za obowiązek autorowi zaręczyć, że pani Eliza Krasińska miała niezmiernie wiele mocy nad sobą, cierpliwości, słodyczy względem

froy. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że się Krasińskiemu, „na ten raz południowe uśmiechały lazury“. Miało się całkiem przeciwnie. Choć pogody były śliczne, choć mogło się zdawać na pierwszy rzut oka, iż w takim kraju, wśród takich cudów przyrodzenia, niepodobna nie być szczęśliwym, Krasiński nie był nim zupełnie, a tego roku—wbrew przewidywaniom może—szczerzej, niż kiedykolwiek. „Wszystkie fałszywe położenia niech wszyscy dyabli wezmą; mniej, niż ktobądź, urodziłem się do nich, a więcej, niż ktobądź, żyć muszę w nich“. Tym razem zaś fałszywe położenie, w jakiem się znajdował, było fałszywsze od wszystkich poprzednich. Niedość bowiem, że był postawiony między dwiema kobietami, z których każda chciała go mieć dla siebie wyłącznie; ale miał wciąż nad sobą nieznośną kontrolę ojca,

---

męża, rozumu i taktu, ale przyjaźni i przywiązania dla pani Delfiny Potockiej nie miała nigdy“. Oto zaś najważniejszy w tej kwestyi ustęp z książki prof. Tarnowskiego o Krasińskim: „Tą zażyłością (z panią Delfiną w Nizzy w r. 1846) Krasiński wystawiał na złośliwe sądy i panią Delfinę Potocką, i siebie samego, i powagę swego domu; nadto zaś wystawiał na ciągłe i bolesne upokorzenie — żonę, która w oczach ludzkich musiała wydawać się poświęconą i skrzywdzoną. Wreszcie wystawiał siebie samego na nieustającą i niebezpieczną pokusę i walkę. Dlaczego Krasiński, ze swojem sumieniem i uczuciem szlachetnem, nie zrobił sobie tych uwag i postąpił tak dziwnie? Dlatego zapewne, że pod tym względem jego sumienie było cokolwiek przytępione, bo się przez długie lata sofistycznie tumaniło; dlatego dalej, że dawna a dotąd niewygasła miłość trzymała go pod swoim czarem i nie dawała mu jasno rzeczy widzieć i sądzić; a wreszcie i dlatego może, że w jego usposobieniu poetycznem, w jego fantazyi, tkwiło to upodobanie w sytuacyach naprężonych, niby dramatycznych. Jakkolwiek bądź, jest to w jego życiu postępek najtrudniejszy może do wytłómaczenia“. (str. 488.)

O ile pogląd, wypowiedziany przezemnie, różni się od powyższej opinii prof. St. Tarnowskiego, czytelnik może z łatwością sam wyrozumieć...

który, trzymając stronę Elizy, wobec pani Delfiny, o ile się nią zbyt interesował Zygmunt, zajmował stanowisko wojownicze. Nadto, sam fakt, że „te panie“ dużo czasu spędzały razem, że się im Zygmunt mógł przypatrywać *jednocześnie* (co mimowoli pociągało ich porównywanie ze sobą), musiał w niemałym stopniu zaostrzać ich antagonizmy, a te, choć ukrywane starannie pod formą konwenansu i *savoir vivre*'u, niemniej przecież, ukryte w głębi duszy, sprowadzały przykrą i denerwującą duszność atmosfery. Bo, że się „te panie“ nie lubiły wzajemnie, to jest tak naturalnem, że chyba nie potrzebuje dowodzenia. Pani Eliza nie lubiła pani Delfiny, bo widziała w niej przedewszystkiem rywalkę, która jej bałamuciła męża; pani Delfina zaś musiała pani Elizy nie lubić choćby dlatego tylko, że kiedy ona w swym 39 roku życia była już słońcem zachodzącem, pani Krasińska liczyła sobie w tej chwili lat 26 i, jako słońce dopiero zbliżające się do południa, była tak piękną, jak nią nawet ona w swoich najświetniejszych czasach nie była nigdy. Pod tym względem nie mogła pani Delfina nie czuć swojej niższości wobec pani Krasińskiej, ta ostatnia zaś nie mogła znowu nie czuć swojej wyższości pod tym względem nad swą rywalką: za bardzo była kobietą, ażeby sobie z tego jasno nie zdawać sprawy. Co gorsza, to, że i pod innemi względami mogła być pani Eliza przeświadczona o swej wyższości nad panią Delfiną; rzucało się to w oczy prawie samo, co tem większy mogło w pani Delfinie wzbudzać niepokój, że mogło zwrócić w końcu uwagę i Krasińskiego samego.

Jakoż było to nieuniknione. Mając możność bezpośredniego porównywania swojej żony z panią Delfiną, musiał pomimo całego zaślepienia przyznać, że o ile Eliza na tem porównaniu stanowczo zyskiwała, o tyle Delfina traciła. Wprawdzie nie chciał tego przyznać odrazu, ale przyznał w końcu.

Tymczasem trwał uparcie w miłości swej dla Beatryczy i bardzo mu to było na rękę, jeżeli ojciec z Elizą tworzyli jedno stronnictwo, jeżeli trzymali się ciągle razem, a jego zostawiali bądź z Delfiną, bądź samego, z „niewidzialnemi robakami uczuć" w piersiach. Wymowną podobnych stosunków ilustracyą jest następujący wyjątek z listu Zygmunta do St. Małachowskiego: „Te panie dziękują ci serdecznie za przesłane życzenia. Mój ojciec w wigilię Nowego Roku dostał straszliwej gorączczki, przeziębiwszy się na spacerze, odbytym z synową." Czytając te słowa, widzi się prawie generała sprzymierzonego z synową, jak np. dzisiejsza Francya z Rosyą, kiedy rola trójprzymierza przypadła w tym razie pani Delfinie, Zygmuntowi i listom jego, które pisywał do przyjaciół, a w których wszystko złe zwalał—pomiędzy wierszami—na żonę i ojca. „Niewypowiedzianie mi źle i źle, mój drogi — zapewniał np. 9 stycznia Małachowskiego. — Tłómaczyć ci tego stanu nie będę; jeśli mnie znasz, pojmiesz go. Jam nie z tych, w których się sercu cokolwiek wygluzować może przez czas lub okoliczności. Wszystko może mnie przełamać, ale nic nigdy nie zdoła przegiąć. I przełamanym na dwoje, pękniętym w duszy, jak zwierciadło porysowane od góry do dołu. A teraz dość o sobie—nienawidzę sie-

bie. Słuchaj, mówmy o czem innem. Lękam się, mój drogi, by widok mój nie wywarł na ciebie przykrego wrażenia, a chciałbym tobie, bo kocham cię, tylko dobro przynosić; a teraz, czuję, dobra duchowego nikomu dać niezdolnym. Bez sił, bez wiary, bez nadziei, bez miłości, obalony leżę na dnie piekieł wewnętrznych! O, mój Vado! anibyś poznał towarzysza podróży nadreńskich (w lecie r. 1844). Widziałeś mnie w latach natchnienia i szczęścia; jakoś wstyd czuję stanąć przed tobą w chwilach upadku, niemocy, zgryzoty, smutku bezdennego: nie chciałbym ci udzielić melancholii. Pamiętasz mnie w Dreznie (w lipcu r. 1843, przed i po ślubie)? Otóż takim tu zupełnie samym jestem, a Bóg mi świadkiem, żem myślał, iż niepodobna dwa razy takim być kamieniem grobowym... Te panie kłaniają ci się i cieszą myślą twojego przybycia.“

Ale skarg takich niewiele znajduje się w listach Krasińskiego z Nizzy! Co prawda, myśl jego w tych czasach—z powodu wypadków galicyjskich—bardziej była zaprzątnięta sprawami ogólnemi, aniżeli osobistemi, lecz uwzględniwszy i to nawet, trudno nie zauważyć pewnej zmiany tonu, świadczącej o jakimś—może bezwiednym—procesie psychicznym, z którego poeta mógł sobie jeszcze nie zdawać dokładnie sprawy, który jednakże zaczynał się już w nim odbywać. Pierwszy, który to zauważył, byl generał. Pozwala się tego domyślać list Krasińskiego do Sołtana, pisany 22 maja, w kilkanaście dni po wyjeździe Krasińskiego z Nizzy, list, w którym się Krasiński wypiera wszystkiego, o co go ojciec posądzał, w który jednak wystarcza się wczytać, ażeby być po stro-

nie generała. Ten ostatni, wyjechawszy z Nizzy, w tem przekonaniu, że w Zygmuncie zaczyna się dokonywać nareszcie metamorfoza na korzyść żony, nie omieszkał, kiedy przejeżdżał przez Wiedeń, gdzie się zobaczył z Sołtanem, dokładnie mu opowiedzieć o wszystkiem... Przewidział to Zygmunt, a że metamorfoza, o jaką go posądzał ojciec (na podstawie osobistej kilkumiesięcznej obserwacyi) w rażącej pozostawała niezgodzie z tem, o czem on niedalej, jak parę miesięcy temu, zapewniał Małachowskiego, iż on „nie z tych, w których się sercu cokolwiek wygluzować może przez czas lub okoliczności,“ więc uważał za stosowne kategorycznie wszelkim hypotezom ojca zaprzeczyć. W tym celu, pisząc do Sołtana, taki nadał obrót całej sprawie: „Zapewne wiele o mnie z ojcem mówiliście, ale on nie wie połowy męczarni mych i, jak zwykle ludzie wieku, to tylko widzi, czego życzy sobie. Odłudzać ze złudzeń takowych byłoby występkiem; niech trwają więc, ale za to pociechy wymarzeń już być nie może... Nikomu o mnie, ni mych uczuciach, nie wspominaj.“ Tak pisał Krasiński dnia 22 maja. Na początku czerwca nastąpił wyjazd pani Delfiny do Paryża, a Krasiński, razem ze Stanisławem Małachowskim i Augustem Cieszkowskim, którzy tu przybyli do nich w odwiedziny, wprowadził się do willi Geofroy. „Już tu przybył August i pan Stanisław. Razem mieszkamy w willi pani Delfiny, która wyjechała i pozwoliła nam w niej osiąść, obok tej zaraz, gdzie Eliza gotuje się do choroby... W tych dniach zapewne ta bieda nastąpi.“ Przyznać trzeba, że sytuacya arcydziwna! Żona spodziewa się słabości, a mąż na ten

czas, z dwoma przyjaciółmi, wprowadza się do willi swej kochanki, tuż obok. Szczęście przynajmniej, że pani Delfina wyjechała.

Ten wyjazd jej, w historyi uczuć Krasińskiego, stanowi epokę. Przysłowie bowiem, które mówi, że co z oczu, to i z myśli, jest wielką prawdą psychologiczną, pełną głębokiej znajomości serca ludzkiego; jest to prawo natury, z pod którego wyłamać się nie wolno nawet takim ludziom, jak Krasiński. Cóż dopiero, jeżeli warunki są odpowiednie po temu, jeżeli okoliczności składają się pomyślnie. A w tym wypadku tak było właśnie: wszystko składało się w taki sposób, że poeta, o ile miał mało sposobności myśleć o pani Delfinie, o tyle miał aż nadto okazyi myślenia ciągle o żonie. Jakoż odbiło się to nawet w jego listach, *w których o pani Delfinie wzmianek nie znajdujemy prawie wcale; te zaś, które znajdujemy, są zawsze obojętne, pozostają zawsze w jakimś związku z jakimś interesem, kiedy wzmianki o żonie najczęściej brzmieć już zaczynają serdecznie* [1]).

W takich warunkach, wieczorem dnia 28 czerwca, urodził się Krasińskiemu drugi syn, którego pani Krasińska nazwała imieniem męża. Szczegół ten nie jest bez znaczenia; świadczy bowiem, że stosunki pomiędzy małżonkami poprawiły się, że w nich niekiedy znajdowało się miejsce i na czułość. Bo czemże jest fakt, że pani Eliza życzyła sobie, ażeby to dziecko nazywało się tak, jak ojciec, Zygmuntem, jeżeli nie dowodem czułości małżeńskiej? Nic prawdopodobniej-

---

[1]) Por. St. Tarnowski: „Zygmunt Krasiński," str. 567.

szego, jak to, że pani Krasińska tem imieniem Zygmunta, nadanem synowi, który się w tym właśnie czasie narodził, pragnęła upamiętnić ów zwrot na jej korzyść, jaki się od niedawna w Zygmuncie zauważyć dawał, a który oczywiście ona musiała zauważyć pierwsza... Krasiński, zrozumiawszy, co przez to chciała Eliza wyrazić, nie mógł nie być ujętym takim delikatnym dowodem czułości z jej strony. To też, kiedy mu o tem pisać wypadało do Sołtana, zdobył się po raz pierwszy na ton cieplejszy: „Eliza ma drugiego syna, który się szczęśliwie 28 czerwca urodził o dziesiątej wieczór. Już z łóżka wstaje i na kanapie leży... Nazwała go Zygmuntem.“ Czytając to, widzi się prawie panią Krasińską, uroczą nad wszelki wyraz i Krasińskiego, który siedząc przy niej, mimowoli przypatruje się nadzwyczajnej piękności Elizy, piękności zdumiewającej poprostu, co na przebieg procesu psychologicznego, odbywającego się w sercu poety, mogło oddziaływać tylko przyśpieszająco...

Jakże zwiędłą i „zniszczoną“ musiała się teraz w porównaniu z panią Krasińską wydawać 40-letnia Beatrycze! O ileż powabniejszą musiała się Krasińskiemu wydawać jego żona, „klasycznie piękna, jak tamta równie piękną być nie mogła nigdy, w całym rozkwicie blasku tej piękności, kiedy tamta już była bardzo przekwitła, z umysłem nie mniej, ale więcej, niż pani Delfiny, żywym, bogatym i ćwiczonym, podziwiana wszędzie, w całej Europie, gdzie się tylko pokazała,“ podziwiana, jako jedna z najświetniejszych pań swego czasu, która jeśli występowała równocześnie z panią Delfiną, nie gasła przy

niej, tylko owszem ją gasiła! [1]). Wobec tego, wielce prawdopodobnem wydaje mi się przypuszczenie, że pani Delfina zaczęła się pomału oryentować w sytuacyi i że to mogło być jedną z przyczyn jej wyjazdu teraz z Nizzy, i tego dobrowolnego rozłączenia się na czas nieograniczony z autorem *Przedświtu*. Już to samo przemawia bardzo za trafnością powyższego przypuszczenia, że pani Delfina, rozłączywszy się teraz z Zygmuntem, rozłączyła się z nim *aż na trzy lata!* Kto wie, czy nie odgadła przypadkiem, że pani Krasińska jest na najlepszej drodze do odniesienia nad nią zwycięztwa; czy nie przeczuła zawczasu, że ona z tej walki — coraz bardziej nierównej dla niej—musi w końcu wyjść zwyciężoną, że pani Eliza zaćmiewa ją nietylko swoją nadzwyczajną pięknością, ale i pod innemi względmi... Bardzo być może, iż spostrzegłszy, na co się zanosi, uważała za najwłaściwsze dyskretnie usunąć się zawczasu, ażeby nie być świadkiem budzącej się w Zygmuncie miłości dla żony, ażeby tem samem swojej miłości własnej nie wystawiać na zbyt dotkliwą próbę.

Za przypuszczeniem tem—o znacznem oziębiębieniu uczuć Krasińskiego dla przekwitającej Beatrice—przemawia między innemi jego podróż na początku sierpnia do Heidelberga, do Cheliusa, podróż, w której ten ostatni nie służył już za pretekst, ułatwiający spotkanie się z Delfiną, albowiem zobaczyć się z nią nie miał Krasiński tym razem żadnej ochoty. Przestawał już tęsknić za nią... Gdyby był tę-

---

[1]) St. Tarnowski: *Z życia poety*, „Słowo“ z 21 listopada 1880 r.

sknił, gdyby mu rzeczywiście na spotkaniu się z nią zależało cokolwiek, z pewnością nie omieszkałby się z nią zobaczyć, tembardziej, że materyalnych przeszkód po temu nie miał żadnych. A jednak poprzestał na korespondowaniu ze swą „siostrą," na odbieraniu od niej częstych a długich listów, na które odpisywał wprawdzie, ale już nie z taką skwapliwością, jak dawniej. Co również zasługuje na podkreślenie, to, że od r. 1845, od czasu owego wiersza napisanego pod wrażeniem *Franczeski de Rimini* Ary Scheffera, *nie potrafiła już pani Delfina ani razu natchnąć swego „brata" do napisania choćby jednego miłosnego wiersza dla niej.* Wogóle—o ile wiemy—napisał dla niej od tego czasu tylko dwa wiersze, oba nadzwyczaj zimne i bez najmniejszej poetyckiej wartości [1]).

W Heidelbergu spędził Krasiński, pod opieką Cheliusa, całe lato, do późnej jesieni. Pani Eliza tymczasem, z całym taborem, „z mamkami i pannami służącemi i t. d.. i t. d.", bawiła w Dreznie u rodziców. Trudno orzec stanowczo, czy Krasiński za nią tęsknił? Natomiast pewnem jest zupełnie, że po upływie czterch miesięcy bardzo mu już na połączeniu się z nią zależało, że z niecierpliwością wyczekiwał jej przyjazdu. Dowodzi tego list do Gaszyńskiego, datowany 9 listopada z Heidelberga. „Jeszczem tu. Od miesiąca Eliza z Drezna codzień wyjeżdża, ja znów tu codzień czekam na nią... Ale teraz pewno już wyjeżdża i niezadługo, tak może za dziesięć dni, *circa* tego, będzie

---

[1]) Zob. „Pisma Zygmunta Krasińskiego," t. III, str. 101—102, 113—114.

przez Aix przejeżdżała." Ale skończyło się na tem, że pani Krasińska dopiero ostatnich dni listopada zjechała się z mężem, tak, iż do Nizzy, gdzie miano znów spędzić całą zimę, przyjechano nie prędzej, aż pierwszych dni grudnia. Gdzie zamieszkano? W *Maison Pontio* na Carabacello, czy w willi Geoffroy? W listach Krasińskiego niema o tem wzmianki, *tak samo, jak w nich niema ani słowa o pani Delfinie*, która na tę zimę *nie przyjechała* na Rivierę. Spędzała ją w Paryżu.

W Nizzy tymczasem, u państwa Krasińskich, było smutno: nie dlatego, że Beatrice znajdowała się daleko od swego „brata," lecz dlatego poprostu, że ten ostatni chorował ciągle tej zimy. Ale i ta choroba, ze względu na Elizę, miała swe dobre następstwa; Krasiński bowiem, widząc poświęcenie się żony, z jakiem go pielęgnowała, mimowoli musiał ją podziwiać. A przytem nie mógł być ślepym na czarującą piękność tej idealnej siostry miłosierdzia... Jednocześnie o pani Delfinie dziwne krążyły wieści. Ile w nich było prawdy, nikt nie wiedział napewno, ale wątpliwości nie ulegało najmniejszej, że jak w każdej legendzie, tak i w tej, odrobina prawdy być musiała. W każdym razie pogłoski, które od niejakiego czasu zaczęły dochodzić z nad Sekwany, pogłoski, że Beatrice autora *Przedświtu* stała się w tych czasach raz jeszcze „Muzą" Chopina, czy były zgodne z prawdą, czy nie, zawsze miały to dobrego do siebie, z punktu widzenia pani Elizy, że jako psychologiczny *repoussoir* o tyle jaśniejszą aureolą otaczały jej ciche, rezygnacyi pełne poświęcenie przy łożu chorego męża. A że w tym czasie właśnie — 17 października

1847—ukazały się u Breitkopfa i Härtela w Lipsku słynne *Trois Valses*, z których najpiękniejszy *Des-dur* był dedykowany *à Madame la Comtesse Delphine Potocka*, walc, do którego przywiązana legenda o piesku pani Delfiny pozwalała się domyślać, że stosunek jej z Chopinem musiał być w podobnym rodzaju, jak ów z Krasińskim w r. 1841, kiedy to piesek „Iry" grał także pewną rolę w życiu autora *Przedświtu*, więc były i drukowane dowody, stwierdzające poniekąd, że pogłoski, krążące o pani Delfinie i Chopinie nie były bezpodstawne. Że na Krasińskiego podobne wersye o kobiecie, którą do niedawna uważał za ideał, nie mogły pozostać bez wpływu, rozumie się samo przez się. Jakże czystą i świętą musiała mu się na ich tle wydać Eliza! Takie kontrasty wywierają swój skutek.

Swoją drogą, trudno mu się było jakoś pogodzić z tą myślą, że pani Delfina na zaszczytną nazwę Beatriczy coraz mniej zasługuje, że jedyną istotą, która na nią zasługuje w zupełności, jest jego żona. Jeszcze w nim pokutował hrabia Henryk z *Nieboskiej Komedyi!* „Czasami (powiada w jednym z listów do Sołtana) taka chwyta mnie melancholia, że uciekam od ludzi. Trochę spokojnieję tylko, kiedym zupełnie sam, gdzie na jakiej ścieżce górzystej, śród skał, śród natury milczącej..." Czytając podobne wynurzenia, trudno nie pomyśleć o poetycznym ojcu Orcia, a jednocześnie trudno nie odpowiadać na nie słowami hrabiego Henryka do żony: „Nie zważaj na to, com powiedział: napadają mnie często *złe chwile nudy.*"

W słowach tych, kto wie, czy nie leży klucz

do rozwiązania zagadki psychologii Krasińskiego, czy w podobny sposób nie należy sobie tłomaczyć wielu jego smutków i rozpaczy *w listach.* „Nie zważaj na to, com powiedział...“ Krasiński nudził się bardzo często, a to uczucie nudy, o której w przytoczonym ustępie wspomina hrabia Henryk, było najczęściej prostym wynikiem bezczynności poety-ordynata, wynikiem absolutnego braku jakiegokolwiek obowiązkowego zajęcia. Człowiek, który nie pracuje, musi się nudzić, nuda zaś, jak ktoś powiedział, jest matką melancholii. Tylko pracując, żyje się normalnie. Krasiński żył nienormalnie. Mając zawsze cały dzień wolny przed sobą, nie dziw, jeżeli się często uskarżał na pustkę... Dla wypełnienia jej, w jakikolwiek sposób, pisywał tyle listów, poprostu, żeby czas zabić; dla wypełnienia jej „układał dramat“ swojej literackiej miłości ku Beatryczy; dla wypełnienia jej, w owych „złych chwilach nudy,“ podziwiał się w tragicznej roli nieszczęśliwego męża niekochanej Elizy.

Tak przeszły lata całe, aż w końcu sprzykrzyła mu się ta nieboska komedya...

ROZDZIAŁ III.

(1847—1859).

Przełom nastąpił: Krasiński przekonał się do swojej żony. A pani Delfina? Ją zaczął uważać za „siostrę,“ za życzliwą przyjaciółkę, z którą nawet korespondował

od czasu do czasu [1]), która jednak w duszy jego żadnej już nie miała grać roli (o ile sama nie chciała grać humorystycznej roli dymisyonowanej Beatricze). Stosunek ten, począwszy od owego wyjazdu pani Delfiny z Nizzy w czerwcu r. 1846, wyłącznie na konwenansie oparty, najlepiej odzwierciadla się w listach poety do przyjaciół, gdzie *w rzadkich wzmiankach o pani Delfinie* taki panuje ton, iż nikt, nieświadomy przeszłości Krasińskiego, nie wywnioskowałby z nich, że to mowa o tej samej pani Potockiej, którą poeta przez kilka lat z rzędu uważał za ideał kobiecości, którą nazywał swoją Beatriczą i którą, jako taką, unieśmiertelnił w *Przedświcie*, nie mówiąc już o mnóstwie lirycznych erotyków, będących jedną z największych ozdób naszej miłosnej poezyi. Pod tym względem zaszła w nim teraz—w r. 1846—stanowcza metamorfoza, która odtąd, przechodząc zwykłą, niczem niezakłóconą ewolucyę, miała się skończyć bezgranicznem uwielbieniem dla żony, a najzupełniejszą obojętnością, prawie graniczącą z niechęcią, do Delfiny.

Prawdziwą Beatryczą poety — choć jej tak nie nazwał — staje się teraz pani Eliza. Ona jedna ze

---

[1]) Wraz z ostatnim listem, jaki napisał do Delfiny, przesłał jej Krasiński brązowy posążek Lorenza Medyceusza według znanej rzeźby Michała Anioła. W liście tym tak pisał wieszcz *Przedświtu*: „Za przyciskadło na papiery postaw przed sobą na stoliku, a przekonasz się, jaką te kształty nieśmiertelne, choć sprowadzone do tak drobnych rozmiarów, jeszcze mają moc przyciągania ócz i rozlewania jakiejś harmonijnej ciszy po duchu, aż dziwno.“ Na podługowatej kopercie z żałobną obwódką skreśliła pani Delfina następujące słowa: „Dernier billet de Sig. envoi du *penseroso* de Michel Ange.“

wszystkich kobiet, które Krasiński darzył swoją miłością, zasługiwała na to dantejskie miano; ona bowiem—nie pani Delfina Potocka—była tym Aniołem, który poecie „przyszedł w pomoc“ i który go „wybawił z otchłani.“

Pani Delfina raczej go do tej otchłani wtrąciła. Ona go sprowadziła z tej prostej ścieżki, o której mówi Dante, i wprowadziła do ciemnego lasu namiętności, w którym *mezza del camin di nostra vita* znalazł się także i nieśmiertelny wieszcz florencki, i jeżeli komu, to jej właśnie przypadła rola tej symbolicznej pantery, którą Dante spotyka w pierwszej pieśni swego poematu, a która podobno oznacza zamiłowanie rozkoszy zmysłowych. Prawie wszystko, co Krasiński kiedykolwiek popełnił złego i nieetycznego — szczególniej od r. 1843 — zawdzięczał swej rzekomej Beatryczy.

Przeciwnie ma się rzecz z Elizą, która od początku do końca była jego dobrym geniuszem, jego rzeczywistą Beatriczą, jego ostatnią miłością, najpodobniejszą do tego uczucia, jakie miał Dante do zmarłej, a prawie wymarzonej Beatrix Portinari. Kto wie nawet, czy Krasińskiego dozgonna towarzyszka życia, choć rzeczywista, nie wymarzona, nie była czemś wyższem jeszcze, aniżeli nieziemska Beatrix w pojęciu Dantego: Beatrix bowiem, jak powiedziano słusznie i pięknie, *dopiero w niebie*, wysoko nad Dantego wzniesiona, prowadzi go wyżej, aż do najdoskonalszej miłości Boga; kiedy ta *na ziemi*, obok poety męża, z nim ręka w rękę przebywa trudną drogę życia, tak, iż oboje razem, przez miłość wszystkiego, co dobre, postępują coraz wyżej; przyczem

on wierzy, że ona idzie o krok przed nim, i nietylko wskazuje drogę, ale mu się wznosić pomaga [1]).

I.

Zwrot ten w uczuciach Krasińskiego dla żony daje się z łatwością wyśledzić w listach do Sołtana. Przedewszystkiem, począwszy od r. 1847, nie napisał Krasiński ani jednego listu, w którymby nie było krótszej lub dłuższej wzmianki o Elizie. Co ważniejsza, to, że wszystkie wzmianki, bez wyjątku, brzmią pochlebnie, sympatycznie.

Kiedy w sierpniu 1848 roku zdarzyło mu się przykre zajście z Czarnomskim, nic go tak w tej sprawie nie bolało, jak to, że Eliza przypłaciła ją zdrowiem. W parę miesięcy później, pisząc z Dieppes, gdzie „dla roztrzaskanych nerwów szukał elektryczności,“ nie skarżył się na nic, tylko na strach „o Elizę wśród rozbójniczego republikanizmu Struvów i Metternichów.“ Pani Eliza bawiła wtedy czas jakiś w Paryżu. W tym samym liście, prosząc Sołtana, ażeby pisał do niego zawsze na ręce Elizy, dziękuje mu „za te kilka słów, które do niej napisał.“ Taki sam ton panuje w listach do Małachowskiego. „Bardzo się troszczę o Elizę, nie może wyjechać z (Paryża), bo matki nie chce opuszczać. Wszyscy w Babilonie przerażeni do najwyższego stopnia i czekają na jakiś wybuch.“ Nie dziw więc,

---

[1]) St. Tarnowski: *Op. cit.*, str. 606.

że mu „nad wszelką miarę stroskano, niespokojnie, czarno na myśli.“ Czemu? Bo „Eliza wciąż w Paryżu. Mimo pociechy, którą mnie rzeźwisz, bardzo się troszczę o nią... Obiecała się z powrotem niezadługo, lecz matki rozpaczającej nie chce opuszczać.“ Kiedy mu napisała, że wróci do niego, do Badenu, koło 3-go maja (1849), wybrał się do Strasburga na jej spotkanie... W rok potem, z Warszawy, tak pisze do Sołtana: „Cieszy mnie pociecha ojca: bawi się wnuczętami, a wnuczęta dorodne i bystre.” Ten idyliczny obrazek świadczy najlepiej, o ile stosunki domowe Krasińskiego zmieniły się w tych czasach na lepsze. Dawniej uważałby,' że cieszyć się z takiej radości dziadka, bawiącego się z wnuczętami, byłoby godne „fabrykanta Niemca,“ a nie romantycznego poety. Dziś pisał o tem z wyraźną przyjemnością. Kiedy mu 23-go lipca narodziła się córeczka (późniejsza pani Marya Raczyńska), tak pisał o tem zdarzeniu do siosry St. Małachowskiego. „*J'ai decacheté ma lettre, chère cousine, pour vous dire que cette nuit même Dieu a envoyé à Elise une fille et que la mère ainsi que l'enfant sont aussi bien qu'on peut le desirer.*“ Dawniej nie wspominał nigdy, jak się Eliza ma: zdrowa, czy chora, ładnie wygląda, czy brzydko. Teraz przeciwnie. „Eliza nadspodziewanie zdrowa (czytamy w liście z Heidelberga, z roku 1851, pisanym w czasie choroby starszego syna, kiedy ten zaczął już przychodzić do zdrowia), radość staje jej za siłę, zdrowie i wszystko. Choć sześć nocy z rzędu nie zasnęła ani chwilki, wygląda świeżo.“ Czytając te słowa, nie trudno odgadnąć, że uczucie, które je podyktowało Krasińskiemu, już nie

było dalekie od uwielbienia dla żony. To samo da się powiedzieć o następnym liście, pisanym do tegoż Sołtana, z Badenu d. 22-go lipca 1851 r. „Eliza wróciła szczęśliwie we dwa dni po twoim odjeździe. Dziękuję ci z serca głębi za twą pamięć o niej...“

Rok 1852, który państwa Krasińskich zastał w wiecznem mieście, jest w rozwoju miłości autora *Przedświtu* dla żony początkiem nowej epoki, bo początkiem uwielbienia, które już pada na kolana, a całując rąbek szat ukochanej i uwielbianej istoty, widzi w niej absolutny ideał. W roku tym po raz pierwszy spotykamy się w listach Krasińskiego z przydomkiem *Incomparabile Donna*, który odtąd ma zawsze oznaczać panią Krasińską. „*Incomparabile Donna* najserdeczniejsze ci dzięki składa za pamięć. Dziateczki zdrowe. Maleńka już łazi i parę słów przebąkuje (10-go marca 1852).” W tym roku też, w czasie bytności w Rzymie, napisał Krasiński *Do Elizy* śliczny wiersz, jeden z najpiękniejszych wierszy, jakie poezya nasza zawdzięcza autorowi *Irydyona*, wiersz, o którym powiedziano słusznie—jak powiedział Krasiński o wierszu Słowackiego *Do autora Trzech Psalmów*—że „jest jedną z przedziwności języka polskiego.“

O Piękna moja! Bądź błogosławiona!
. . . .

Tak się zaczyna ten wiersz, którego następne zwrotki tem się tylko różnią od pierwszej, że w nich ta „Piękna“ jest Polką.

O Polko moja! Bądź błogosławiona!
. . . .

Wobec takiego zachwytu i podziwu dla swej „niezrównanej“ towarzyszki, nie dziw, że i piękność jej, z każdym rokiem świetniejsza i coraz bardziej „nieprawdopodobna,“ wielkie robiła na nim teraz wrażenie. Za dowód, że tak było, może posłużyć fakt, iż stało się z czasem pragnieniem Krasińskiego, aby mu żona przypominała lub urzeczywistniała — nawet swojem ubraniem — jakieś poetyczne obrazy, czy fantazye. W tym celu prosił ją nieraz, ażeby się ubierala np. po grecku (podobno, że w takim stroju Antygony wyglądała nadzwyczajnie) i lubił się tak w nią wpatrywać... [1]).

Nadmienić wypada, że w ciągu tej zimy przyjechała do wiecznego miasta księżna Marcelina Czartoryska, która mogła Krasińskiemu przywieźć z Nizzy — gdzie spędziła cały rok ostatni — nie bardzo miłe wiadomości o pani Delfinie, wiadomości, które do reszty musiały w nim rozwiać wszelkie złudzenia co do Beatriczy (pomimo wszystkiego, co mówi o mężczyznach Victor Hugo w *Marion Delorme*).

Oto fakty, które nie wymagają Juwenalowego oburzenia, ażeby „Beatrice“ Krasińskiego we właściwem ukazać świetle.

Było to w roku 1851, w styczniu, a jest aż nadto danych, upoważniających do przypuszczenia, że zaczęło się to jeszcze w ciągu zimy r. 1850 (kiedy Krasiński bawił z żoną w Heidelbergu). Pani Delfina mieszkała, jak zwykle, w Nizzy, w swojej willi na

---

[1]) St. Tarnowski. *Op. cit.*, str. 448, oraz na podstawie ustnych opowiadań osób, które znały parią Krasińską.

Carabarello, a z nią razem przebywały jej siostry: księżna Beauveau i pani Spada. W sąsiedniej willi, tuż obok, mieszkał z dwoma synami owdowiały niedawno Paweł Delaroche, zasługujący do pewnego stopnia na miano francuskiego Matejki; bądź co bądź, był to jeden z najznakomitszych malarzy ówczesnych francuskich, głośny w całym świecie twórca wspaniałych obrazów historycznych. Jako taki, był arcypożądanym gościem w willi Geoffroy, ile że właścicielka jej, choć liczyła już sobie lat 43 z czemś, nie przestała jeszcze być wielbicielką sławnych artystów. Paweł Delaroche, jako malarz, mógł posiadać podwójny u r o k dla niej, bo oprócz u r o k u człowieka sławnego, posiadał jeszcze—w jej oczach specyalnie—pewien u r o k nowości, czegoś, czego (o ile wiemy) nie znała dotąd. Jako „Beatrice" Zygmunta Krasińskiego, przy którym to tytule uparcie obstawała do końca życia, wiedziała bardzo dokładnie, jak kochają wielcy poeci; jako „Muza" Fryderyka Chopina, z którym to tytułem—obok tytułu „Beatrice"—także uważała, że było jej bardzo do twarzy, miała niemniej dokładne wyobrażenie o tęm, jaką może być miłość genialnego muzyka. Jak kocha wielki malarz? nie wiedziała To, zdaje się, było pobudką, że pokosztowawszy roskoszy, intelektualnych i nieintelektualnych, jakie kobiecie takiej, jak ona, dać może wielki mistrz tonów, jak Chopin, i wielki mistrz słowa, jak Krasiński, niemniejszą poczuła ochotę dowiedzieć się, o ile rola Fornariny—bo nie Wiktoryi Colonna — w życiu wielkiego mistrza pędzla, jak Delaroche, może ją jeszcze pociągać ku sobie. Wiedziona podobną ciekawością, zaczęła stroskanego wdowca pocieszać, jak

mogła, a że miała wielkie doświadczenie pod tym względem, więc stroskany wdowiec dał się pocieszyć bardzo prędko, co nie znaczyło wcale, ażeby nie chciał być pocieszanym jak najdłużej... Upłynął rok, nadeszła zima z r. 1851 na 1852, a pani Delfina nie przestała mu być pocieszycielką i ciągle mieszkali w Nizzy obok siebie i ciągle trwał pomiędzy nimi stosunek jak najbliższy... Zdaje się jednak, że stosunek ten, o ile mógł osładzać życie znakomitemu artyście, o tyle je zatruwał jego synowi, 15-letniemu Horacemu Delaroche, którego śmiertelna choroba w roku zeszłym była właściwym powodem, że razem z ojcem i młodszym bratem spędzali zimę na południu. Co było źródłem tej choroby? Nie ulega wątpliwości, że z początku jedyną przyczyną była śmierć matki, którą 15-letni wówczas Horacy kochał nad życie, a której strata tak silnie wstrząsnęła młodzieńczym, a z natury bardzo wątłym organizmem, że wywiązała się groźna choroba sercowa. „Czy nie przyczyniło się do niej spostrzeżenie, że ojciec dał się po stracie pocieszyć?“ Są tajemnice serc, które nie wyjawią się nigdy, „jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie“, i jeżeli kto na świecie, to chyba jedna księżna Marcelina Czartoryska, a później żona, wiedziała, co się wtedy działo w duszy tego młodzieńca. Prawdziwym aniołem opiekuńczym, który w tych strapieniach zastępował Horacemu zmarłą matkę, była księżna Marcelina Czartoryska, od stycznia r. 1851 mieszkająca z mężem w Nizzy. Ona, choć obca, większą nad nim roztaczała pieczę, aniżeli ojciec; tego myśli i serce były w willi Geofroy, która taką rolę odegrała tym razem w jego życiu,

jak zamek nimfy Cyrce na wyspie Eei w życiu towarzyszów Odyseusza... Zmuszony być mimowolnym świadkiem tych zalotów starzejącego się ojca, młody Horacy zamiast przychodzić do siebie, był coraz słabszy. W końcu uradzili lekarze, ażeby odbył podróż po morzu, choćby krótko. Ale z kim odbyć taką podróż, kiedy ojciec nie miał dość siły woli, ażeby się zgodzić na rozłączenie ze swoją Fornariną? A jednak od takiej podróży zależało zdrowie, a może i życie Horacego! I tu przyszła w pomoc księżna Marcelina. Widząc, że ojcu trudno jest zdobyć się na tak małe poświęcenie dla syna, księstwo Aleksandrostwo uczynili to za niego. Jakoż skończyło się na tem, że ojciec został przy pani Delfinie w Nizzy, a Horacy, prawie śmiertelnie chory, pod opieką księstwa Aleksandrowstwa Czartoryskich, puścił się w podróż po morzu Śródziemnem. Okazało się jednak, że podróż morska nie służyła mu, do tego stopnia, iż musiano ją przerwać czemprędzej. Dlatego wylądowano już w Civitta-Vechia, zkąd się udano do Rzymu. Tutaj choroba nieszczęśliwego Horacego przybrała jeszcze groźniejsze rozmiary; nią zajęta, księżna Marcelina nie mogła ani dawnych stosunków odnawiać, ani nowych szukać. Jedynym człowiekiem, którego widywała, był Zygmunt Krasiński... [1])

Czy zapytana o panią Delfinę, opowiedziała mu, na co patrzyła przez cały rok w Nizzy? Trudno przypuścić, żeby z tego robiła tajemnicę... A jeżeli się Zygmunt dowiedział wszystkiego, to, czy mógł panią

---

[1]) Stan. Tarnowski, *Księżna Marcelina Czartoryska*, 263, 266.

Delfinę w dalszym ciągu uważać za swą Beatriczę? Że ją już za taką uważać przestał, dowodzi wspomniany wiersz *Do Elizy*, napisany w tym roku właśnie.

W roku 1854, kiedy na panią Krasińską wielkie spadło nieszczęście, w którem chodziło o jej dzieci, o Władzia i Zygmusia, taki z tego powodu pisał Krasiński list do Małachowskiego: „Ofiara dopełniona. Biedna Eliza ztąd wyjechała 19-go, o 2-ej; a 21-go, o 11-ej zrana, już była w Mysłowicach... Biedna Eliza, biedna! Wątpię, by coś wskórać mogła z dziećmi, by potrafiła je wywieźć... Okropnie mi smutno, okropnie. Czy wiesz, że Eliza jeździła do Sztuttgardu, i że tam ją księżna następczyni przyjęła jak najuprzejmiej, i radziła, by list prosto napisała do jej ojca... Nie wyobrażasz sobie, ile smutku, tęsknoty, troski i rozdarcia, w mojem sercu. Czuję, że Eliza pojechała rozbić się o skałę konieczności, że nie dopnie życzeń, że przez straszne przechodzić będzie i rozdzierające przeprawy, aż nareszcie opadnie na siłach, w rozpaczy.“ Ale smutne przewidywania Krasińskiego nie sprawdziły się. Dzielna kobieta dopięła celu. W kilkanaście dni później pisał poeta do Małachowskiego: „Eliza tu będzie, jutro lub pojutrze, wraz z wydobytemi chłopcami. Już z Krzeszowic miałem listy od niej.“ Rzeczywiście *Incomparabile Donna!*

A nietylko Krasiński uważał ją za taką. Wszyscy, co ją znali, od przyjaciół i krewnych aż do głów ukoronowanych, widzieli w niej uosobienie kobiecości, a przytem jedną z najświetniejszych dam

swego czasu. Oto, jaki w roku 1855 napisał do niej wiersz król bawarski, Ludwik.

An Elisabethe Gräfinn Krasińska geborene Gräfinn Branicka.

Gleichmuth und Schönheit? Ich kenn'ein reizendes Bildniss
Wenn mit Schönheit sich Güte und Würde vermählt:
Krönte Polonia noch, wie vormals, edele Frauen,
Wärst du Königin wohl; aber Du bist es auch jetzt.

Heidelberg, 1855 [1]).

Łatwo zrozumieć, że posiadając taką żonę, na której widok sami królowie nawet stawali się poetami, nie mógł i sam Krasiński pozostawać za nimi w tyle, on, poeta z Bożej łaski! Jakoż nie pozostał! Wiersze zaś, które napisał do Elizy, należą bezwarunkowo do najpiękniejszych, jakie mu się kiedykolwiek napisać zdarzyło.

Jeden z nich, napisany d. 19 listopada 1856 r., w dzień Św. Elżbiety, a więc na imieniny żony, brzmi, jak następuje:

Choć lód serc ludzkich świat pod mrozem trzyma
I wszędzie w świecie bezkwietniana zima,
W duszy mi kwiaty wciąż ku Tobie rosną
Śród zim boleści, boś Ty moją wiosną,
Boś życia mego ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem.

Wierzyłem w ludzi, a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość, patrzę na zgniliznę
. . . .
. . . .
Ziemia ta cała tak potwornie podła,
Lecz Ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

---

[1]) Zob. „Niwa“ Nr. 21 z d. 10 listopada 1892, w notatce bibliogr. Al. Rembowskiego p. t. „Królewskie rymy.“

Kształt Twój nie kłamie patrzącym dokoła,
Gdy ócz Twych światłem, blaskiem Twego czoła,
Im wewnętrznego zwiastuje Anioła.
Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara,
A jednak w Tobie ideału piękno!

Niech więc kolana me przed Tobą klękną,
Niech Ci me serce podadzą te kwiaty,
I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu Twojej szaty:
— Tyś piękną

W podobnym tonie są i wszystkie listy poety: ile razy pisze o żonie, zawsze z głębokiem współczuciem, zawsze z admiracyą. Kiedy lord Aberdeen podał się do dymisyi, Krasiński, pisząc do Sołtana, który pomienionego lorda bardzo nie lubił, tak kończy swój list: „*Incomparabile* serdecznie ci się kłania i każe ci winszować, że ten, którego tak nie lubiłeś, stary Anglik, wyszedł ze składu rzeczy.“ Kiedyindziej znów, z Heidelberga, z powodu bytności pani Przeździeckiej, tak pisze o niej do Sołtana: „Twoja wnuczka, Przeździecka, wciąż tu siedzi z przywiązania do *Incomparabile*, miła i nader dobra kobieta.“ Kiedy w parę miesięcy później, chory, nie mógł się zdecydować, czy pojechać do Włoch, czy zostać w Baden, a pani Krasińska była za tem, żeby jechać, w liście do Sołtana taka znalazła się o niej wzmianka: „Z drugiej strony *Incomparabile* straszliwie się lęka, by zima całkiem mnie nie doniszczyła, i pragnie podróży.“ Przeczytawszy to, pani Eliza dopisała się do listu męża, w te słowa: „Jeśli jest we mnie co niezrównanego, to wdzięczność, którą czuję dla przyjaźni drogiego pana.“ Kiedy w roku 1857 umarła w Potoku mała Elizka, najmłodsza córeczka poety.

(można być pewnym, że imię to nadano jej tak samo na wyraźne życzenie Zygmunta, jak w r. 1846 na wyraźne życzenie pani Elizy, synowi, który wtedy przyszedł na świat, nadano imię ojca), Krasiński tak o tym smutnym wypadku donosił Sołtanowi: „Na jesieni, w Polsce, straciłem skarb droższy i lepszy; oddałem niebu, co z nieba było do mnie przyszło; pochowałem na cmentarzu Potockim Elizkę moją; a matka jej, ojciec mój i ja, szliśmy we troje za trumienką, w której spoczywał Anioleczek. Nic na ziemi piękniejszegom nigdy nie oglądał, nad te rysy pośmiertne dziecka mojęgo... Eliza okropnie zmieniona: wycieńczona biedna, chora, nie do poznania. Grom w serce matki uderzył i strzaskał je." Gdzieindziej znów, w jednym z listów do Gaszyńskiego, nazywa ją „swoją bohatyrską Elizą."

W takiem uczuciu, kiedy nadeszły w r. 1857 imieniny pani Krasińskiej, przygotował jej poeta na wiązanie nowy wiersz, który się tylko tem różni od zeszłorocznego, że jest od niego jeszcze piękniejszy. Tytuł: *Do Elizy.*

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
Jam czuł się w natchnień nieskończonych niebie;
A jednak wniwecz przemarniłem życie,
Dlatego tylko, żem nie kochał Ciebie.

O biada sercom, którym się wydaje,
Że grzechu żary—młodości płomieniem;
Bo sperzynieją ich nieba i raje,
I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O biada sercom przenamiętnym—zginą!
Bo choć i anioł zstąpi do ich doli,
Przyszłość ich struta, przeszłość ich—jest winą,
I samo szczęście anielskie—je boli!

O, biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szału łzą zroszonym, chlebie!
Mów mi, jedyna dziś duszy mej siło,
Czemu ja dawniej nie kochałem ciebie?

Od twej urody szły jakby promienie—
Czemciś w postaci już wyanielałem—
Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie!
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem.

Wyższy od ziemskich mętów nawałnicy,
Spokój przeczysty na Twem czole białem,
I przenajsłodsza rzewność w Twej źrenicy...
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem.

. . . .

O, bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O, bądź mi odtąd piękna ideałem!
Truciznym życia napił się do sytu,
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

Skarb moich potęg rozpadł mi się na nic,
Myśl się rozwiodła z natchnionym zapałem,
Jam zgasł i przewiądł od smętków bez granic,
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z której mi czynów nieśmiertelnych niema—
A za to tylko, że Cię nie kochałem.

O spojrzyj na mnie! Tyś w górze, ja w dole!
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym działem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja Cię ukochałem!

Za to, żeś duszą z światłości uwianą,
Żeś cała sercem, prawdą zamieszkałem,
Żeś przenadobną i niepokalaną,
Ach! już na wieki ja Cię ukochałem!

Za to, żeś wzgardą na pyszne oręźna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogom tchnień Bożych Ty mężna,
Ach! już na wieki Ciebie ukochałem.

II.

A Delfina? Co się z nią działo tymczasem? O pani Potockiej wciąż było w świecie, zwłaszcza w wielkim świecie *fashionu*, bardzo głośno. Jedni widzieli w niej „Beatrice“ Zygmunta Krasińskiego; dla drugich miała urok, jako ta, która śpiewała umierającemu Chopinowi; innym wreszcie, a mianowicie wielbicielom talentu Pawła Delaroche, imponowała tem, że jej, a nie komu innemu, przypadła niełatwa rola pocieszania mistrza po stracie ukochanej żony. Co o tem wszystkiem myślał Krasiński? Jego listy nie dają żadnej odpowiedzi na to pytanie: głuche w nich milczenie o Delfinie. Ona za to, nietylko w czasie swego głośnego, a parę lat trwającego, stosunku z Pawłem Delaroche [1]), ale i po nim, wciąż nie dawała spokoju swemu dawnemu kochankowi. Ciągle starała się jakąś rolę grać w jego życiu... W pisywaniu częstych listów do niego, o ile można jak najdłuższych i sadzących się na romansową poetyczność, nie ustawała aż do śmierci wieszcza. Krasiński, jako człowiek dobrze wychowany, przez długi czas odpisywał, a nawet, kiedy bawił w Paryżu, należał do stałych gości salonu przy *Rue des Mathurins Nr. 38.* W końcu jednakże znudziło go to

---

[1]) *Z życia poety* przez St. Tarnowskiego, *Słowo* z dnia 20 listop. 1890. „Stosunek (pani Delfiny) z Krasińskim i jego żoną przedstawiony jest w szkicu (Dr. Antoniego J.) mylnie, bo jednostronnie; oparty (domyślamy się) głównie na własnych zeznaniach pani Delfiny. W jej życiorysie zaś, jeżeli miał być dokładnym, brak jest stosunku z Pawłem Delaroche. Czyżby autor nie był nigdy słyszał o tej miłości, *w swoim czasie tak głośnej?*“

wszystko. Na listy zaczął nie odpowiadać, a z czasem przestał je nawet otwierać. Tyle tylko, że je, nierozpieczętowane, chował. Ztąd po śmierci znaleziono listów tych „całe stosy.“ W ostatniej chorobie nie chciał pani Delfiny nawet widzieć. Raz tylko, *na usilne prośby żony*, pozwolił swej dawnej Beatryczy, w tej chwili 52-letniej, zbliżyć się do łoża, z którego już nie miał się podnieść... Później wszelkie prośby były daremne: pani Delfina tylko w taki sposób mogła otrzymywać wiadomości o stanie zdrowia chorego, że przychodzącej codziennie do przedsionka domu przy ulicy Pentièvre Nr 22, pani Eliza dawała do przeczytania biuletyn lekarski [1]).

. . . .

. . . .

Po śmierci autora *Przedświtu* „Beatrice“ żyła jeszcze lat kilkanaście [2]), a w jaki sposób spędziła swe ostatnie lata; o tem opowiada dobrze poinformo-

---

[1]) X Jan Gnatowski, *Moja Beatrice*, Niwa 1879. str. 904. St. Tarnowski w liście do mnie pisze w tej sprawie: „W ostatniej chorobie nie wiem, żeby Krasiński był panią Delfinę widział, a szczegóły choroby i śmierci mam od naocznych i nieodstępnych świadków.“ Co się tyczy owych biuletynów lekarskich, które pani Krasińska dawała do przeczytania pani Delfinie, to powiada o tem St. Tarnowski, że „schodziła do niej sa ma, kiedy tylko mogła,“ a „w ostatnich latach swego życia, kie dy u pani Delfiny zaczynała się choroba raka, pani Krasińska pielęgnowała ją z wielką troskliwością.“

[2]) Umarła w r 1877, w Paryżu. Pochowana w Mont morency. Piękny grobowiec marmurowy zdobi wiersz Krasiń skiego:

Jeszcze kielich mojej doli
Wiele kropel ma,
Muszę cierpieć, pić powoli,
Wypić aż do dna.

wany X. Jan Gnatowski, jak następuje: „Beatrice nie umarła i nie odczuła wcale ciosu tego silniej, niż wymagała jej rola, przyzwoitość i względy światowe. Imię Zygmunta zostało wprawdzie na jej ustach, ale nie wiem, czy nie dlatego, że z tem imieniem wiązała się promienna aureola nieśmiertelnej sławy, której złociste odblaski padały i na nią także. Zresztą życie jej odtąd upłynęło aż do zgonu zupełnie spokojnie, pogodnie i podobno aż nadto wesoło. Śmierć Krasińskiego nie zrobiła w niem żadnej zmiany."

Zakopane, d. 27 sierpnia 1898 r.

K O N I E C.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*
8, 9 i 10. Fryderyk hr Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
11. Wiktor Gomulicki **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

35 i 36. Berta baronowa Suttner **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego.*

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A Święcickiego.*

47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego.*

Tom.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*
59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*
63, 64, 65. Ludwik Gallet. **Kapitan Czart.—Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego.*
66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*
68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

